

BELGARATH CZARODZIEJ

David Eddings

Belgarath czarodziej

PROLOG

Było dobrze po północy. Księżyc już wzeszedł. W jego bladym świetle kryształki lodu na śniegu iskrzyły się niczym rozsypane diamenty. Galionowi zdawało się, że to gwiaździste niebo odbija się w pokrytej śniegiem ziemi. Myślę, że już odeszli - powiedział Durnik, wpatrując się w niebo. Jego oddech parował w lodowatym, nieruchomym powietrzu. — Nie widzę już tęczy.

- Tęczy? - zapytał nieco zaskoczony Belgarath.

- Wiesz, co mam na myśli. Każdy z nich ma światło innej barwy. Aldur błękitne, Issa zielone, Chaldan czerwone i wszyscy po zostali mają inne kolory. Czy kryje się za tym jakieś znaczenie?

- Prawdopodobnie jest to odbiciem ich różnych osobowości - odparł Belgarath. - Choć nie jestem o tym do końca przekonany. Nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat z moim Mistrzem. - Czarodziej zaczął przytupywać nogami. - Może wrócimy? - zaproponował. - Zimno tu.

Zaczęli schodzić z boczem ku chatce. Zmroźony śnieg skrzypiał im pod nogami. Farma u podnóża wzgórza sprawiała wrażenie cieplej i wygodnej. Strzechę chatki pokrywała gruba warstwa śniegu. Spod okapu zwisały błyszczące w blasku księżyca sopte. W postawionych przez Durnika zabudowaniach gospodarczych

było ciemno, ale okna chaty jaśniały złocistym blaskiem lamp. Ich łagodne światło zalewało zasypane śniegiem podwórko. Smuga szaroniebieskiego dymu z komina zdawała się wznosić wprost do gwiazd.

Zapewne nie musieli odprowadzać gości na szczyt wzgórze. To był jednak dom Durnika, a Durnik był Sendarem. Sendarowie zaś przywiązują dużą wagę do przestrzegania zasad dobrego wychowania i uprzejmości.

- Eriond zmienił się - zauważył Garion, gdy byli już prawie na dole. - Wydaje się teraz bardziej pewny siebie.

Belgarath wzruszył ramionami.

- Dorasta. Każdy przez to przechodzi - być może z wyjątkiem Belara. Nie sądzę, aby Belar kiedykolwiek dorósł.

- Belgaracie! - zawołał wstrząśnięty Durnik. - Człowiek nie powinien tak wyrażać się o swym Bogu!

- O czym ty mówisz?

- O tym, co powiedziałaś o Belarze. On jest Bogiem Alornów, a ty przecież jesteś Alornem, prawda?

- Skąd ci to przyszło do głowy? Taki ze mnie Alorn, jak i z ciebie.

- Zawsze myślałem, że jesteś Alornem. Spędzałeś z nimi tak wiele czasu.

- To nie był mój pomysł. Mistrz powierzył mi ten lud pięć tysięcy lat temu. Wielokrotnie próbowałem pozbyć się opieki nad nimi, ale Mistrz nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Skoro nie jesteś Alornem, to kim?

- Nie mam pewności. Za młodu nie przywiązywałem do tego wagi. Wiem, że nie jestem Alornem. Wydaję się na to niewystarczająco pomyłony.

- Dziadku! - zaprotestował Garion.

- Ciebie to nie dotyczy, Garionie. Jedyne w połowie jesteś Alornem.

Doszli do drzwi chatki. Przed wejściem starannie otrzepali nogi ze śniegu. W środku było królestwo ciotki Poi, a ona bardzo nie lubiła, gdy kto nanosił śniegu na jej nieskazitelnie czyste podłogi.

W chatce było ciepło. Żłociste światło lamp odbijało się w wypolerowanych miedzianych garnkach, patelniach i rondlach, wiszących na hakach po obu stronach sklepionego łukowo paleniska. Na środku izby stały stół i krzesła. Durnik zrobił je z dębu. Światło lamp podkreślało jeszcze żłocisty kolor drewna.

Wszyscy trzej natychmiast podeszli¹ do paleniska ogrzać ręce i nogi.

Drzwi od sypialni otworzyły się i weszła Poledra.

- Widzieliście, jak odchodzili? - zapytała.

- Tak, moja droga - odparł Belgarath. - Oddalili się na pół nocny wschód.

- Jak się ma Poi? - zapytał Durnik.

- Jest szczęśliwa — odrzekła brązowowłosa babcia Gariona.

- Nie to miałem na myśli. Czy nadal nie śpi?

Poledra kiwnęła głową.

- Leży w łóżku i podziwia swe dzieło.

- Mógłbym do niej zajrzeć?

- Oczywiście. Tylko nie obudź dzieci.

- Zapamiętaj to sobie, Durniku — poradził mu Belgarath. — Niebudzenie tych dzieci stanie się głównym celem twego życia przez następne kilka miesięcy.

Durnik uśmiechnął się i wszedł do sypialni wraz z Poledra.

- Nie powinienesz tak mu dokuczać, dziadku — powiedział z wyrzutem Garion.

- Nie dokuczałem mu, Garionie. Sen rzadko gości w domu bliźniąt. Wydaje się, że zawsze jedno z nich nie śpi. Chcesz się czegoś napić? Chyba potrafię znaleźć beczułkę z piwem Poi.

- Wyskubie ci brode, jeśli przylapie cię na myszkowaniu po spiżarni.

- Nie złapie mnie, Garionie. Jest teraz zbyt zajęta byciem matką.

Starzec wszedł do spiżarni i z hałasem zaczął po niej buszować.

Garion zdjął płaszcz, powiesił go na kołku i wrócił do kominka. Nogi nadal miał przemarznięte. Spojrzał na krokwie nad głową. Bez trudu rozpoznał zręczną robotę Durnika. Skrupulatność kowala znać było we wszystkim, co robił. Nad centralnym pomieszczeniem krokwie były odsłonięte, ale nad sypialnią znajdował się stryszek, na który wiodły schody biegnące pod ścianą.

- Znalazłem — zawołał triumfalnie Belgarath ze spiżarni. — Próbowała ją schować za beczką z mąką.

Garion uśmiechnął się. Jego dziadek zapewne odnalazłby beczulkę piwa nawet na dnie kopalni.

Starzec wyszedł ze spiżarni z trzema pełnymi po brzegi kufkami piwa. Postawił je na stole i przysunął sobie krzesło do kominka. Potem wziął jeden z kufli, usiadł i wyciągnął nogi w stronę ognia.

- Przysuń sobie krzesło, Garionie - zaprosił. - Czemu nie ma być nam wygodnie?

Garion przestawił krzesło i usiadł.

- To była noc! - rzekł.

- O tak, chłopcze — odparł starzec. — W rzeczy samej.

- Czy nie powinniśmy powiedzieć dobranoc cioci Poi?

- Durnik jest u niej. Nie przeszkadzajmy im. To szczególnie czas dla małżonków.

- Tak - przyznał Garion, wspominając noc sprzed dwóch tygodni, gdy jego córka przyszła na świat.

- Wrócisz wkrótce do Rivy?

- Chyba powinienem - odparł Garion. - Zaczekam jednak jeszcze kilka dni - dopóki ciocia Poi znowu nie stanie na nogi.

- Nie zwlekaj zbyt długo - poradził mu Belgarath z uśmiechem na ustach. - Ce'Nedra sama siedzi teraz na tronie.

- Poradzi sobie. Wie, co robić.
- Tak, ale czy chcesz, aby robiła to po swojemu?
- Nie sądzę, aby wydała komuś wojnę podczas mojej nieobecności.

- Może nie, ale z Ce'Nedrą nigdy nic nie wiadomo. Chciałem tylko powiedzieć, że jest trochę nieprzewidywalna - dodał się dziwy czarodziej i westchnął.

- Co cię niepokoi, dziadku?
- Stare żale ożyły. Chyba nie zdajecie sobie sprawy, jacy z was szczęśliwcy. Mnie nie było przy narodzinach moich bliźniaczek. Byłem w podróży służbowej.

Garion oczywiście znał tę historię.

- Nie miałeś wyboru, dziadku — powiedział. - Aldur polecił ci ruszyć do Mallorei. Czas było odzyskać Glob. Musiałeś pomóc Cherekowi i jego synom.

- Nie próbuj tego racjonalnie usprawiedliwiać, Garionie. Prawda jest taka, że porzuciłem swą żonę, kiedy potrzebowała mnie najbardziej. Sprawy mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej, gdybym tego nie uczynił.

- Nadal czujesz się winny?
- Oczywiście. Przez trzy tysiące lat dźwigałem poczucie winy. Najlepsze usprawiedliwienia tego nie zmieniają.

- Babcia ci przebaczyła.
- Oczywiście. Twoja babcia jest wilczycą, a wilki nie chowają urazy. Rzecz w tym, że ona może mi przebaczyć, ty możesz mi przebaczyć i nawet zdobyć akt przebaczenia podpisany przez wszystkich ludzi, ale ja nadal czuję się winny. Może porozmawiali byśmy o czymś innym?

Z sypialni wyszedł Durnik.

- Zasnęła - powiedział cicho. Potem podszedł do kominka i dołożył drewna. - Zimna dziś noc — zauważył. — Lepiej, żeby ogień nie zgasł.

- Powiniennem o tym pomyśleć - przeprosił Garion.

- Dzieci śpią? - zapytał Belgarath kowala.

Durnik kiwnął głową.

- Ciesz się tym, póki możesz. One odpoczywają.

Durnik uśmiechnął się. Potem przysunął sobie krzesło bliżej ognia.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? - zapytał, sięgając po ostatni kufel piwa.

- Rozmawialiśmy o wielu rzeczach — odparł Belgarath.

- Chodzi mi o cykliczność pewnych wydarzeń. To, co zdarzyło się dzisiejszej nocy, jest jednym z nich, prawda?

- Durniku, Poi nie jest pierwszą kobietą, która urodziła bliźnięta.

- Wiem, Belgaracie, ale tym razem jest inaczej. Mam wrażenie, że coś takiego jeszcze się nie wydarzyło. Wydaje mi się, że to coś zupełnie nowego. To była bardzo szczególna noc. Sam Ul dał swoje błogosławieństwo. Czy coś takiego miało już kiedyś miejsce?

- Chyba nie - przyznał stary czarodziej. - Być może rzeczywiście to coś nowego, jeśli tak na to spojrzeć. Jeżeli tak, to sprawy mogą przybrać dla nas trochę zaskakujący obrót.

- Dlaczego? - zapytał Garion.

- W powtórzeniach miłe jest to, że wiesz, czego się spodziewać. Jeśli wszystko zatrzymało się, gdy zdarzył się „wypadek”, a te raz ponownie ruszyło, to znajdziemy się na nowym terytorium.

- Nie odnajdziemy wskazówek w przepowiedniach?

Belgarath pokręcił głową.

- Nie. Ostatni ustęp w Kodeksie Mrińskiego mówi: „A potem pojawi się wielka jasność i w tej jasności uleczone zostanie to, co było rozbite, a przerwany Cel będzie kontynuowany, tak jak to było zamierzone od początku”. Wszystkie inne prococtwa kończą się mniej więcej tak samo. Wyrocznie Ashabine używają nawet

niemal dokładnie tych samych słów. Z chwilą, gdy światło dotarło do Korimu, jesteście zdani tylko na siebie.

- Czy teraz pojawią się nowe przepowiednie? — zaciekał się Durnik.

- Zapytaj o to Erionda przy następnym spotkaniu. On teraz jest odpowiedzialny. - Belgarath westchnął. - Nie sądzę jednak, byśmy byli zamieszani w jakieś nowe prorocтва. Zrobiliśmy, co do nas należało - uśmiechnął się nieco krzywo. - Jeśli mam być szczery, to cieszę się, że już to mamy za sobą. Robię się za stary na ratowanie świata. Początkowo było to całkiem interesujące za jęcie, ale po kilku razach zrobiło się wyczerpujące.

- To byłaby opowieść — odezwał się Durnik.

- Jaka opowieść?

- O wszystkim, co przeżyłeś - ratując świat, walcząc z demonami, zachęcając do działania Bogów i tym podobnych rzeczach.

- To byłaby nudna opowieść, Durniku. Bardzo, bardzo nudna - sprzeciwił się Belgarath. - Przez długie okresy nic się nie działo. Historia o wyczekujących ludziach nikogo by nie zaciekała.

- Jestem pewny, że było wystarczająco dużo zajmujących spraw, aby uczynić ją interesującą. Któregoś dnia chciałbym na prawdę usłyszeć całą tę historię - no wiesz, jak spotkałeś Aldura, jak wyglądał świat, nim Torak go rozłupał, jak ty i Cherek wykraśliście Glob - o wszystkim.

Belgarath roześmiał się.

- Rok mógłbym opowiadać, a jeszcze nie doszedłbym do połowy. Mamy chyba lepsze rzeczy do robienia.

- Czyżby, dziadku? - zapytał Garion. - Powiedziałeś, że nasz udział dobiegł końca. Może to dobry czas na podsumowanie?

- A co by komu z tego przyszło? Ty władasz królestwem, a Durnik dogląda swej farmy. Macie ważniejsze *rutciy* do zrobienia, niż wysłuchiwanie moich opowieści.

- A zatem je spisz. — Garion nagle zapalił się do tej myśli. —

Wiesz, dziadku, im więcej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że powinieneś to zrobić. Byłeś tu od samego początku. Tylko ty znasz całą historię. Naprawdę powinieneś ją spisać. Opowiedz światu, co naprawdę się wydarzyło. Twarz Belgaratha wyraźnie posmutniała.

- Świata to nie obchodzi, Garionie. Uraziłbym jedynie wielu ludzi. Mają własną wizję wydarzeń i są z tego powodu szczęśliwi. Nie zamierzam przez następne pięćdziesiąt lat zapisywać skrawków papieru tylko po to, aby ludzie przybywali do Doliny klócić się ze mną. Poza tym nie jestem historykiem. Nie mam nic prze ciwko snuciu opowieści, ale nie jestem przekonany do ich spisy wania. Gdybym podjął się takiego zadania, po kilku latach odpa dłaby mi ręka.

- Nie bądź taki skromny, dziadku. Obaj z Durnikiem wiemy, że nie musisz robić tego ręką. Potrafisz myśli przelać na papier nawet nie dotykając pióra.

- Zapomnij o tym - powiedział krótko Belgarath. - Nie mam zamiaru tracić czasu na coś tak nedorzecznego.

- Leń z ciebie, Belgaracie — oskarżył go Durnik.

- Dopiero teraz to zauważyłeś? Myślałem, że jesteś bardziej spostrzegawczy.

- Nie zrobisz więc tego? - zapytał Garion.

- Nie, chyba że ktoś poda mi lepszy powód od waszego.

Drzwi sypialni otworzyły się i do kuchni weszła Poledra.

- Macie zamiar rozmawiać całą noc? — powiedziała po cichu.

-Jeśli tak, to idźcie gdzie indziej. Jeżeli obudzicie dzieci... - Pole dra zawiesiła złowieszczo głos.

- Właśnie mówiliśmy o pójściu do łóżka, skarbie — skłamał gładko Belgarath.

- To idźcie, zamiast siedzieć i gadać o tym.

Belgarath wstał i przeciągnął się, być może odrobinę zbyt te- atralnie.

- Ona ma rację - zwrócił się do przyjaciół. - Niedługo będzie świtać, a bliźnięta odpoczywały całą noc. Jeśli chcemy się przespać, to lepiej zróbmy to teraz.

Wdrapali się na stryszek i zawinęli w koce na siennikach, które Durnik tam trzymał. Garion leżał później wpatrując się w powoli błędący blask ognia i migotliwe cienie zalegające pokój na dole. Rozmyślał o Ce'Nedrze i swych dzieciach, ale potem pozwolił myślom poszybować ku wydarzeniom tej szczególnej nocy. Ciocia Poi zawsze była ośrodkiem życia Gariona. Urodzenie bliźnięt nadało pełni jej życiu.

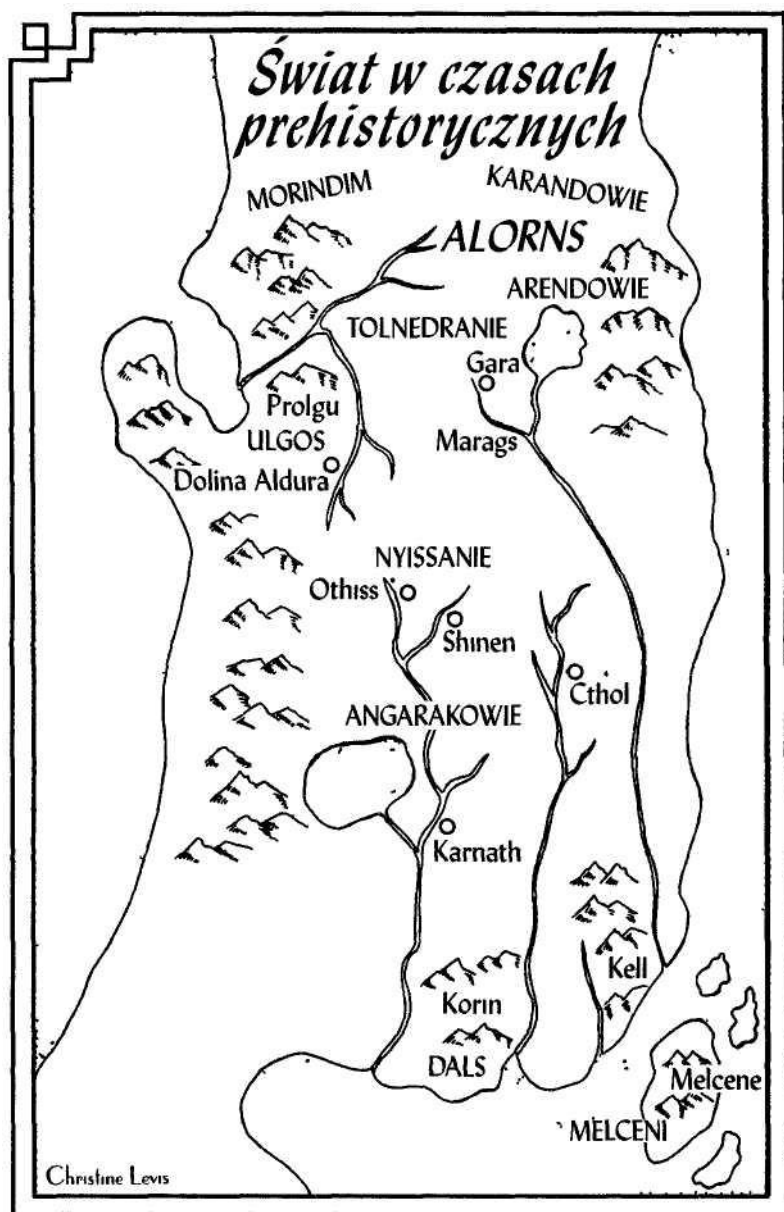
Tuż przed zaśnięciem rivański król wrócił myślami do rozmowy, którą właśnie odbyli z Durnikiem i dziadkiem. Musiał przyznać, że miał niekłamaność chęć przeczytać opowieść Belgaratha. Stary czarodziej był bardzo dziwnym i skomplikowanym człowiekiem. Jego wspomnienia pozwoliłyby Garionowi spojrzeć na dziadka pod innym kątem. Oczywiście należało go do tego zmusić. Belgarath był specjalistą w wymigiwaniu się od pracy. Garion pomyślał, że zna jednak sposób na wyciągnięcie od dziadka tej opowieści. Uśmiechnął się do siebie. Ogień na kominku przygasał. Garion wiedział już, jak się do tego zabrać. Pozna początek tej historii.

A potem, ponieważ naprawdę było późno, Garion zasnął. Być może dzięki znajomemu wnętrzu kuchni cioci Poi, śnił o farmie Faldorna, gdzie jego historia się zaczęła.

BELGARATH CZARODZIEJ

TOM PIERWSZY

DOLINA



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Im dłużej zastanawiać się nad jakimś pomysłem, tym bardziej możliwe wydaje się jego urzeczywistnienie Myśl rzucona dla zabicia czasu potrafi pizerodzić się w zobowiązanie, gdy podchwycą ją inni Dlaczego ludzie nie mogą zrozumieć, że jeśli o czymś mówię, me oznacza wcale, iż czynię to z ochotą?

Wszystko zapoczątkowała całkiem niewinna uwaga Durnika Kowal powiedział, że chciałby usłyszeć, jak się zaczęła ta cała historia Wiecie, jaki dociekliwy jest Durnik Potrafi wszystko rozebrać na części, aby dowiedzieć się, dlaczego to działa Tym razem mogę mu jednakże wybaczyć Poi właśnie obdarzyła go bliźniętami, a młodzi ojcowie mają skłonność do niezbyt mądrego zachowania Natomiast Garion powinien mieć na tyle oleju w głowie, aby się nie wtrącać Przeklinam dzień, w którym obudziłem w tym chłopcu ciekawość poznania początków W pewnych sprawach potrafi być okropnie marudny Gdyby po prostu dał temu spokój, me mozoliłbym się teraz nad tym paskudnym zadaniem

Ale gdzież tam Obaj wracali do sprawy dzień po dniu, jakby los świata od tego zależał Próbowałem zbyć ich mglistymi obietnicami - niczym konkretnym - i miałem słabą nadzieję, że zapomną o tej całej głupiej sprawie

Potem Garion zachował się tak bezwzględnie, tak podstępnie, że wstrząsnęło to mną do żywego Wspomniał Polgarze

o tym głupim pomysłe, a gdy wrócił do Rivy, powiedział również Ce'Nedrze. Mało tego, czy dacie wiarę, że namówił je, aby wmieszały w całą tę sprawę Poledrę?

Muszę przyznać, że sam sobie byłem winny. Na swoje usprawiedliwienie mam jedynie to, że owego wieczoru byłem nieco zmęczony. Mimowolnie pozwoliłem wymknąć się czemuś, co przez trzy eony skrywałem głęboko w swym sercu. Poledra spodziewała się dziecka, a ja zostawiłem żonę samą. Przez pół życia nosiłem poczucie winy za ten czyn. To było niczym nóż wbijany we wnętrność. Garion o tym wiedział i z zimną krwią, z rozmysłem, wykorzystał to, by nakłonić mnie do owego absurdalnego przedsięwzięcia. Był świadom, że w tych okolicznościach po prostu nie potrafię niczego odmówić swej żonie.

Poledra oczywiście nie wywierała na mnie żadnego nacisku. Nie musiała. Wystarczyło jedynie, by wspomniała, iż podoba jej się ten pomysł. W tej sytuacji nie miałem żadnego wyboru. Mam nadzieję, że król Rivy jest szczęśliwy z powodu tego, co mi uczynił.

To z całą pewnością błąd. Rozsądek mi mówi, że o wiele lepiej pozostawić *rzeczy* takimi, jakie są; przyczyny i skutki przysypane pyłem zapomnianych lat. Zostawiłbym je tak, gdyby to ode mnie zależało. Prawda zdenerwuje wielu ludzi.

Zrozumieją nieliczni, a jeszcze mniej zaakceptuje to, co mam zamiar przedstawić, ale, jak ze złośliwym uporem powtarzali mój wnuk i zięć, jeśli ja nie opowiem tej historii, uczyni to ktoś inny. Skoro jednak tylko ja znam jej początek, środek i koniec, więc to mnie przypadło spisanie na zniszczonym pergaminie atramentem, który już zaczyna blaknąć, nim wyschnie, dość niecodziennej relacji z tego, co naprawdę się wydarzyło - i dlaczego.

A zatem pozwólcie, że zacznę tę opowieść tak, jak zaczyna się wszystkie opowieści, od początku.

Urodziłem się w Garze, wiosce, której już dawno nie ma. O ile pamiętam, leżała ona na przyjemnie zielonym brzegu rzeczki połyskującej w letnim słońcu, jakby była posypana drogimi kamieniami. Oddałbym wszystkie klejnoty, jakie kiedykolwiek posiadałem lub widziałem, by znowu usiąść nad brzegiem tej bezimiennej rzeki.

Nasza wioska nie była bogata, ale w tamtych czasach żadna taka nie była. Na świecie panował pokój. Bogowie przechadzali się pomiędzy nami z uśmiechem. Nie pamiętam, kto był naszym Bogiem ani jakie miał atrybuty czy totem. Byłem wówczas bardzo młody, to przecież odległe czasy.

Bawiłem się z innymi dziećmi na gorących, zakurzonych ulicach, biegałem po łąkach, pośród wysokiej trawy i polnych kwiatów, wiosłowałem po migotliwej rzece, którą zatopiło Morze Wschodnie niezliczone lata temu.

Moja matka umarła, gdy byłem jeszcze całkiem mały. Pamiętam, że długo płakałem z tego powodu, choć muszę szczerze przyznać, iż nie potrafię sobie już przypomnieć jej twarzy. Zachowałem w pamięci delikatność rąk matki i zapach świeżo upieczonego chleba, który rozchodził się z kuchni, ale nie pamiętam jej twarzy. Czyż to nie dziwne?

Potem mieszkańcy Gary zajęli się moim wychowaniem. Nigdy nie znałem swego ojca i nie przypominam sobie, abym miał jakichś żyjących krewnych. Ludzie z wioski dbali, abym miał co jeść, dawali mi stare ubrania i pozwalali sypiać w swoich oborach. Nazywali mnie Garath, co w naszym osobliwym dialekcie oznaczało „z miasta Gary”. Możliwe, że było to moje prawdziwe imię. Nie pamiętam już, jak wołała na mnie matka, nie myślę jednak by miało to jakieś znaczenie. Garath było wystarczająco wygodnym imieniem dla sieroty, nie wprowadzało zbyteńnego zamętu w społecznej strukturze wioski.

Nasza wioska leżała gdzieś w pobliżu zbiegu granic starożytnych ojczyzn Tolnedran, Nyissan i Maragów. Myślę, że wszyscy byliśmy tej samej rasy, ale nie jestem tego zupełnie pewny. Przypominam sobie tylko jedną świątynię - jeśli można ją tak nazwać - co przemawiałoby za tym, iż oddawaliśmy cześć wspólnemu Bogu, a tym samym byliśmy jednej rasy. W owym czasie religia była mi rzeczą obojętną, nie pamiętam więc, czy świątynię wzniesiono ku czci Nedry, Mary czy Issy. Ziemie Arendów leżały nieco na północ, zatem całkiem możliwe, że nasza kośława świątynka została wzniesiona ku czci Chaldana. Jestem jednak pewny, iż nie czciliśmy Toraka ani Belara. Pamiętam, iż nie był to żaden z nich.

Już w dzieciństwie oczekiwano, że zapracuję na swoje utrzymanie. Wieśniacy nie byli skorzy do zapewniania mi luksusu błogiego nieróbstwa. Dali mi pracę pastucha krów, ale nie byłem w tym zbyt dobry, jeśli chcecie znać prawdę. Nasze krowy były karłowate i łagodne, więc niezbyt wiele z nich odłączało się od stada, gdy znajdowały się pod moją opieką, a te, które chodziły samopas, zwykle wracały na wieczorne dojenie. W sumie więc pasienie krów było dobrym zajęciem dla chłopaka, który nie bardzo garnął się do uczciwej pracy.

W owym czasie mój stan posiadania ograniczał się jedynie do tego, co miałem na grzbiecie, ale szybko nauczyłem się sobie radzić. Zamków jeszcze nie wynaleziono, nie miałem więc większych trudności z przetrząsaniem chat sąsiadów, gdy ci pracowali na polach. Kradłem głównie jedzenie, choć od czasu do czasu do mych kieszeni trafiały i inne drobiazgi. Niestety, gdy ginęły jakieś rzeczy, podejrzany z reguły byłem właśnie ja. Sieroty nie cieszyły się w owym czasie zbyt wielkimi względami. Z biegiem lat moja reputacja pogarszała się i innym dzieciom przykazano mnie unikać. Wieśniacy uważali, że jestem leniwy i niegodny zaufania, nazywali mnie również kłamcą i złodziejem - często prosto w twarz! Nie zaprzeczam zarzutom, ale niezbyt przyjemnie usłyszeć coś takiego prosto

w twarz. Mieli mnie ciągle na oku. Jasno też dali mi do zrozumienia, abym za dnia trzymał się z dala od wioski. Najczęściej jednak ignorowałem te drobne ograniczenia. Zacząłem znajdować przyjemność w zakradaniu się po jedzenie i różne przydatne rzeczy. Uważałem siebie za bardzo przebiegłego gościa.

Miałem chyba ze trzynaście lat, gdy zacząłem zwracać uwagę na dziewczęta. To dopiero zdenerwowało moich sąsiadów. Cieszyłem się w wiosce sławą rozpustnika, co dla młodzieży było czymś nieodparcie atrakcyjnym. A zatem zwracałem uwagę na dziewczęta, a dziewczęta interesowały się mną. I tak oto pewnego pochmurnego wiosennego ranka jeden z członków wioskowej starszyny przyłapał mnie w stodole ze swą najmłodszą córką. Zapewniam, że do niczego nie doszło. No, może do kilku niewinnych pocałunków, ale do niczego poważniejszego. Jednakże ojciec dziewczyny natychmiast pomyślał o najgorszym i spuścił mi tęgie lanie.

Ostatecznie udało mi się wyrwać i biegiem opuściłem wioskę. Przeszedłem w bród rzekę i w ponurym nastroju wspiałem się na wzgórze po przeciwnej stronie. Powietrze było zimne i suche. Nad głową gnały chmury pędzone rzeźkim wiatrem. Siedziałem tam bardzo długo, zastanawiając się nad swym położeniem. Doszedłem do wniosku, że nie mam już czego szukać w Garze. Moi sąsiedzi, muszę przyznać nie bez racji, spoglądali na mnie podejrzliwie, a incydent w stodole pewnie przepelnił miarę. Chłodna kalkulacja pozwalała podejrzewać, że w krótkim czasie zostanę poproszony stanowczo o opuszczenie wioski.

Z całą pewnością nie miałem zamiaru dać im tej satysfakcji. Obrzuciłem wzrokiem skupisko mrocznych chat przycupniętych nad rzeczką, pociemniałą pod pędzonymi przez wiatr wiosennymi chmurami. Potem odwróciłem się i spojrzałem na zachód, na rozległe łąki, ośnieżone szczyty za nimi, chmury gnające po szarym niebie i poczułem raptowną, nieprzewartą chęć wędrówki.

Świat nie kończył się na wiosce Gara; i nagle bardzo zapragnąłem wyruszyć, by go poznać. Nic właściwie mnie nie trzymało. Ojciec mej małej towarzyski i graszek pewnie będzie czatował na mnie — z pałką — gdy tylko pojawię się w okolicy. W tym momencie podjąłem decyzję.

Krótko po północy złożyłem ostatnią wizytę w wiosce. Nie miałem zamiaru odchodzić z pustymi rękoma. Szopa na zapasy dostarczyła mi tyle jedzenia, ile mogłem wygodnie unieść. Ponieważ zaś nie jest rozważnie podróżować bez broni, zabrałem również słusznych rozmiarów nóż. Rok wcześniej zrobiłem sobie procę. Nudne godziny spędzone na doglądaniu krów innych ludzi dawały mi pod dostatkiem czasu na ćwiczenia. Ciekaw jestem, co stało się z tą procą.

Rozejrzałem się po szopie i uznałem, że mam już wszystko, czego mi naprawdę potrzeba. Przekradłem się więc cicho zakurzoną ulicą, ponownie przeszedłem w bród rzekę i oddaliłem się z tego miejsca na zawsze.

Teraz, gdy wracam do tamtych dni myślami, uświadamiam sobie, że mam wobec owego wieśniaka o ciężkiej ręce ogromny dług wdzięczności. Gdyby nie wszedł wtedy do tej stodoły, to mógłbym nigdy nie wspiąć się na tamto wzgórze i nie spojrzeć na zachód. Równie dobrze mógłbym przeżyć swe życie w Garze i tam umrzeć. Czyż to nie dziwne, jak drobnostki mogą zmienić los człowieka?

Na zachodzie rozciągały się ziemie Tolnedran i o poranku byłem już na ich terytorium. Nie miałem żadnego konkretnego celu, popychał mnie jedynie ów osobliwy przymus wędrowki na zachód. Minąłem kilka wiosek, ale nie widziałem żadnego powodu, by się w którejś z nich zatrzymać.

W dwa, a może trzy dni po opuszczeniu Gary spotkałem zabawnego, dobrodusznego staruszka, jadącego na rozklekotanym wozie.

- Dokądże to podążasz, chłopcze? - zapytał mnie, jak sądziłem wówczas, w jakimś obcym dialekcie.

- W tamtą stronę, zdaje mi się - odparłem machnąwszy ręką niedbale ku zachodowi.

- Nie wydajesz mi się zbyt tego pewnym.

- Bo nie jestem — przyznałem z uśmiechem. - Po prostu czuję nieodpartą chęć zobaczenia, co jest za następnym wzgórzem.

Najwyraźniej potraktował moją odpowiedź dosłownie. Sądziłem wówczas, że jest Tolnedraninem, a zauważyłem, że to bardzo prozaiczni ludzie.

- Za tym wzgórzem niewiele jest, ot, Tol Malin - powiedział.

- Tol Malin?

- Całkiem spore miasteczko. Jego mieszkańcy jednakowoż przesadne mniemanie o sobie mają. Któż wszak kłopotałby się owym „Tol”, ale oni zdają się sądzić, iż przydaje to ważności temu miejscu. Podążam w tamtą stronę i jeśli zechcesz jechać ze mną, możesz. Wskakuj, chłopcze. Wszak daleka to droga na piechotę.

Wówczas myślałem, że wszyscy Tolnedranie mówią w ten sposób, ale wkrótce odkryłem, iż byłem w błędzie. W Tol Malin zabiłem kilka tygodni. To tam po raz pierwszy spotkałem się z pieniędzmi. Bankierzy tolnedrańscy wynaleźli pieniądze. Pomysł ten wydał mi się fascynujący. Oto było coś wystarczająco małego, aby schować to w kieszeni, a jednak o ogromnej wartości. Ktoś, kto ukradł fotel, stół lub konia, rzuca się w oczy. Pieniądze zaś, gdy już /najdą się w twej kieszeni, trudno rozpoznać jako cudzą własność.

Niestety, Tolnedranie w bardzo zaborczy sposób podchodzili do swych pieniędzy. W Tol Malin po raz pierwszy usłyszałem, jak krzyczano: „Zatrzymać złodzieja!”. Wtedy dość pospiesznie opuściłem miasto.

Zdajecie chyba sobie sprawę, że nie wyciągałbym na światło d/ienne swych chłopięcych grzeszków, gdyby nie moja córka. Potrafi być bardzo niezdolna, gdy czasami coś mi się przytrafi.

Chciałbym jedynie, aby ludzie dla odmiany spojrzeli na to z mojej strony. Czy w danych okolicznościach miałem jakiś wybór?

Rzecz zastanawiająca, spotkałem ponownie tego samego zabawnego staruszka około pięciu mil za Tol Malin.

- No cóż, chłopcze - powitał mnie. - Widzę, że nadal podążasz na zachód.

- W Tol Malin doszło do drobnego nieporozumienia — odparłem wymijająco. — Pomyślałem, że lepiej dla mnie będzie opuścić to miejsce.

Staruszek roześmiał się ze zrozumieniem. Jego śmiech zaś sprawił, że dzień wydał mi się pogodniejszy. Starzec wyglądał zwyczajnie. Miał białe włosy i brodę, ale jego intensywnie niebieskie oczy dziwnie nie pasowały do pomarszczonej twarzy. Biła z nich mądrość, choć nie wyglądały na oczy starego człowieka. Zdawały się przenikać na wylot wszystkie moje mętne wyjaśnienia.

- Wskakuj zatem, chłopcze - powiedział. - Tuszę, iż nadal w tym samym kierunku zdążamy.

Przez następne kilka tygodni podróżowaliśmy przez ziemie Tolnedran, kierując się ciągle na zachód. A było to w czasach, gdy ludzi nie ogarnęła jeszcze mania budowy prostych, dobrze utrzymanych traktów. Szlak, którym podążaliśmy, był zaledwie śladem kół, który wijąc się przez łąki, oznaczał drogę najłatwiejszego przejazdu.

Tolnedranie byli rolnikami, jak niemal wszyscy w tamtych czasach. Po drodze było jednak bardzo niewiele samotnych farm, ponieważ większość ludzi mieszkała w wioskach. Codziennie skoro świt wyruszali do pracy na swych polach i wracali wieczorem.

Pewnego ranka, w środku lata, przejeżdżaliśmy przez jedną z tych wiosek. Zobaczyłem wówczas wieśniaków mozolnie wędrujących do pracy.

- Czyż nie byłoby łatwiej, gdyby po prostu zbudowali swoje domy tam, gdzie są ich pola? — zapytałem staruszka.

- Prawdopodobnie tak - przyznał - ale wówczas byliby wieśniakami, a nie mieszczanami. Tolnedranin wolałby umrzeć, niż być uznanym za wieśniaka.

- To śmieszne - zaprotestowałem. — Całymi dniami grzebią w ziemi, a to chyba znaczy, że są wieśniakami, prawda?

- Tak - odparł spokojnie staruszek. - Im się chyba jednakże zdaje, że mieszkanie w wiosce czyni z nich mieszczan.

- Czy to dla nich takie ważne?

- Bardzo ważne, chłopcze. Tolnedranin nade wszystko pragnie zachować dobre mniemanie o sobie.

- Myślę, że to głupie.

- Ludzie wiele rzeczy głupich czynią. Przeto bacznie patrz i słuchaj, gdy następnym razem mijać będziemy jedną z wiosek. Jeśli będziesz uważny, pojmiesz, co miałem na myśli.

Zapewne nie zwróciłbym na to uwagi, gdyby nie ów staruszek. W ciągu następnych kilku tygodni przejeżdżaliśmy przez kilka wiosek i miałem okazję poznać Tolnedran. Nie obchodzili mnie zbytnio, ale przyjrzałem się im. Tolnedranie niemal każdą minutę dnia poświęcają na dokładne określenie swej pozycji w miejscowej społeczności. Im zaś wyższa wedle ich mniemania ma być, tym stają się agresywniejsi. Tolnedranin źle traktuje swoich służących nie z okrucieństwa, ale z głęboko zakorzenionej potrzeby udowodnienia swej wyższości. Spędza całe godziny przed lustrem, ćwicząc hardy, wyniosły wyraz twarzy. Być może to właśnie drażniło mnie w nich szczególnie. Nie lubię, gdy ludzie traktują mnie z góry, mój status włóczęgi zaś stawiał mnie na samym dole drabiny społecznej, więc każdy patrzył na mnie z wyższością.

- Następny nadęty dupek, który mnie wyszydzi, dostanie po gębie — mruknąłem posepnie, gdy mineliśmy kolejną wioskę.

- A po cóż się tym kłopotać? — zapytał staruszek, wzruszając ramionami.

- Nie dbam o ludzi, którzy traktują mnie jak śmieć.
- Azali doprawdy obchodzi cię to, co oni sobie myślą?
- Ani trochę.
- Po cóż zatem tracić nań siły? Musisz nauczyć śmiać się z tego, chłopcze. Azali nie są głupcami owi przekonani o swej ważności wieśniacy?
- Oczywiście.
- A czyż uderzenie jednego z nich nie czyni cię równie głupim - a nawet głupszym? Azali jakiegokolwiek znaczenie ma to, co myślą o tobie inni, dopóki ty wiesz kim jesteś?
- No cóż, nie, ale... - szukałem niezdarnie jakiegoś wytłumaczenia, lecz żadnego nie znalazłem. W końcu roześmiałem się nieco zakłopotany.

Staruszek poklepał mnie czule po plecach.

- Miałem nadzieję, że tak właśnie do tego w końcu podejdziesz.

To było chyba najważniejsze, czego nauczyłem się przez lata. Na dłuższą metę większą satysfakcję daje wyśmiewanie w duchu głupców, niż szamotanie się z nimi w ulicznym pyle. Poza tym jest to o wiele korzystniejsze dla ubrania.

Wydawało się, że staruszek podróżował bez celu. Miał wóz, ale nie wioził na nim niczego ważnego —jedynie kilka niepełnych worków ziarna dla swego niedużego konika, beczułkę wody, trochę jedzenia i parę postrzępionych starych koców, którymi z ochotą się ze mną dzielił. Im lepiej się poznawaliśmy, tym bardziej zaczynałem go lubić. Zdawało się, że dostrzegał istotę wszechrzeczy i we wszystkim znajdował coś do śmiechu. Z czasem i ja również zacząłem się śmiać. Zdałem sobie sprawę, że ze wszystkich znajomych, jego pierwszym byłbym skłonny nazwać przyjacielem.

Staruszek opowiadał o ludziach, którzy mieszkali na tej rozległej równinie. Odniosłem wrażenie, że znaczną część swego życia spędził na podróżowaniu. Pomimo zabawnego sposobu mówienia

- a może właśnie dlatego - jego spostrzeżenia na temat różnych ras okazały się bardzo trafne. Spędziłem tysiące lat z tymi ludźmi i ani razu nie stwierdziłem, aby okazały się mylne. Powiedział mi, że Alornowie są awanturnikami, Tolnedranie materialistami, a Arendowie niezbyt bystry. Maragowie byli uczuciowi i kapryśni, ale wielkoduszni wobec tych, którzy się znaleźli w kłopotach. Nysisanie byli leniwi i nieszczerzy, a Angarakowie obsesyjnie religijni. Dla Morindimów i Karandów żywił jedynie litość, dla Dalów zaś szczególny rodzaj szacunku. Poczulem osobliwy ból i doświadczyłem uczucia głębokiej straty, gdy któregoś z tych chłodnych, pochmurnych dni staruszek ściągnął lejce swego konia i powiedział:

- Tu nasze drogi się rozchodzą, chłopcze. Zeskakuj.

Zdenerwowała mnie lakoniczność jego oświadczenia.

- W którą stronę się udajesz? - zapytałem go.

- A jakaż to różnica, chłopcze? Ty zdążasz na zachód, a ja nie. Spotkamy się jeszcze, ale na razie nasze drogi się rozchodzą. Musisz jeszcze wiele zobaczyć, a ja już to wszystko widziałem. Mo że pogawędzimy o tym przy następnym spotkaniu. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz, lecz tymczasem zeskakuj.

Urażony tym dość nonszalanckim odprawieniem, nie sililem się na zbytnie uprzejmości. Zebrałem swe rzeczy, zeskoczyłem z wozu i ruszyłem na zachód. Nie oglądałem się, więc nie potrafię powiedzieć, w którym kierunku odjechał. Gdy się obejrzałem, nie było go już widać.

Staruszek dał mi ogólne pojęcie o geografii ziem leżących przede mną. Wiedziałem, że było zbyt późno na wyprawę w góry oraz że przed sobą miałem rozległy las po drugiej stronie rzeki, która w odróżnieniu od innych rzek, płynęła z południa na północ. Z jego opisów wiedziałem, że te ziemie były słabo zaludnione, więc będę zmuszony sam o siebie zadbać, nie mogąc liczyć na utrzymanie się z drobnych kradzieży. Ale byłem miody, pewny swej biegłości w strzelaniu z procy i przekonany, iż sobie poradzę.

Okazało się jednak, że nie musiałem sam zdobywać pożywienia tej zimy. Na skraju lasu natknąłem się na duże obozowisko dziwnych starych ludzi. Mieszkali w namiotach. Mówili językiem, którego nie rozumiałem. Na mój widok oczy zaszyły im łzami, ale z uśmiechem zaprosili mnie do siebie.

Byli najbardziej osobliwą społecznością, jaką spotkałem, a wierzcie mi, że widziałem ich wiele. Mieli dziwnie bladą skórę, co uznałem za charakterystyczne dla ich rasy, ale najbardziej niezwykle wydało mi się to, że nie było wśród nich nikogo poniżej siedemdziesiątki.

Traktowali mnie z wielkim uważaniem. Wciąż jednak większość z nich szlochała na mój widok. Całymi godzinami potrafili siedzieć i wpatrywać się we mnie, co, delikatnie mówiąc, wprawiało mnie w zakłopotanie. Żywili mnie, rozpieszczali i zapewnili całkiem luksusową kwaterę, jeśli można tak nazwać namiot. Nikt w nim nie mieszkał i odkryłem, że w ich obozowisku było wiele pustych namiotów. Po miesiącu wiedziałem już dlaczego. Nie było tygodnia, aby któryś z nich nie umarł. Jak mówiłem, wszyscy byli bardzo starzy. Macie pojęcie, jak przygnębiające było życie w miejscu, gdzie wiecznie odbywały się pogrzeby?

Nadciągała jednak zima, a ja miałem miejsce do spania, ogień, przy którym mogłem się ogrzać, a starzy ludzie dobrze mnie karmili, więc uznałem, że zniosę tę odrobinę przygnębienia. Postanowiłem jednak, iż z pierwszym powiewem wiosny odejdę.

Nie trudziłem się zbyt, by nauczyć się ich języka. Potrafiłem rozróżnić jedynie kilka słów. Najczęściej powtarzały się „Go-rim” i „Ul”, brzmiące jak imiona i prawie zawsze wymawiane tonem głębokiego żalu.

Oprócz pożywienia, starzy ludzie zaopatrzyli mnie również w ubranie; moje nie było najlepsze i bardzo się zniszczyło w czasie podróży. Nie wymagało to szczególnego wyrzeczenia z ich

strony, albowiem tam, gdzie co rusz odbywają się pogrzeby, nie brak zbędnego odzienia.

Gdy śnieg stopniał, a mróz zaczął wysączać się z ziemi, po cichu zacząłem czynić przygotowania do odejścia. Kradłem jedzenie - po trochu za każdym razem, aby nie wzbudzić podejrzeń - i ukrywałem w swym namiocie. Z namiotu ostatniego ze zmarłych zwędziłem całkiem porządny wełniany płaszcz. Tu i ówdzie pobierałem inne użyteczne rzeczy. Dokładnie zbadałem otaczający teren i tuż na zachód od obozu znalazłem miejsce, w którym mogłem przejść rzekę w bród. Wówczas, ze szczegółowym planem ucieczki w głowie, spokojnie czekałem, aż zima odejdzie na dobre.

Jak to zwykle wczesną wiosną bywa, mieliśmy kilka tygodni ciągłego deszczu, więc nadal czekałem, choć moja niecierpliwość stawała się trudna do zniesienia. W ciągu zimy ów osobliwy przymus, który dokuczał mi, odkąd opuściłem Garę, uległ subtelnej zmianie. Teraz miałem wrażenie, że ciągnie mnie na południe zamiast na zachód.

W końcu deszcze ustały, a wiosenne słońce wydawało się wystarczająco ciepłe, aby uczynić wędrówkę przyjemną. Pewnego wieczoru zebrałem swoje łupy, upchałem je do tobołka, który zrobiłem w czasie długich zimowych wieczorów, i usiadłem w namiocie, nasłuchując cichnących odgłosów krzątający starych ludzi. Potem, gdy wokół zapanowała cisza, wykradłem się ze swego tymczasowego domu i ruszyłem na skraj lasu.

Tej nocy księżyc był w pełni, a gwiazdy świeciły szczególnie jasno. Przekradłem się przez cienisty las, przeszedłem w bród rzekę i wspiąłem się na drugi brzeg z uczuciem ogromnej radości. Byłem wolny!

Przez większą część nocy szedłem wzdłuż rzeki na południe, oddalając się możliwie jak najbardziej od starych ludzi - na odległość, której nie mogłyby przebyć ich sędziwe nogi.

Las wydawał się niewiarygodnie stary. Drzewa były ogromne, a podłoże, przesłonięte liściastym baldachimem, pozbawione typowego krzaczastego poszycia. Zamiast tego zaścierał je bujny zielony mech. Las robił na mnie wrażenie zaczarowanego i gdy tylko upewniłem się, że nie będzie pogoni, uznałem, iż w rzeczywistości nie spieszy mi się tak bardzo. Pomaszerowałem więc wolno, czy też, jak kto woli, ruszyłem spacerkiem, na południe. Nic mnie nie goniło, nie licząc owej niezbyt teraz naglącej potrzeby, by dokądś iść, choć nie miałem najmniejszego pojęcia dokąd.

A potem drzewa rozstały się, robiąc miejsce trawiastej dolinie, poznaczonej tu i tam rozkosznymi kępami kniei. Bujne zarośla krzewów jagodowych porastały brzegi głębokich, zimnych strumieni o wodzie tak czystej, że bez trudu dojrzałem pstrąga, który z głębokości dziesięciu stóp spoglądał na mnie ciekawie, gdy przyklęknąłem, aby się napić.

Jeleń, spokojny i łagodny niczym baranek, pasł się na soczystej zielonej łące, przyglądając mi się wielkimi, pokornymi oczyma.

Włóczyłem się zupełnie otumaniony, szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Stłumiony głos rozważli mówił mi, że moje zapasy jedzenia nie są wieczne, ale wydawało się, iż rzeczywiście się nie zmniejszają - być może dlatego, że objadałem się jagodami i innymi dziwnymi owocami.

Długo zamarudziłem w tej zaczarowanej dolinie. Po jakimś czasie doszedłem do samego jej środka. Rosło tam drzewo tak rozłożyste, że jego ogrom przyprawił mnie o zawrót głowy.

Nie uważam się za szczególnego znawcę roślin, ale dziewięć razy obszedłem świat dookoła i jak dotąd nie widziałem nigdzie takiego drzewa. I, co było zapewne błędem, podeszedłem do niego. Położyłem dłonie na chropowatej korze. Nieraz zastanawiałem się, co by było, gdybym tego nie uczynił.

Spłynął na mnie wprost niewiarygodny spokój. Polgara przypisałaaby to pewnie memu wrodzonemu lenistwu, ale byłaby

w błędzie. Nie mam pojęcia, jak długo siedziałem pogrążony w duchowej wspólnoty z tym prastarym drzewem. Wiem, że musiałem być jakimś sposobem żywiony i podtrzymywany przy życiu, gdy godziny, dni, a nawet miesiące przepływały niezauważenie, ale nie pamiętam, abym jadł lub spał.

A potem, nagle, zrobiło się zimno i zaczął padać śnieg. Cały czas zima niczym śmierć skradała się za mną.

Postanowiłem wrócić do obozu starych ludzi na następną zimę, chyba że trafi mi się coś lepszego, ale było jasne, iż zbyt długo zmitrężyłem w hipnotycznym cieniu tego głupiego drzewa.

Śnieg napadał tak głęboki, że z ledwością przez niego brnąłem. Jedzenie skończyło się, buty miałem znoszone, zgubiłem swój nóż i nagle zrobiło się bardzo, bardzo zimno. Nie chcę nikogo oskarżać, ale wydaje mi się, że to była lekka przesada.

W końcu, przemoczony do suchej nitki, z oblodzonymi włosami, skuliłem się za stertą kamieni, która zdawała się wznosić w samo serce śnieżnej burzy szalejącej wokół mnie. Próbowiałem przygotować się na śmierć. Pomyślałem o wiosce Gara i trawiastych polach wokół niej, o migotliwej rzece i mojej mamie, i - ponieważ nadal byłem jeszcze bardzo młody - rozplakałem się.

- Czemuż to płaczesz, chłopcze? - usłyszałem niezwykle ła godny głos. Śnieg padał tak gęsty, że nie mogłem dojrzeć, kto mówił, ale ton tego głosu z jakiegoś powodu mnie rozgniewał. Czyżbym nie miał powodu do płaczu?

- Ponieważ jestem zziębnięty i głodny - odparłem - i ponieważ umieram, a tego nie chcę.

- A czemuż to umierasz? Czyżbyś był ranion?

- Zgubiłem się — powiedziałem nieco opryskliwie. — Sypie śnieg, a ja nie mam gdzie się schronić.

Ślepy był, czy co?

- Azali byłby to dla twego rodzaju wystarczający powód, by zemrzeć?

- A nie jest wystarczający?

- A jakże długo to twoje umieranie potrwa? - głos zdradzał jedynie niewielką ciekawość.

- Nie wiem - odparłem w nagłym przyplywie rozczenia nad samym sobą. - Nigdy tego dotąd nie robiłem.

Wicher zawył i zawirował wokół mnie gęstszy śnieg.

- Chłopcze - powiedział w końcu głos - chodź tu do mnie.

- Gdzie jesteś? Nie widzę cię.

- Obejdź wieżę w lewo. Azali odróżniasz rękę lewą od prawej?

Nie musiał zachowywać się tak obraźliwie! Rozgniewany wstałem na swoje wpeł zamarznięte nogi. Śnieg oślepił mnie.

- No, chłopcze? Idziesz to?

Ruszyłem wokół tego, co uważałem jedynie za stertę kamieni.

- Powinieneś dojść do gładkiego, szarego kamienia - odezwał się głos. - Jest nieco wyższy niż twa głowa i szeroki na wyciągnięcie ramion.

- No dobrze — wycodziłem przez szczękające zęby, gdy dotarłem do opisanego przez niego kamienia. — Co teraz?

- Powiedz, aby się otworzył.

- Co takiego?

- Przemów do kamienia - powiedział cierpliwie głos, ignorując fakt, że zamarzałem na śnieżycy. - Rozkaż mu, by się otworzył.

- Rozkazać? Ja?

- Tyś jest człowiek. To jest tylko kamień.

- Co mówileś?

- Powiedz, aby się otworzył.

- Myślę, że to głupie, ale spróbuję — rzekłem. Odwróciłem się do kamienia. - Otwórz się - rozkazałem bez przekonania.

- Z pewnością potrafisz uczynić to lepiej.

- Otwórz się! - huknąłem.

Kamień odsunął się.

- Wejdz, chłopcze - powiedział głos. - Nie stercz tak na nie pogodzie jak ciele. Jest całkiem chłodno.

Czyżby dopiero teraz to zauważył?

Wszedłem do przedsionka, w którym znajdowały się jedynie kamienne schody, wijące się ku górze. Dziwne, nie było ciemno, choć nie widziałem, skąd płynie światło.

- Zamknij drzwi, chłopcze.

-Jak?

- A jakże je otworzyłeś?

Odwróciłem się ku wejściu i z pewną dumą rozkazałem:

- Zamknij się!

Na dźwięk mego głosu kamień przesunął się ze zgrzytem, który zmroził mnie bardziej niż sroga śnieżycy na dworze. Byłem w pułapce! Chwilowa panika minęła, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy od wielu dni byłem suchy. Nie powstała nawet kałuża wokół moich stóp! Działo się tu coś dziwnego.

- Wejdz na górę, chłopcze — polecił głos.

Jaki miałem wybór? Wszedłem na kamienne stopnie, wytarte przez niezliczone stulecia stąpania i nieco zalekziony począłem wspinać się krętymi schodami. Wieża była bardzo wysoka i wspinaczka zajęła mi wiele czasu.

Na szczycie znajdowała się komnata pełna cudów. Spoglądałem na rzeczy, jakich nigdy dotąd nie widziałem. Byłem młody i, podówczas, nie całkiem wolny od myśli o kradzieży. Złodziejstwo zagnieżdziło się w mojej robaczywej małej duszy. Jestem pewny, że to wyznanie Polgara uzna za szczególnie zabawne.

W pobliżu ognia — płonącego, jak zauważyłem, bez żadnego podsycania - siedział człowiek, który wydawał się wprost niewiarygodnie stary, lecz dziwnie znajomy, choć nie potrafiłem powiedzieć, skąd go znałem. Miał brodę długą, gęstą i białą jak śnieg,

który niemal mnie zabił, ale oczy osobliwie młode. Myślę, że to właśnie oczy wydawały mi się znajome.

—A zatem, chłopcze — powiedział - czyżeś postanowił nie umierać?

—Tak, jeśli to nie jest konieczne - odrzekłem odważnie, na dół katalogując w myślach cuda komnaty.

—Azali czegoś ci potrzeba? - zapytał. - Słabo znam twój rodzaj.

—Trochę jedzenia, być może - odparłem. - Nie jadłem od dwóch dni. I ciepły kąpiel do spania, jeśli nie masz nic przeciwko temu. — Pomyślałem, że może dobrym pomysłem byłoby pozostanie u tego dziwnego starca, więc pospiesznie dodałem: — Nie sprawię wiele kłopotu, Mistrzu, i mogę być w zamian użyteczny. - To była zręczna mała przemowa. W czasie miesięcy spędzonych z Tołnedranami nauczyłem się, jak być miłym dla ludzi, którzy mogli mi wyświadczyć przysługę.

—Mistrzu? - powiedział i roześmiał się tak radośnie, że niemal porwał mnie do tańca. Gdzie słyszałem już ten śmiech? —Jam nie jestem twym Mistrzem, chłopcze - rzekł. Po czym ponownie się roześmiał, a moje serce rozspiewało się wspaniałością jego wesołości. - Zajmijmy się teraz sprawą jada. Czego ci potrzeba?

—Trochę chleba, niezbyt czerstwego, jeśli można.

—Chleba? Tylko chleba? Z pewnością, chłopcze, twój żołądek jest gotów na więcej niż chleb. Skoro masz być użytecznym - jak obiecałeś - musimy odżywiać cię właściwie. Zastanów się, chłopcze. Pomyśl o wszystkich rzeczach, które jadłeś w swym życiu. Co najpewniej zaspokoiliby twój potężny głód?

Nie potrafiłem nawet tego wymówić. Przed moimi oczyma przepływały wizje parujących pieczeni, tłustej gęsi pływającej we własnym sosie, bochenki świeżo upieczonego chleba i tłustego, złocistego masła, klusek w gęstej śmietanie, sera i ciemnego ale, owoców i orzechów, i soli do doprowadzenia tego wszystkiego. Wizja była tak realna, iż wydawało mi się, że czuję zapach.

A on, siedząc przy jasnym ogniu, który zdawał się płonąć z samego powietrza, roześmiał się i me serce znowu zatańczyło z radości.

- Odwróć się, chłopcze - powiedział - i jedz do syta.

Odwróciłem się i oto na stole, którego poprzednio nie widziałem, stało wszystko, co sobie wyobraziłem. Nic dziwnego, że czułem zapach! Głodny chłopak nie pyta, skąd wzięło się jedzenie - po prostu je. Tak więc jadłem. Jadłem, dopóki mój żołądek nie zaczął trzeszczeć w szwach. Cały czas towarzyszył mi śmiech starca, siedzącego przy ogniu, a moje serce podskakiwało przy każdym dziwnie znajomym chichocie.

A gdy skończyłem i siedziałem senny nad swym talerzem, starzec znowu się odezwał.

- Chcesz spać, chłopcze?

- Wystarczy mi byle kąt, Mistrzu - powiedziałem. - Kawalek miejsca przy ogniu, jeśli to nie sprawi zbytniego kłopotu.

- Śpij tam, chłopcze - rzekł, wskazując ręką i w tej samej chwili zobaczyłem łóżko, którego nie widziałem poprzednio - ogromne łoże z wielkimi poduchami i pierzynami z najmiększego puchu. Uśmiechnąłem się w podzięcie, wpełzłem do łóżka i, ponieważ byłem młody i bardzo zmęczony, zasnąłem niemal na tychmiast, nawet przez chwilę nie zastanawiając się nad tym, jakie (o wszystko było dziwne.

Ale we śnie wiedziałem, że ten, kto wyprowadził mnie ze śnieżycy, nakarmił i dał schronienie, czuwał nade mną przez długą, śnieżną noc, i spałem jeszcze spokojniej w przytulnym ciepłe jego opieki.

ROZDZIAŁ DRUGI

I tak zaczęła się moja służba. Zadania, które początkowo zlecał mi Mistrz, były proste — „Zamieć podłogę”, „Przynieś trochę drewna na opał”, „Umyj okna” - tego rodzaju rzeczy. Przypuszczam, że wiele z nich powinno wzbudzić moje podejrzenia. Mógłbym przysiąc, że nigdzie nie było ani pyłku kurzu, gdy po raz pierwszy wspiałem się do tej komnaty w wieży i, zdaje się, iż wspominałem o tym wcześniej, ogień płonący na kominku nie potrzebował podsycania. Wyglądało na to, że on w jakiś sposób wyszukiwał dla mnie zajęcia.

Jednakże był dobrym Mistrzem. Choćby z tego względu, że nie rozkazywał jak Tolnedranie swej służbie, lecz tylko czynił sugestie.

- Azali nie sądzisz, że podłoga na powrót brudna się stała, chłopcze?

Lub:

— Czyż nie byłoby rozważnym zgromadzić trochę drewna na opał?

Te posługi w żadnym razie nie były ponad moje siły czy możliwości, a pogoda na zewnątrz wydawała się wystarczająco nieprzyjemna, aby przekonać mnie, że to niewielka cena za jedzenie i schronienie. Postanowiłem jednak, iż gdy nadejdzie wiosna, a on zacznie mi wyszukiwać zajęcia na dworze, to postaram się zrewidować nasz układ. Nie ma zbyt wiele do robienia, gdy zima

trzyma nas w domu, ale cieplejsza pogoda niesie ze sobą możliwości cięższych i bardziej nużących prac. Jeśli sprawy przybiorą zbyt nieprzyjemny obrót, zawsze mogę się zebrać i odejść.

Jednakże w tej myśli było coś osobliwego. Przymus, który o władnął mną w Garze, teraz zniknął. Specjalnie się jednak nad tym nie zastanawiałem. Po prostu uznałem, że opuścił mnie, i nie rozmyślałem o tym więcej, a może wyrosłem z tego. Zdaje mi się, że wieloma sprawami nie zaprzętałem sobie głowy tej pierwszej zimy.

Na przykład, bardzo niewielką uwagę zwróciłem na fakt, że mój Mistrz zdawał się nie mieć żadnych widocznych środków do życia. Nie hodował bydła, owiec czy choćby kur i nie było szop ani innych zabudowań w otoczeniu jego wieży. Nie potrafiłem nawet znaleźć spiżarni. Wiedziałem, że gdzieś musi jakaś być, ponieważ posiłki, które przygotowywał, pojawiały się zawsze na stole, gdy stawałem się głodny. Niezwykle, fakt, że nigdy nie widziałem go gotującego, nie wydawał mi się szczególnie dziwny. Nawet fakt, że ani razu nie widziałem Mistrza jedzącego czegokolwiek, nie wydał mi się zastanawiający. To było tak, jakby moja wrodzona ciekawość - a wierzcie mi, że potrafię być bardzo ciekawski — w jakiś sposób została uspijona.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, czym zajmował się owej długiej zimy. Zdawało mi się, że bardzo wiele czasu spędzał na wpatrywaniu się w krągły kamień. Nie odzywał się zbyt często, ale ja mówiłem za nas dwóch. Zawsze lubiłem brzmienie swego głosu - zauważyliście to?

Moja nieustanna paplanina musiała rozpraszać uwagę Mistrza, ponieważ pewnego wieczoru z niejakim naciskiem zapytał, czy nie poczytałbym sobie czegoś.

Oczywiście wiedziałem, co to jest czytanie. Nikt w Garze nie miał pojęcia na czym to polega, ale ja widziałem, jak Tolnedranie czytali - lub udawali, że to robią. Wówczas wydawało mi się to

niewiele głupie. Po co trudzić się pisaniem listu do kogoś, kto mieszka dwa domy dalej? Jeśli ma się ważną sprawę, to po prostu wystarczy zajść i powiedzieć o rym.

- Nie wiem, jak się czyta, Mistrzu - przyznałem się.

Wydał się tym naprawdę zaskoczony.

- Azali w istocie sprawy tak się mają, chłopcze? - zapytał. - Sądziłem, że umiejętność owa wrodzona jest waszemu rodzajowi.

Pragnąłem, aby przestał mówić o „moim rodzaju”, tak jakbym należał do jakiegoś nieokreślonego gatunku gryzoni czy owadów.

- Zdejmij tę książkę, chłopcze - polecił, wskazując na górną półkę.

Podniosłem wzrok z pewnym zdumieniem. Na półce znajdowało się kilkanaście opasłych tomisk. Sprzątałem, odkurzałem i pucowałem ten pokój od podłogi po sufit kilkanaście razy, a może więcej, i przysięgłbym, że tej półki tam nie było. Swoje zakłopotanie skryłem za pytaniem:

- Którą, Mistrzu?

Zważcie, że zacząłem nabierać dobrych manier.

- Którąkolwiek - odparł obojętnie.

Wybrałem przypadkowo jedną z książek i zdjąłem ją z półki.

- Usiądź, chłopcze — powiedział. — Udzielę ci pouczenia.

Niczego nie wiedziałem na temat czytania, więc zdziwiło mnie, że pod delikatną opieką Mistrza nabrałem wprawy w czytaniu w przeciągu godziny. Albo więc byłem szczególnie uzdolnionym uczniem - co wydawało się wysoce nieprawdopodobne — albo on był najwspanialszym z nauczycieli, jacy kiedykolwiek żyli.

Od tej chwili stałem się żarłocznym czytelnikiem. Pożarłem zawartość jego półki na książki od początku do końca. Wówczas, z pewnym żalem, wróciłem do pierwszej książki, by odkryć, że nigdy jej nie widziałem. Czytałem, czytałem i czytałem, i każda strona była dla mnie nowa. Kilkanaście razy sięgałem od początku do

książek z półki i za każdym razem znajdowałem tam nowe. Czytanie otworzyło przede mną świat umysłu i stwierdziłem, że bardzo mi się to podoba.

Moja nowo odkryta pasja zapewniła Mistrzowi trochę spokoju. Zdawało się, że z aprobatą spoglądał, jak przesiaduję do późna w te długie śnieżne zimowe wieczory, czytając teksty w językach, w których nie potrafiłem mówić, ale pomimo to doskonale rozumiałem słowa zdające się wyskakiwać do mnie ze stronic książki. Mgliście — chyba już wspominałem, iż moja ciekawość była jakby przytępiona - zdawałem sobie również sprawę z tego, że gdy czytałem, Mistrz nie miał dla mnie zajęć, przynajmniej początkowo. Konflikt pomiędzy czytaniem i codziennymi pracami pojawił się później. I tak minęła nam zima. Ogólnie rzecz biorąc, pewnie nigdy nie byłem tak szczęśliwy.

Jestem przekonany, że to książki zatrzymały mnie tam przez wiosnę i lato. Tak jak podejrzewałem, nastanie ciepłych dni i nocy rozbudziło pomysłowość mojego Mistrza. Wynajdywał mi najprzeróżniejsze zajęcia na zewnątrz - głównie nieprzyjemne, wymagające sporego wysiłku i wyciskające pot. Nie sprawiało mi na przykład przyjemności ścinanie drzew, szczególnie siekierą. Wielokrotnie łamałem trzonek siekiery tej zimy - całkiem umyślnie, muszę przyznać, a on w cudowny sposób naprawiał się w ciągu nocy. Nienawidziłem tej przeklętej niezniszczalnej siekiery!

Rzecz dziwna, ale to nie harówkę miałem mu za złe, ale czas, który traciłem na walenie w te nieustępliwe drzewa. Mogłem go spędzić z większym pożytkiem, usiłując przekopać się przez tę wiecznie pełną nowych książek półkę. Każda strona otwierała przede mną nowe cuda i jęczałem głośno, gdy Mistrz sugerował, że już czas, byśmy, ja i moja siekiera, poszli się znowu nieco zabawić.

Nim się obejrzałem, ponownie nadeszła zima. Z miotłą wiodło mi się lepiej niż z siekierą. Kurz po kątach długo potrafił się

nie rzucać w oczy. Kontynuowałem swoje czytanie, przekopując się przez tę półkę z książkami tam i z powrotem, i pewnie przeczytałbym jeszcze więcej, jednakże mój Mistrz, wiedziony jakimś niezrozumiałym sadystycznym instynktem, zawsze doskonale wiedział, kiedy z najmniejszą ochotą robiłem sobie przerwę w czytaniu. Nieuchronnie wybierał ten właśnie moment, by zaproponować mi zamiatanie, mycie naczyń czy przyniesienie drew na opał.

Czasami przerywał swoje zajęcia i przyglądał się mej pracy z wyrazem oszołomienia. Potem wzdychał i wracał do tego, co robił, a czego ja nie rozumiałem.

Pory roku mijały, maszerując w majestatycznym, uporządkowanym pochodzie, a ja ślęczałem nad książkami i wykonywałem nie kończące się, *coraz* trudniejsze zadania stawiane mi przez Mistrza. Zrobiłem się wybuchowy i ponury, ale nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, by uciec.

Pewnego dnia, na początku zimy po trzech, a może, co bardziej prawdopodobne, po pięciu latach służby w wieży, mocowałem się z dużym głazem. Mistrz obchodził go przez wszystkie spędzone wspólnie lata, a teraz z jakiegoś powodu zaczął mu przeszkadzać. Kamień, jak już mówiłem, był całkiem spory, biały i bardzo, bardzo ciężki. Nie chciał się poruszyć, choć dźwigałem go, pchałem i wyteżałem wszystkie siły. W końcu, rozwścieczony, skoncentrowałem siły i całą wolę na tym głazie. Potem wymruczałem jedno, jedyne polecenie.

- Rusz się!

I ruszył się! Ogromna bezwładna masa wcale nie opierała się mej sile. Zdawało się, że jednym palcem można było go pchnąć przez dolinę.

- No, no, chłopcze - odezwał się Mistrz, zaskakując mnie swą obecnością - zastanawiałem się, kiedy nadejdzie ten dzień.

- Mistrzu — powiedziałem, bardzo zmieszany - co się stało? Jakim sposobem ten wielki głaz poruszył się tak łatwo?

- Poruszy! się na twój rozkaz, chłopcze. Tyś jest człowiek, a to tylko kamień.

Gdzie ja to już słyszałem?

- Czy co innego też można tak zrobić, Mistrzu? - zapytałem, myśląc o wszystkich godzinach straconych na zajęcia bez sensu.

-Wszystko można tak zrobić, chłopcze. Wystarczy jedynie wolę swoją włożyć w to, czego chcesz dokonać, i wymówić słowo. A stanie się dokładnie, jak zażyczysz sobie. Po wielokroć podziwiałem, chłopcze, uporczywość twoją w czynieniu różnych *xieci?* rękoma, miast wolą swą. Zaczynałem lękać się o ciebie, myśląc, iż może ułomnym jesteś.

Nagle wszystko, co ignorowałem, odsuwałem od siebie, nie byłem na tyle ciekaw, aby wzbudziło moje zaniepokojenie, dotarło do mej świadomości. W rzeczywistości Mistrz wynajdywał mi te zajęcia w nadziei, że w końcu poznam ów sekret. Podszedłem do kamienia i położyłem na nim dłoń.

- Rusz się — poleciłem, kierując nań nacisk swej woli, i głaz poruszył się równie łatwo jak poprzednio.

- Azali pokrzepiony się czujesz dotykając kamienia, gdy poruszyć go pragniesz, chłopcze? - zapytał Mistrz z nutką ciekawości w głosie.

Pytanie zaskoczyło mnie. Nie zastanawiałem się nawet nad tym. Spojrzałem na kamień.

- Rusz się - powiedziałem tytułem próby.

- Musisz rozkazywać, chłopcze, nie błagać.

- Rusz się! — ryknąłem i głaz uniósł się i potoczył za sprawą Woli i Słowa.

- O wiele lepiej, chłopcze. Być może jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

Wtem coś mi się przypomniało. Przecież pięć lat temu poruszałem już kamień zamykający wejście do wieży jedynie swym głosem.

- Cały czas wiedziałeś, że potrafisz to robić, prawda, Mistrzu? Wszak ten kamień niewiele różni się od głazu, który zamyka wejście do wieży.

Mistrz uśmiechnął się łagodnie.

- Bardzo słusznie to spostrzegłeś, chłopcze - pochwalił mnie. Zaczynało mnie męczyć owe „chłopcze”.

- Czemu po prostu nie powiedziałeś mi o tym, Mistrzu? - za pytałem z wyrzutem.

- Wiedzieć musiałem, azali sam to odkryjesz, chłopcze.

- I wszystkie te prace i zadania, które mi dotychczas zlecałeś, miały mnie zmusić do odkrycia tego, tak, Mistrzu?

- Oczywiście — odparł niedbałym tonem. — Jak ci na imię, chłopcze?

- Garath - odrzekłem i nagle uprzytomniłem sobie, że nigdy przedtem o to nie pytałem.

- Niestosowne imię, chłopcze. Zbyt lapidarne i powszednie dla kogoś o twym talencie. Zwał cię będą Belgarathem.

-Jeśli tak ci się podoba, Mistrzu - powiedziałem. Nigdy przedtem nie zwracałem się do niego w tak bezpośredni sposób i wstrzymałem oddech w obawie przed niezadowolaniem starca, ale ten nie dał niczego po sobie poznać. Wówczas, ośmielony sukcesem, posunąłem się dalej. - A jak mam ciebie zwać, Mistrzu? — zapytałem.

- Zwę się Aldur — odparł, uśmiechając się.

Oczywiście, słyszałem już poprzednio to imię, więc natychmiast padłem przed swym nauczycielem na ziemię.

- Czyżeś chory, Belgaracie?

- O wielki i najpotężniejszy Boże - powiedziałem, drżąc — wybacz moją ignorancję. Powiniennem poznać cię od razu.

- Nie czyn tego! - rzekł poirytowany. - Nie wymagam składowania hołdów. Nie jestem mym bratem Torakiem. Powstań, Belgaracie. Podnieś się, chłopcze. Zachowanie twe nieestosownym jest.

Wstałem zalekniony i skulony, wstrząśnięty nagłym olśnieniem. Bogowie, jak wszyscy wiedzieli, potrafili zniszczyć wedle swego kaprysu tych, którzy im się narazili. Spostrzeżenie jak najbardziej na czasie. Od tamtej pory spotkałem ich paru i dobrze to wiem. Pod wieloma względami są nawet bardziej ograniczeni od nas.

- A co ze swym życiem teraz zamierzasz, Belgaracie? — zapytał. Oto cały mój Mistrz. Zawsze zadawał pytania wybiegające daleko w przyszłość.

- Chciałbym zostać i służyć ci, Mistrzu — powiedziałem jak mogłem najpokorniej.

- Nie potrzebuję służby - odparł. - Owe kilka minionych lat dla twej korzyści były. Po prawdzie, Belgaracie, co mógłbyś dla mnie uczynić?

To było bezlitosne stwierdzenie — pewnie zgodne z prawdą, ale mimo wszystko bezlitosne.

- A czy nie mógłbym zostać i czcić cię, Mistrzu? - zapytałem błagalnym tonem. Podówczas nigdy jeszcze nie spotkałem Boga, więc nie byłem pewny, jak należy się zachować. Wiedziałem jedynie, że umrę, jeśli mnie oddali.

Aldur wzruszył ramionami. Czy wiecie, że można człowiekowi złamać serce wzruszeniem ramion?

- Twych hołdów też mi nie potrzeba, Belgaracie - powiedział obojętnie.

- Czy mogę zostać, Mistrzu? — błagałem ze łzami w oczach. Łamał mi serce! Całkiem rozmyślnie, oczywiście. — Będę twym pilnym uczniem.

- Pragnienie nauki chlubę ci przynosi - rzekł - ale to łatwym nie będzie, Belgaracie.

- Szybko się ucze, Mistrzu - pochwaliłem się, zaniedbując fakt, że pięć lat trwało, nim przyswoiłem sobie jego pierwszą lekcję. — Postaram się, abyś był ze mnie dumny.

Naprawdę tak myślałem.

—Bardzo dobrze zatem, Belgaracie - ustąpił. - Przyjmę cię na wychowanka.

—I swego ucznia również, Mistrzu?

— To się okaże w godzinie przeznaczenia, Belgaracie.

Wówczas, ponieważ byłem jeszcze bardzo młody i pod silnym wrażeniem swych ostatnich dokonań, odwróciłem się ku nagiemu krzewowi i przemówiłem do niego żarliwie.

—Zakwitnij — powiedziałem i krzak nagle wypuścił pojedyn czy kwiat. Nie był to wspaniały kwiat, muszę przyznać, ale najlepszy, jaki wówczas potrafiłem zrobić. Byłem jeszcze nowicjuszem w tych sprawach. Zerwałem go i podałem Mistrzowi.

—Dla ciebie, Mistrzu — rzekłem — ponieważ cię kocham.

Nigdy bym nie przypuszczał, że kiedykolwiek użyję słowa „kochać”, które teraz stało się ośrodkiem mego całego życia. Czyż nie jest dziwne, w jaki sposób dochodzimy do tak oczywistych małych odkryć?

Aldur wziął mój lichego kwiatek.

— Dziękuję ci, mój synu — odparł. Po raz pierwszy mnie tak nazwał. — Ten kwiatuś twą pierwszą lekcją będzie. Pragnę, abyś jak najdokładniej go przebadał i powiedział mi o wszystkim, co potrafisz w nim dojrzeć. Odłóż siekiere i miotłę, Belgaracie. Ten kwiat jest teraz twym zadaniem.

To zadanie zajęło mi, o ile pamiętam, dwadzieścia lat. Co pewien czas przychodziłem do Mistrza z tym nigdy nie wędnącym kwiatem - jakże go nienawidziłem! - i opowiadałem, czego się dowiedziałem. On zaś na to mówił nieodmiennie:

— Czy to wszystko, mój synu?

A ja załamany wracałem do swych studiów nad tym głupim kwiatuśkiem.

Z czasem moja niechęć do niego zmaląła. Im dłużej go badałem, tym lepiej poznawałem i w końcu polubiłem.

Pewnego dnia Mistrz zaproponował, abym spalił kwiatek i zba-
dał jego popiół, to może dowiem się o nim więcej. Odmówiłem
oburzony.

- A czemuż to nie, mój synu? - zapytał.

- Ponieważ jest mi drogi, Mistrzu - powiedziałem tonem
bardziej stanowczym, niż zamierzałem.

- Drogi? - zdziwił się.

- Kocham ten kwiat, Mistrzu! Nie chcę go zniszczyć!

- Uparciuch z ciebie, Belgaracie - zauważył. - Czyż dopraw-
dy aż dwadzieścia lat trzeba było, byś przyznał się do afektu dla
tej delikatnej kruszyny?

I to był prawdziwy sens mojej pierwszej lekcji. Nadal gdzieś
mam ten kwiatusek i choć nie zawsze mogę wziąć go do rąk, myślę
o nim często i z wielkim uczuciem.

Wkrótce potem Mistrz zaproponował, abyśmy wyruszyli w po-
dróż do miejsca zwanego Prolgu, ponieważ pragnął zasięgnąć tam
czyjejs rady. Oczywiście zgodziłem się mu towarzyszyć, ale szczerze
mówiąc wołałem nie porzucać na zbyt długo swych studiów. Była
wiosna, a to zawsze dobra pora na podróżowanie. Prolgu leży
w górach i przynajmniej krajobraz był wspaniały.

Dotarcie do tego miejsca zajęło nam nieco czasu — mój Mistrz
nigdy się nie spieszył — i widziałem po drodze stworzenia, których
istnienia nawet nie podejrzewałem. Mistrz wskazywał na jednorożce,
hrulginy, algothy, eldraki i z osobliwą nutą bólu w głosie wymawiał
ich nazwy.

- Co cię martwi, Mistrzu? — zapytałem pewnego wieczoru,
gdy siedzieliśmy przy ognisku. — Czy te stworzenia są ci przy-
kre?

- Są wiecznym wyrzutem sumienia dla mnie i mych braci,
Belgaracie - odparł ze smutkiem. - Gdy ziemia była zupełnie no-
wa, zamieszkivaliśmy wspólnie w jaskini głęboko pod tymi górami,
trudząc się nad stworzeniem zwierząt na polach, powietrznego

ptactwa i morskich ryb. Chyba opowiadałem ci o tych czasach, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Tak, Mistrzu - odrzekłem. - To było w czasach przed pojawieniem się człowieka.

- Tak - powiedział. - Człowiek był ostatnim dziełem naszego stworzenia. W każdym razie, niektóre z istot wydanych na świat były nieudane i po naradzie postanowiliśmy je zniweczyć, ale Ul zabronił.

- Ul? - To imię zaskoczyło mnie. Słyszałem je często w obcowisku starych ludzi tej zimy przed przybyciem na służbę do swego Mistrza.

- Słyszałeś o nim, jak widzę.

Nie było sensu ukrywać czegokolwiek przed moim Mistrzem.

- Ul, jak mówiłem - ciągnął dalej - zabronił niweczenia tych stworzeń, co ogromnie obraziło kilku z nas. Torak w szczególności był mocno nierad. Zakazy lub ograniczenia jakiegokolwiek rodzaju nie są po myśli mego brata Toraka. To za jego sprawą, zda mi się, odesłaliśmy te nieudane stworzenia do Ula, mówiąc im, że on będzie ich Bogiem. Gorzko żałuję naszej złośliwości, albo wiem to, co uczynił Ul, zrobił z Konieczności, której w owym czasie sobie nie uświadomiliśmy.

- To z Ulem chcesz się naradzić w Prolgu, prawda, Mistrzu? - zapytałem przebiegle. Widzicie? Nie jestem całkowicie pozbawiony spostrzegawczości.

Mistrz skinął głową.

- Pewna rzecz ma się zakończyć - powiedział mi ze smutkiem. - Mieliśmy nadzieję, że może nie, ale to kolejna z owych Konieczności, przed którą ludzie i Bogowie jednakowo muszą się pokłonić - westchnął. - Uszykuj sobie posłanie, Belgaracie - rzekł potem. - Daleka droga przed nami, nim dotrzemy do Prolgu, a spostrzegłem, iż bez snu gburowaty z ciebie kompan.

- To moja słabość. Mistrz — przyznałem, rozkładając koc na ziemi. Oczywiście Mistrz nie potrzebował snu, podobnie jak je dzenia.

Po pewnym czasie dotarliśmy do Prolgu. Było to niezwykle miejsce na szczycie góry, która sprawiała wrażenie sztucznej. Na jej zboczu powitał nas bardzo stary człowiek stojący w towarzystwie kogoś, kto najwyraźniej nie był istotą ludzką. Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Ulem. Przytłaczająca świadomość jego obecności niemal mnie powaliła na ziemię.

- Aldurze - powiedział do mego Mistrza — dobrze cię widzieć.

- W rzeczy samej dobrze - odparł mój Mistrz, uprzejmie skłaniając głowę. Bogowie, jak zauważyłem, mają ogromne wyzucie stosowności zachowania. Potem mój Mistrz sięgnął pod szatę i wyciągnął ów zwyczajny krągły, szary kamień, któremu tak uważnie przyglądał się przez ostatnie kilkadziesiąt lat. - Nie zważając na nasze nadzieje - oznajmił, wyciągając kamień ku Ulowi - przybył.

Ul skinął z zakłopotaniem głową.

- Zdało mi się, iż wyczułem jego obecność. Azali przyjmiesz brzemień jego?

Mój Mistrz westchnął. -Jeśli muszę - powiedział.

- Dzielnyś, Aldurze - rzekł Ul - i daleko mądrzejszy niż brać twoja. Ten, który włada nami wszystkimi, celowo włożył go w twe dłonie. Oddalmy się i zastanówmy nad sposobem naszego postępowania.

Tego dnia dowiedziałem się, że ten zwyczajnie wyglądający kamień był bardzo szczególny.

Starzec, który towarzyszył Ulowi, nazywał się Gorim i bez trudu nawiązaliśmy rozmowę. Był łagodnym, życzliwym starszym, z rysów przypominającym ludzi, których spotkałem przed

laty. Potem udaliśmy się do miasta i sędziwy mężczyzna zaprowadził nas do swego domu. Czekaliśmy tam, podczas gdy nasi Mistrzowie długo rozmawiali. Dla zabicia czasu starzec opowiedział mi o tym, jak dostał się na służbę do Ula. Pochodził z Dalów, ludu, który jakimś sposobem pominięto, gdy Bogowie wybierali sobie podopiecznych. Pomimo mej osobliwej sytuacji, nigdy nie byłem szczególnie religijnym człowiekiem, więc nieco trudno było mi zrozumieć duchową boleść Dalów, którzy uważali się za wyrzutków. Dalowie tradycyjnie zamieszkujący tereny na południe od pasma gór zwani byli również Korimami. Zdaje się jednak, że dość wcześnie podzielili się na wiele grup, które wyruszyły na poszukiwanie Boga. Niektórzy udali się na północ, by stać się Morindimami i Karandami; inni ruszyli na wschód i zostali Melcenami; jeszcze inni osiadli na południu Korimu i nadal byli Dalami; ale lud Gorima, Ulgosi, jak ich nazywał, udał się na zachód.

Ostatecznie, po tułaczce trwającej całe pokolenia, narodził się Gorim, a gdy osiągnął wiek męski, postanowił na ochotnika udać się samotnie na poszukiwanie Ula. Oczywiście wszystko to działo się na długo przed moim przyjściem na świat. W każdym razie, po wielu latach Gorim w końcu odnalazł Ula. Zaniósł te dobre wieści swemu ludowi, ale niewielu Ulgosów mu uwierzyło. Ludzie czasami już tacy są. W końcu Gorim nabrał do nich odrazy. Oznajmił, że nie dba o to, czy pójdą za nim, czy zostaną. Niektórzy ruszyli wraz z nim, inni nie. Gorim po tych słowach popadł w zadumę.

- Często zastanawiałem się, co stało się z tymi, którzy zostali — powiedział ze smutkiem.

- Mogę ci to wyjaśnić, przyjacielu - zapewniłem go. - Zdarzyło mi się natknąć na nich jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Mieli duże obozowisko daleko na północ od Doliny mego Mistrza. Spędziłem z nimi zimę, po czym ruszyłem dalej. Wątpię

jednakże, abyś nadal znalazł któregoś z tych ludzi przy życiu. Gdy ich spotkałem, wszyscy byli bardzo starzy.

Gorim spojrzał na mnie ze smutkiem, po czym pochylił głowę i zapłakał.

—Co się stało, Gorimie? - krzyknąłem zaniepokojony.

—Miałem nadzieję, że Ul ustąpi i zdejmie z nich mą klątwę - odparł złamanym głosem.

—Klątwę?

—Ze uschną, wyginą i nie będzie ich więcej. Kobiety tego ludu ma klątwa uczyniła bezpłodnymi.

—Klątwa nadal działała, gdy z nimi mieszkałem - powiedziałem. - W całym obozie nie było nawet jednego dziecka. Zastana wiałem się, czemu tak mnie hołubili. Zdaje się, że od bardzo, bardzo dawna nie widzieli dziecka. Niczego się od nich nie do wiedziałem, ponieważ nie rozumiałem języka tych ludzi.

—Oni używają starej mowy - oznajmił smutno - podobnie jak mój lud tutaj, w Prolgu.

-Jakże więc to się stało, że ty mówisz naszym językiem? - zapytałem.

—Moim zadaniem, jako przywódcy, jest przemawianie w imieniu mego ludu, gdy spotykamy innych - wyjaśnił.

—No tak - rzekłem. - Rzecz jasna.

Niedługo potem wróciliśmy z Mistrzem do Doliny i podjąłem inne studia. Zdawało się, że w Dolinie czas nie płynął. Całe lata poświęcałem na dogłębne poznawanie nawet najbardziej zwyczajnych rzeczy. Badałem drzewa, ptaki, ryby i zwierzęta, owady i robaki. Spędziłem czterdzieści pięć lat na studiowaniu samej trawy. Po jakimś czasie uprzytomniłem sobie, że nie starzeję się jak inni ludzie. Z jakiegoś powodu nie obowiązywały mnie dotyczące ich prawa.

— Mistrzu - powiedziałem pewnego wieczoru, gdy wysoko w wieży obaj trudziliśmy się nad swymi badaniami —jak to się dzieje, że się nie starzeję?

- Azali chciałbyś zestarzeć się, mój synu? - zapytał. - Ja nie dostrzegam w tym wiele pożytku.

- Nie tęsknię za tym wcale, Mistrzu - przyznałem - ale czyż nie jest przyjęte, że człowiek się starzeje?

- Być może — powiedział — ale nie jest to obowiązkiem. Wiele się jeszcze musisz nauczyć. Jedno, dziesięć, a nawet sto żywotów będzie na to za mało. Ile masz lat, synu?

- Myślę, że trochę ponad trzysta, Mistrzu.

- Odpowiedni wiek, synu, i dobrze radzisz sobie ze studiami. Gdybym zapomniał się i nazwał cię „chłopcem” ponownie, proszę popraw mnie. Nie jest stosownym, by ucznia Boga zwać „chłopcem”.

- Będę o tym pamiętał, Mistrzu - zapewniłem go, nie posiadając się z radości, że w końcu nazwał mnie swym uczniem.

- Byłem pewny, iż polegać mogę na tobie - oświadczył z lek kim uśmiechem. - A co jest przedmiotem twych obecnych studiów, synu?

- Poszukuję wyjaśnienia, czemu gwiazdy spadają, Mistrzu.

- Odpowiedni przedmiot badań, synu.

- A ty, Mistrzu? - powiedziałem. - Czym się zajmujesz, jeśli me pytanie nie jest zbyt śmiałe.

- Tym, co poprzednio, Belgaracie - odparł, podnosząc ów nieszczęsny krągły kamień. - Powierzył go mej opiece sam Ul, to też obcując z tym niezwykłym klejnotem muszę poznać jego cel.

- Czy kamień może mieć inny cel, Mistrzu, niż być kamieniem?

Ten kawałek skały, teraz wygładzony, nawet wypolerowany cierpliwymi dłońmi mego Mistrza, z jakiejś przyczyny wzbudzał we mnie obawę. W przeblysku przecucia, jakie nieczęsto mi się zdarzało, powziąłem podejrzenie, że z jego przyczyny dojdzie do wielu krzywd.

- Ten szczególnie klejnot ma ogromny cel, Belgaracie, albo-

wiem za jego sprawą świat i wszyscy, którzy go zamieszkują, zmieniają się. Jeśli potrafię dostrzec ten cel, będę mógł poczynić pewne przygotowania. Ta konieczność ciąży mi na duszy.

Potem kolejny raz pogrążył się w milczeniu, leniwie obracając kamień w dłoniach i wpatrując się w jego wypolerowaną powierzchnię zatroskanym wzrokiem.

Nie miałem zamiaru przeszkadzać mu w kontemplacji, więc wróciłem do swych studiów nad zmiennymi gwiazdami.

ROZDZIAŁ TRZECI

Z czasem przybyli do nas inni. Niektórzy, podobnie jak ja, przez przypadek, inni szukali z rozmysłem mego Mistrza, by się od niego uczyć. Takim właśnie przybyszem był Zedar.

Pogodnego, złocistego jesiennego dnia, po pięciuset latach służby u mojego Mistrza, natknąłem się na Zedara w pobliżu wieży. Zbudował prymitywny ołtarz i palił na nim zwłoki kozy. To już na samym początku nie nastawiło mnie do przybysza przychylnie. Nawet wilki wiedzą, że nie zabija się zwierzyny w Dolinie. Tłusty dym z jego ofiary zasmradzał powietrze, a on sam leżał plackiem przed wzniesionym ołtarzem, śpiewając dziwaczną modlitwę.

- Co ty wyprawiasz? — zażądałem wyjaśnienia, dość obcesowo, muszę przyznać, gdyż hałas i smród oderwał mnie od problemu, nad którym rozmyślałem przez ostatnie pół wieku.

- Och, moźny i wszystkowiedzący Boże - powiedział płaszcząc się na ziemi. — Przebyłem tysiąc lig, by ujrzeć twą wspaniałość i od dać ci cześć.

- Moźny? Nie popisuj się elokwencją, człowieku. Wstań i prze stań skomleć. Taki sam ze mnie Bóg, jak i z ciebie.

- Nie jesteś przeto wielkim Bogiem Aldurem?

—Jestem jego uczniem, Belgarathem. Co to za bzdury? - Wska załem na jego ołtarz i dymiącą kozę.

- To, by sprawić przyjemność Bogu - odparł, wstając i otrzepu-

jąc swe odzienie. Z wyglądu przypominał Tolnedranina, a może Arenda. Jego paplanina o tysiącu lig była w oczywisty sposób przesadą. Patrzył na mnie pokornie i przymilnie. - Powiedz mi prawdę - błagał. - Czy moja marna ofiara miłą Aldurowi będzie? Roześmiałem się.

- Chyba nic nie mogłoby go bardziej urazić.

Nieznajomy sprawiał wrażenie załamane go. Odwrócił się i sięgnął ku zwierzęciu, jakby chciał pochwycić je gołymi rękoma i ukryć.

- Nie bądź durniem! - warknąłem. - Poparzysz się!

- To trzeba ukryć — powiedział z rozpaczą w głosie. — Wolał bym raczej umrzeć, niż urazić potężnego Aldura.

- Po prostu odsuń się — rzekłem.

- Co?

- Odsuń się - poleciłem, machając z rozdrażnieniem ręką - chyba że chcesz się wybrać w podróż wraz ze swą kozą.

Potem spojrzałem na jego groteskowy ołtarzyk, zapragnąłem, by znalazł się w miejscu oddalonym o pięć mil, i przemieściłem go jednym słowem. W powietrzu pozostało jedynie kilka smużek dymu.

Nieznajomy ponownie padł twarzą na ziemię.

- Zniszczysz sobie ubranie, jeśli będziesz tak dalej robił - rzekłem. - Mojego Mistrza to wcale nie bawi.

- Błagam cię, potężny uczniu najwyższego Aldura - powiedział, wstając i ponownie otrzepując odzienie - poucz mnie, nie abym obraził Boga.

Musiał być Arendem. Żaden Tolnedranin nie potrafiłby tak kalczyć języka.

- Bądź prawdomówny - poradziłem - i nie popisuj się kwieci stą mową. Wierz mi, przyjacielu, Aldur potrafi zajrzeć ci prosto w serce, więc nie ma sposobu, abyś Mistrza oszukał. Nie jestem pewny, jakiego Boga poprzednio czciłeś, ale na całym świecie nie ma Boga takiego jak Aldur.

- A jak mogę stać się jego uczniem, jako ty nim jesteś?
- Najpierw zostań wychowankiem Mistrza — odparłem — a to nie jest łatwe.

- Co należy zrobić, aby być jego wychowankiem?

- Musisz zostać jego służącym. - Przyznaję, że powiedziałem to z dość zadowoloną miną. Kilka lat z siekierą i miotłą z pewno ścią wyjdzie na dobre temu nadętemu dupkowi.

- A potem wychowankiem Boga Aldura? — naciskał.

- Z czasem - odparłem - jeśli taka będzie jego wola. - Nie moją rzeczą było wyjawiać nieznanemu sekret Woli i Słowa. Sam będzie musiał do tego dojść, podobnie jak ja.

- A kiedy mógłbym spotkać Boga?

Zaczynałem powoli mieć go dosyć, więc zabrałem przybysza do wieży.

- Zechce Bóg Aldur znać me imię? - zapytał, gdy szliśmy przez łąkę.

Wzruszyłem ramionami.

- Niespecjalnie. Jeśli będziesz miał tyle szczęścia, aby okazać się tego wartym, to nada ci imię z własnego wyboru. - Gdy dotarliśmy do wieży, rozkazałem szaremu kamieniowi w ścianie, aby się odsunął i weszliśmy do środka, a potem ruszyliśmy schodami w górę.

Mistrz obejrzał nieznanego i zapytał:

- Czemuż to przywiodeś do mnie tego człowieka, synu?

- Ublągał mnie, Mistrzu - odparłem. - Uznałem, że do mnie nie należy powiedzieć mu „tak” lub „nie” - potrafiłem, zdaje się, ka leczyć język równie dobrze jak Zedar. — Tyś winien zdecydować w takich sprawach - ciągnąłem dalej. — Jeśli okaże się, że nie podoba ci się, zabiorę go na dwór i zamienię w marchew, i na tym się skończy.

- To nie było uprzejmie powiedziane, Belgaracie - strofował mnie Aldur.

- Wybacz mi, Mistrzu - rzekłem pokornie.

- Ty powinienes pouczyć go, Belgaracie. Jeśli zdarzy się, iż nadawać się będzie, znać mi dasz.

Jęknąłem w duchu, przeklinając swój nierozważny język. Ale Aldur był moim Panem, więc powiedziałem:

- Uczynię to, Mistrzu.

- Co jest twym obecnym przedmiotem studiów, synu?

- Badam przyczynę istnienia gór, Mistrzu.

- Zostaw góry, Belgaracie i miast tego zajmij się studiowa niem człowieka. Być może ta wiedza nastawi cię bardziej przy chylnie ku twym pobratymcom.

Wiedziałem, kiedy mnie strofują, więc nie dyskutowałem. Westchnąłem.

- Jak mój Mistrz każe - uległem z żalem. Byłem już o krok od odkrycia tajemnicy gór i nie chciałem, aby mi się wymknęła. Wówczas jednakże przypomniałem sobie, jak cierpliwy był mój Mistrz, gdy przybyłem do Doliny, więc przełknąłem swą urazę - przynajmniej na jęgo oczach.

Pokora opuściła mnie jednak, gdy wyprowadziłem Zedara na dwór. Ze wstydem muszę przyznać, że zgotowałem temu biedakowi prawdziwe piekło. Poniżałem go, krzyczałem na niego, dawałem mu do wykonania niemożliwe zadania, a potem śmiałem się pogardliwie z wysiłków Zedara. Aby być całkiem szczerym, muszę przyznać, iż w duchu miałem nadzieję tak uprzykrzyć mu życie, że ucieknie.

Ale on tego nie uczynił. Znosił wszystkie moje złorzeczenia ze świętą cierpliwością, od której czasami chciało mi się krzyżeć. Czy ten człowiek nie miał w ogóle charakteru? By pogorszyć jeszcze sprawę - ku memu głębokiemu upokorzeniu - poznał sekret Woli i Słowa w przeciągu sześciu miesięcy. Mistrz nazwał go Belzedarem i przyjął na swęgo wychowanka.

Z czasem Belzedar i ja zawarliśmy pokój. Uznałem, że skoro mamy spędzić ze sobą następne kilkanaście wieków, to możemy

nauczyć się współpracować. Faktycznie, gdy tylko wykorzeniłem u niego skłonność do hiperboli i nadmiernie kwiecistego języka, okazał się wcale niezłym kompanem. Był nadzwyczaj bystry, a przy tym uprzejmy na tyle, by nie wywyższać się nade mnie z tego powodu.

Nasz Mistrz, Belzedar i ja, zamieszkaliśmy we trójkę i nauczyliśmy się nie działać sobie zbyt na nerwy.

A potem zaczęli przybywać inni. Kira i Tira byli bliźniakami, alornskimi pasterzami owiec, którzy zgubili się, przywędrowali do Doliny pewnego dnia i zostali. Ich umysły były tak ściśle ze sobą związane, że zawsze mieli te same myśli w tym samym czasie, a nawet kończyli jeden za drugiego zdanie. Pomimo faktu, iż byli Alornami, Belkira i Beltira to najdelikatniejsi ludzie, jakich znam. Prawdę powiedziawszy, dość ich lubię.

Makor przybył jako następny, a przywędrował do nas z tak daleka, że nie mogłem pojąć, skąd w ogóle słyszał o moim Mistrzu. W odróżnieniu od nas, którzy przybyliśmy raczej marnie odziani, Makor nadszedł spacerkiem w jedwabnej opończy, podobnej do strojów obecnie modnych w Tol Honeth. Był dowcipnym, układnym, wykształconym człowiekiem i natychmiast przypadł mi do gustu.

Nasz Mistrz przepytał go krótko i uznał, że można Makora przyjąć, przy wszystkich zwykłych zastrzeżeniach.

- Ależ Mistrzu - zapi otestował gwałtownie Belzedar - on nie może stać się członkiem naszego bractwa. Ten człowiek jest Dałem -jednym z bezbożnych.

— Właściwie Melcenem, stary - poprawił go Makor w ten swój superuprzejmy sposób, który zawsze doprowadzał Belzedara do obłędu. Teraz rozumiecie, dlaczego tak polubiłem Makora?

- Cóż to za różnica? - zapytał bez ogródek Belzedar.

— Zasadnicza, mój drogi - odparł Makor, przyglądając się swoim paznokciom. - My, Melcenowie, odłączyliśmy się od Da-

łów tak dawno temu, że nie jesteśmy do nich bardziej podobni, niż Alornowie do Maragów. Prawdę mówiąc, nic ci do tego. Zostałem wezwany, tak samo jak wy, i na tym koniec.

Przypomniałem sobie dziwny przymus, który wyciągnął mnie z Gary i spojrzałem ostro na mego Mistrza. Czy dacie wiarę, że wyglądał na nieco zakłopotanego?

Belzedar mamrotał jakiś czas, ale skoro i tak nie mógł na to nic poradzić, stłumił swoje sprzeciwy.

Następnym, który się do nas przyłączył, był Sambar, Angarak. Sambar, czyli Belsambar, którym później został, oczywiście nie było jego prawdziwym imieniem. Angarackie imiona są tak paskudne, że mój Mistrz wyświadczył Sambarowi grzeczność, gdy je zmienił. Czułem ogromną sympatię dla tego chłopca — miał zaledwie piętnaście lat, kiedy się do nas przyłączył. Nie widziałem jeszcze nigdy nikogo równie zdeterminowanego. On po prostu przyszedł pod wieżę, usiadł na ziemi i czekał na przyjęcie lub śmierć. Beltira i Belkira oczywiście go karmili. W końcu byli pasterzami, a paste-i że nie pozwolą niczemu zgłodnieć. Gdzieś po tygodniu, gdy stało się absolutnie jasne, że młody przybysz w żadnym razie nie wejdzie do wieży, nasz Mistrz zszedł do niego. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby Aldur zrobił coś podobnego. Rozmawiał przez jakiś czas z chłopcem w odrażającym języku - starym angarackim, jak udało mi się stwierdzić - i skierował go pod opiekę Beltiry i Belkiry. Jeśli ktokolwiek potrzebował delikatnego traktowania, to był nim właśnie Belsambar.

Z czasem Belkira i Beltira nauczyli go mówić normalnym językiem, który nie wymagał tylu prychnięć i warknięć. Wówczas poznaliśmy jego historię. Moja niechęć do Toraka datuje się właśnie od tamtego czasu. Być może jednak nie jest to jedynie wina Toraka. Z biegiem lat nauczyłem się, że poglądy kapłanów niekoniecznie są poglądami Bogów, którym służą. W tym wypadku moje wątpliwości działały na korzyść Toraka — praktyki składania

ofiar z ludzi mogły być jedynie przejawem wynaturzenia jego kapłanów, Grolimów. Ale on nie uczynił niczego, aby położyć temu kres, a to było niewybaczalne.

Wróćmy jednak do tematu. Rodzice Belsambara zostali oboje złożeni w ofierze, a jemu kazano, na dowód wiary, przyglądać się temu. Wywarło to jednak wręcz odwrotny od spodziewanego skutek. Belsambar został ateistą. Odrzucał nie tylko Toraka i jego cuchnących krwią Grolimów, ale wszystkich Bogów.

Tak było, gdy nasz Mistrz wezwał Belsambara do siebie. Dla niego wezwanie musiało mieć bardziej spektakularny charakter, niż tylko bliżej nieokreślony przymus, który mnie skierował ku Dolinie. Belsambar był najwyraźniej w stanie religijnej ekstazy, gdy dotarł do nas. Oczywiście był Angarakiem, a oni mają dość osobliwe podejście do religii.

* * *

Belmakor pierwszy rzucił myśl o budowie wież. W końcu był Melcenem, a oni mieli obsesję budowania różnych rzeczy. Muszę przyznać, że w wieży naszego Mistrza zaczynało się robić nieco tłoczno.

Budowa wież zajęła nam kilka dziesięcioleci, o ile sobie przypominam. Prawdę powiedziawszy, traktowaliśmy to raczej jako rodzaj hobby, a nie konieczność. Oczywiście wykorzystywaliśmy nasze niecodzienne umiejętności, ale ociosywanie kamieni to nudne zajęcie, nawet jeśli nie trzeba używać dłuta. Z czasem oczyściliśmy Dolinę z kamieni i po budulec trzeba było wyprawiać się coraz dalej.

Któregoś roku wreszcie uznałem, że pora skończyć moją wieżę i mieć z tym spokój raz na zawsze. Poza tym wieża Belmakora była na ukończeniu, a przecież to ja w końcu byłem pierwszym uczniem. Nie mogłem pozwolić, by mnie przegonił. Naszym postępowaniem czasami kierują bardzo dziecinne motywy.

Ponieważ wraz z braćmi zupełnie ogołociliśmy Dolinę z kamieni, w poszukiwaniu budulca wybrałem się na skraj lasu rozcią-

gającego się na północy. Myszkowałem pomiędzy drzewami wypatrząc łożyska strumienia lub odkrytego złoża skał, gdy nagle odniosłem wrażenie, że ktoś mi się przygląda. To nieprzyjemne uczucie, zawsze działało mi na nerwy.

—Możesz wyjść — powiedziałem. - Wiem, że tam jesteś.

—Niczego nie próbuj - warknął na mnie paskudny głos z pobliskich krzaków. - Rozerwę cię na strzępy, jeśli to uczynisz.

Oto co nazywam nieobiecującym początkiem.

— Nie bądź idiotą — odparłem. - Nie mam zamiaru cię skrzywdzić.

To wywołało wybuch najpaskudniejszego śmiechu, jaki kiedykolwiek słyszałem.

—Ty? - powiedział z pogardą głos. - Ty? Skrzywdzić mnie? - A potem krzaki rozsunęły się i wyszło z nich najszkaradniejsze stworzenie, jakie widziałem. Stwór był groteskowo zdeformowany, z ogromnym garbem na plecach; miał guzowate, karłowate nogi i długie powykręcane ramiona. Ta kombinacja umożliwiała mu - a nawet czyniła wygodnym - poruszanie się na czterech kończynach, jak czynią to goryle. Jego twarz była potwornie paskudna, włosy i broda splątane. Był niewiarygodnie brudny i częściowo przyodziany w skóry przypominające z wyglądu szczurze. - Nacie szyłeś się widokiem? — zapytał szorstko. — Sam nie grzeszysz urodą.

—Zaskoczyłeś mnie, to wszystko - odparłem, siląc się na uprzejmość.

—Widziałeś może gdzieś w okolicy starca na rozklekotanym wozie? — zapytał. — Powiedział, że spotka się ze mną tutaj.

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Lepiej zamknij buzię - poradził mi, warcząc charkotliwie. -Jeszcze mucha ci wpadnie.

Wszystko zaczęło do siebie pasować.

— Ten starzec, którego szukasz — powiedziałem — czy mówi w śmieszny sposób?

- To on - stwierdził karzeł. - Widziałeś go?

- O tak - odparłem z szerokim uśmiechem. - Znam go dłużej, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Chodź, mój szpetny przyjacielu. Zaprowadzę cię do niego.

- Nie szafuj zbyt pośpiesznie „przyjacielem” - warknął. - Ja nie mam żadnych przyjaciół i tak mi dobrze.

- Po kilkuset latach przejdzie ci - odrzekłem, nadal uśmiechając się do małego potworka.

- Nie wyglądasz mi na zdrowego na umyśle.

- Do tego też się przyzwyczaisz. Chodź. Przedstawię cię twemu Mistrzowi.

-Ja nie mam Mistrza.

- Nie zakładałbym się o to.

Tak oto poznaliśmy Dina. Moi bracia myśleli początkowo, że natknąłem się na oblaskawioną małpę. Din dość szybko wyprowadził ich z błędu. Miał wyjątkowo niewyparzoną gębę, nawet gdy nie starał się być napastliwy. Jestem przekonany, że mógłby przeklinać przez półtora dnia nie powtarzając się.

- Co zrobiłeś z tym swoim głupim wozem? - zapytał Mistrza.

- Próbowałem iść po śladach, ale one po prostu zniknęły.

Aldur, obdarzony nadludzką cierpliwością, uśmiechnął się. Dacie wiarę, że on rzeczywiście lubił tego potworka z niewyparzoną gębą?

- Dlategoż tyle zajęło ci to czasu? - przemówił łagodnie.

- Oczywiście, że dlatego zajęło mi to tyle czasu! — wybuchnął

Din. - Nie zostawiłeś mi żadnego śladu! Musiałem dociec, gdzie się znajdujesz! - Din po mistrzowsku potrafił tracić panowanie nad sobą. Najdrobniejsza rzecz mogła wyprowadzić go z równowagi. - I co teraz? - zapytał.

- Musimy zadbać o twą edukację.

- A na co komuś takiemu jak ja jakaś tam edukacja? Ja już wiem to, co potrzebuję wiedzieć.

Aldur utkwiał w nim poważne spojrzenie, którego nawet Din nie potrafił zbyt długo *znieść*. Potem Mistrz przeniósł wzrok na nas. Oczywiście wykluczył Beltira i Belkira. Ich usposobienie nie pasowało do charakteru naszego nowego towarzysza. Belzedar oniemiał z wściekłości. Miał swoje wady, ale nie tolerował braku szacunku dla naszego Mistrza. Belmakor zaś posiadał zbyt grymaśną naturę. Din był brudny i śmierdział niczym otwarty ściek. Zgadnijcie, kto pozostał.

Ze znużeniem podniosłem rękę.

- Nie kłopotz się, Mistrzu - powiedziałem. - Ja się nim zajmę.

- Ależ, Belgaracie - rzekł - to bardzo łaskawe z twojej strony, iż z własnej woli do dyspozycji się stawiasz.

Postanowiłem na to nie odpowiadać.

- Belgaracie? - rzucił od niechcienia Belmakor.

- Słucham?

- Czy mógłbyś go umyć przed powrotem tutaj?

Pomimo demonstrowanej niechęci, nie byłem tak całkiem niezadowolony z tego układu. Pragnąłem wykończyć swą wieżę, a ten mocarny karzeł idealnie nadawał się do noszenia kamieni. Jeśli sprawy potoczą się po mej myśli, to nie będę musiał zbyt wiele wysilać swej pomysłowości, aby znaleźć zajęcie dla mego szkaradnego służącego.

Zabrałem go na dwór i pokazałem swoją nie dokończoną wieżę.

- Rozumiesz, w czym rzecz? - zapytałem.

- Mam robić to, co mi każesz.

- Dokładnie — powiedziałem. Zapowiadało się bardzo dobrze.

- No to wróćmy na skraj lasu. Mam dla ciebie małą robótkę.

Dotarcie do lasu zajęło nam trochę czasu. Gdy tam doszliśmy, wskazałem na suche koryto strumienia wypełnione krągłymi głazami odpowiednich rozmiarów.

- Widzisz te kamienie? - zapytałem.

- Jasne, że je widzę, głupku! Nie jestem ślepy!

- Bardzo się cieszę. Chcę, abyś ułożył je w stos przy mojej wieży, starannie, oczywiście - usiadłem pod cienistym drzewem. - Bądź tak dobry i zajmij się tym.

Naprawdę sprawiało mi to przyjemność.

Din popatrzył na mnie groźnie, po czym odwrócił się i utkwiał spojrzenie w korycie strumienia.

Wtem, jeden za drugim, kamienie zaczęły znikać! Dacie wiarę? Din już znał ten sekret! To był pierwszy przypadek spontanicznych czarów, jaki widziałem.

- A teraz co? - zapytał.

- Jak nauczyłeś się to robić? — dopytywałem z niedowierzaniem.

Wzruszył ramionami.

- Gdzieś się tego nauczyłem - odparł. - Chcesz powiedzieć, że ty tego nie potrafisz?

- Oczywiście, że potrafię, ale... - w tym momencie powstrzymałem się. - Jesteś pewny, że przemieściłeś je na właściwe miejsce?

- Poleciłeś, abym ułożył je przy twojej wieży, prawda? Idź, zobacz, jeśli chcesz. Ja wiem, gdzie one są. Czy masz dla mnie coś jeszcze do zrobienia?

- Wracajmy - rzuciłem krótko.

Odzyskanie panowania nad sobą zajęło mi trochę czasu. Byliśmy prawie w połowie drogi, gdy nabrałem zaufania do swego głosu na tyle, by rozpocząć indagacje.

- Skąd jesteś? - zadałem banalne pytanie, ale od czegoś trzeba było zacząć.

- Masz na myśli, skąd pochodzę? To raczej trudno powiedzieć. Ciągle przebywam gdzie indziej. W większości miejsc nie jestem mile widziany. Przyzwyczailem się do tego. Tak już się dzieje od czasu moich narodzin.

- Czemu?

—Jak sędzę, lud mojej matki miał prosty sposób pozbywania się ułomnych. Gdy mnie zobaczyli, zaraz wynieśli do lasu i zostawili, bym umarł z głodu - lub zapewnił jakimś wilkowi przekąskę. Jednakże moja matka była wrażliwego serca i dokarmiła mnie potajemnie.

A ja myślałem, że miałem ciężkie dzieciństwo.

- Przestała się pojawiać około roku po tym, jak nauczyłem się chodzić - dodał rozmyślnie szorstkim tonem. - Pewnie umarła albo przyłapali ją, jak się wymykała, i zabili. Od tamtej pory musiałem sobie radzić sam.

-Jak udało ci się przeżyć?

- Czy to naprawdę ma znaczenie? — W jego oczach pojawił się jednak bolesny cień. — W lesie można znaleźć całe mnóstwo rzeczy do jedzenia, jeśli nie jest się zbyt wybrednym. Sępy i kruki radzą sobie całkiem dobrze. Nauczyłem się je wypatrywać. Wcześniej zrozumiałem, że tam, gdzie dostrzeżesz sępa, jest pewnie coś do jedzenia. Po jakimś czasie przyzwyczajasz się do zapachu.

- Zwierzę z ciebie! — wykrzyknąłem.

- Wszyscy jesteśmy zwierzętami, Belgaracie. - Wówczas po raz pierwszy użył mojego imienia. -Ja jestem w tym lepszy od innych, bo mam więcej praktyki. Czy moglibyśmy teraz zmienić te mat?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Było nas teraz siedmiu i wiedzieliśmy, że na razie nikt nowy się nie pojawi. Inni przybyli później. Stanowiliśmy osobliwą grupę, zapewniam was. Jednak to, że mieszkaliśmy w osobnych wieżach, w znacznej mierze pozwalało ograniczać niesnaski.

Obecność Beldina nie była tak kłopotliwa, jak sobie początkowo wyobrażałem. Nie oznacza to jednak, że nasz mały paskudnik złagodniał. Raczej my z biegiem lat przyzwyczailiśmy się do jego wybuchowej natury. Zaprosiłem Beldina, by zamieszkał ze mną na czas nowicjatu - okresu, w którym był wychowankiem Al-dura, nim osiągnął pełny status ucznia. Odkryłem, że pod zwierzęcą powłoką krył się umysł, i to jaki umysł! Beldin był najinteligentniejszy z nas, być może z wyjątkiem Belmakora. Obaj zresztą przez całe lata dyskutowali nad tak zawiłymi problemami logiki i filozofii, że nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, o czym rozmawiali. Oni zaś ogromnie te dyskusje lubili.

Sporo czasu minęło, nim udało mi się przekonać Beldina do kąpieli. Niewątpliwie argumentem było to, że jeśli się wykąpie, wybredny Belmakor być może pozwoli podejść mu na tyle blisko, iż nie będą musieli krzyżeć w czasie swych dyskusji. Jak moja córka z lubością mi wytyka, ja sam nie jestem zbyt zagorzałym miłośnikiem higieny, ale Beldin czasami wykazywał przesadną obojętność w tym względzie.

Przez lata wspólnego życia i studiów poznałem Beldina i przynajmniej po części nauczyłem się go rozumieć. Ludzkość w owym czasie nadal była jeszcze w powijakach i cnota współczucia nie rozpowszechniła się tak dalece jak obecnie. Poczucie humoru, jeśli tak można to nazwać, było raczej prymitywne i brutalne. Ludzie wszelkiego rodzaju anomalie uważali za zabawne, a trudno było o większą anomalię od Beldina. Wieśniacy witali jego wejście do wioski salwami śmiechu, a gdy naśmiali się do woli, zwykle przepędzali go kamieniami. Nietrudno chyba zrozumieć przyczynę paskudnego usposobienia Beldina. Pobratymcy usiłowali zabić kalekę zaraz po przyjsciu na świat, przez całe życie przepędzano go z każdej społeczności, do której próbował wejść. Naprawdę dziwię się, że nie został mordercą. Ja pewnie bym się nim stał.

Pewnego deszczowego wiosennego dnia, po kilkuset latach wspólnego mieszkania, Beldin poruszył temat, którego pojawienia należało się spodziewać wcześniej czy później. Beldin spoglądał markotnie na zacinający za oknem deszcz. W końcu mruknął:

"- Myślę, że zbuduję sobie własną wieżę.

- Tak? - powiedziałem, odkładając książkę. - A w tej ci się nie podoba?

- Potrzeba mi więcej miejsca, zaczynamy sobie działać na nerwy.

- Nie zauważyłem.

- Belgaracie, ty nawet nie dostrzegasz pór roku. Kiedy się dzisz z nosem w jednej ze swych książ, mógłbym podpalić ci palec u nóg, a ty byś tego nie zauważył. Poza tym chrapiesz.

-Ja chrapię? Ty każdej nocy wydajesz dźwięki przypominające przetaczającą się burzę.

- Dzięki temu nie czujesz się samotny. - Ponownie spojrział zadumany w okno. - Oczywiście jest jeszcze inny powód.

-Tak?

Popatrzył na mnie z dziwną tęsknotą w oczach.

- Przez całe swe życie nigdy nie miałem własnego kąta. Sy piałem w lasach, w rowach i stogach siana, a łagodna, przyjazna natura mych ludzkich pobratymców utrzymywała mnie niemal bez przerwy w ruchu. Myślę, że choć raz chciałbym mieć miejsce, z którego nikt nie mógłby mnie wyrzucić.

Cóż mogłem na to odrzec.

- Potrzeba ci pomocy? — zaofiarowałem się.

- Nie, jeśli wieża nie ma przypominać wyglądem twojej - burknął.

- A co ci się nie podoba w tej wieży?

- Belgaracie, bądź uczciwy. Twoja wieża wygląda jak kamień niały pniak. Nie masz za grosz poczucia piękna.

I to mówił Beldin.

- Chyba pójdę porozmawiać z Belmakorem. Jest Melcenem, a oni są urodzonymi budowniczymi. Widziałeś kiedyś któreś z ich miast?

- Nie miałem okazji wybrać się na wschód.

- Oczywiście. Nie potrafisz się oderwać od swych ksirg na wystarczająco długo, by udać się dokądkolwiek. No to jak? Idziesz ze mną, czy nie?

Jakże mogłem odrzucić tak uprzejme zaproszenie? Włożyłem płaszcz i wyszliśmy na deszcz. Beldin, oczywiście, nie zwracał sobie głowy płaszczem. Był całkowicie nieczuły na kaprysy pogody.

Staliśmy pod nieco zbyt bogato zdobioną wieżą Belmako-ra i mój krępy przyjaciel wrzasnął:

- Belmakor! Muszę z tobą porozmawiać!

Nasz dobrze wychowany brat podszedł do okna.

- O co chodzi, stary? - zawołał.

- Postanowiłem zbudować sobie wieżę. Chcę, abys ją dla mnie zaprojektował. Otwórz te głupie drzwi.

- A kąpałeś się ostatnio?
- Dopiero co w zeszłym miesiącu. Nie martw się, nie zasmro-
dzą ci twojej wieży.

Belmakor westchnął.

- No dobrze - poddał się. Jego wzrok przybrał na chwilę nie-
obecny wyraz, po czym szcęknęła ciężka żelazna klamka u drzwi.
Pozostali z nas za przykładem Mistrza używali kamieni do zamy-
kania wejść, ale Belmakor czuł potrzebę posiadania prawdziwych
drzwi. Beldin i ja weszliśmy do środka i wspięliśmy się po scho-
dach.

- Poróżniliście się z Belgarathem? - zainteresował się Bel-
makor.

- A co ci do tego? - warknął Beldin.

- Nic. Byłem tylko ciekaw.

- On chce mieć swój własny kąt — wyjaśniłem. — Zaczynamy
sobie wchodzić w drogę.

Belmakor był bardzo bystry. W lot pojął, co miałem na myśli. -

Jak sobie ją wyobrażasz? - zapytał karła.

- Ma być piękna — powiedział bez ogródek Beldin. - Nie je-
stem w stanie dzielić tego piękna, ale przynajmniej będę mógł na
nie patrzeć.

Belmakorowi oczy zaszyły nagle łzami. Zawsze był najbardziej
wrażliwy z nas wszystkich.

- Och, przestań! - skarcił go Beldin. — Czasami jesteś tak
sentymentalny, że chce mi się rzygać. Pragnę, by była pełna
wdzięku. Ma być proporcjonalna, chcę czegoś niebotycznego.
Mam dość życia w bloku.

- Potrafisz to sobie wyobrazić? - zapytałem naszego brata.

Belmakor podszedł do biurka, zebrał swoje papiery i włożył
je do książki, którą studiował. Potem wstawił książkę na górną półkę,
wyciągnął wprost z powietrza duży arkusz papieru i swe ulubione
nie wysychające gęsie pióro, po czym usiadł.

-Jak duża ma być? - spytał Beldina.

- Lepiej, aby była nieco niższa od wieży naszego Mistrza, nie sądzisz?

- Mądre posunięcie. Nie wywyższajmy się.

Belmakor szybko naszkicował czarowny zamek, którego widok zaparł mi dech w piersiach — uosobienie lekkości i delikatności o zwiewnych przyporach, wznoszących się ku górze niczym skrzydła, i strzelistych wieżyczkach.

- Próbujesz być zabawny? - zapytał oskarżycielskim tonem Beldin. - Nawet motyla nie zmusiłbyś do zamieszkania w takiej tandencie.

- To tylko początek, bracie — powiedział wesoło Belmakor. - Stopniowo nadamy mu bardziej rzeczywiste kształty. Musisz uczy nić to swymi marzeniami.

Tak zaczęła się dyskusja, która trwała przez około sześć miesięcy i ostatecznie wciągnęła nas wszystkich. Nasze wieże, w większości, charakteryzowała użyteczna prostota. Z bólem przyznać muszę, że Beldin trafnie opisał moją wieżę. Rzeczywiście z pewnego oddalenia przypominała skamieniały pniak. Jednakże zapewniała osłonę przed niepogodą i wynosiła mnie na tyle wysoko, że widziałem horyzont i gwiazdy. Czegóż więcej można oczekiwać od wieży?

Wówczas odkryliśmy, że Belsambar ma duszę artysty. Ostatnim miejscem, w którym szukałbyś piękna, jest umysł Angaraka. Ze zdumiewającą żarliwością, wbrew swej naturze samotnika, długo i głośno dyskutował z Belmakorem. Upierał się przy swoich zmianach, zasadniczo różniących się od prozaicznych zamysłów melceńskich. Melcenowie są budowniczymi i rozumują w kategoriach kamienia, zaprawy murarskiej i materiałów budowlanych, które daje się zastosować. Angarakowie myślą o niemożliwym, a potem starają się znaleźć sposoby na urzeczywistnienie swych pomysłów.

- Czemu to robisz, Belsambarze? - zapytał pewnego razu Beldin. - To jedynie przypora, a ty dyskutujesz już nad tym od tygodni.

- Chodzi o jej krzywiznę, Beldinie - wyjaśnił Belsambar z większym zapałem niż kiedykolwiek. - Tak to wygląda.

Po tych słowach nakreślił w powietrzu obraz dwóch wież. Nie znałem nikogo, kto potrafiłby stworzyć równie pełne iluzje jak Belsambar. Myślę, że to cecha Angaraków; ich cały świat opiera się na iluzji.

Belmakor spojrział i wyrzucił ręce w powietrze.

- Chylę czoło przed wyższością talentu - poddał się. - Jest piękna, Belsambarze. Jak jednak ją urzeczywistnimy? Nie ma wy starczająco silnej podpory.

-Ja potrzynam ją, jeśli trzeba — to powiedział Belzedar! - Będę podpierał wieżę naszego brata po kres dni, jeżeli zajdzie taka konieczność.

Ależ ten człowiek miał duszę!

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie, żaden z was nie odpowiedział! - wrzasnął Beldin. - Czemu wszyscy zadajecie sobie tyle trudu?

- To dlatego, iż bracia twoi miłują cię, mój synu - odparł ła godnie Aldur, który stał ukryty w cieniu. - Azali nie potrafisz przyjąć ich miłości?

Wstrętna twarz Beldina nagle wykrzywiła się groteskowo i karzeł rozplakał się.

- Oto twa pierwsza lekcja, mój synu — powiedział Aldur. — Pragniesz dawać miłość, skrywając się za fasadą gburowatości, lecz musisz nauczyć się ją przyjmować.

Wszystkich nas na te słowa ogarnęło wzruszenie.

Tak więc zabraliśmy się wspólnie za budowanie wieży Beldina. Nie zajęło nam to zbyt wiele czasu. Mam nadzieję, że Durnik, pomimo swej sendarskiej etyki, nie uzna za niemoralne wykorzystywanie naszych darów dla przyziemnych celów.

Odczuwałem brak towarzystwa mego groteskowego przyjaciela, ale muszę przyznać, że spało mi się lepiej. Nie przesadzałem w opisie jego chrapania.

Potem życie w Dolinie wróciło do normy. Kontynuowaliśmy studia nad otaczającym światem i rozwijaliśmy swe osobliwe talenty. Zdaje się, że jeden z bliźniaków odkrył, iż mamy możliwość porozumiewania się jedynie za pomocą myśli. To musiał być któryś z bliźniaków lub obaj, gdyż tylko oni dzielili swe myśli od dnia narodzin. Wiem, że Beldin był tym, który odkrył sztukę przybierania postaci innych stworzeń. Jestem tego pewny, gdyż zaskoczył mnie niepomnie, kiedy pierwszy raz to uczynił. Któregoś dnia wielki jastrząb z pasmem błękitnych piór w ogniu przyszybował, usiadł na parapecie mego okna i przemienił się w Beldina.

- Co ty na to? - zapytał. — W końcu się powiodło.

Z wrażenia wypuściłem z rąk kufel piwa i zakrzusilem się. Beldin walnął mnie po plecach.

- Co ty wyprawiasz? - napadłem na niego, gdy odzyskałem oddech.

Beldin wzruszył ramionami.

- Studiowałem ptaki - wyjaśnił. - Pomyślałem, że dobrze by było spojrzeć na świat z ich perspektywy. Latanie nie jest takie łatwe, jak się zdaje. Niemal zabiłem się, gdy wyskoczyłem z okna mojej wieży.

- Ty idioto!

- Udało mi się opanować poruszanie skrzydłami, nim uderzyłem o ziemię. To trochę podobne do pływania. Nie wiesz, czy potrafisz, dopóki nie spróbujesz.

- Jak to jest? Mam na myśli latanie.

- Nie silę się nawet, aby ci to opisać, Belgaracie - odparł z wyrazem zachwytu na swym wstępnym obliczu. - Powinieneś spróbować. Nie radziłbym ci jednak skakać z okna. Czasami ze

zbyt wielką bez troską podchodzisz do szczegółów. Jeśli niedokładnie wyobrazisz sobie ogon, skręcisz kark.

Odkrycie Beldina przyszło akurat na czas. Wkrótce potem Mistrz wysłał nas poza Dolinę, abyśmy sprawdzili, czego dokonała reszta ludzkości. O ile jestem w stanie precyzyjnie to określić, zdaje się, że minęło około piętnastu stuleci od czasu owej śnieżnej nocy, gdy tu przybyłem.

W każdym razie latanie jest o wiele szybszym sposobem poruszania się niż chodzenie. Beldin wyćwiczył nas wszystkich i wkrótce trzepotaliśmy skrzydłami nad Doliną niczym stado wędrownych kaczek. Zaraz na wstępie muszę przyznać, że nie latałem zbyt dobrze. Polgara dogryza mi z tego powodu zawsze wtedy, gdy nie ma się do czego przyczepić. W każdym razie, kiedy Beldin nauczył nas latać, rozwinęliśmy skrzydła i poszybowaliśmy za Dolinę zobaczyć, co działo się ludzie. Na zachód od nas nie było nikogo z wyjątkiem Ulgosów, a ja nie potrafiłem dogadać się zbyt dobrze z nowym Gorimem. Przyjaźniłem się z ich pierwszym Gorimem, ale ostatni wydawał się zbyt zapatrzony w siebie.

Poleciałem więc na wschód i wpadłem do Tolnedran. Od czasu, gdy widziałem ich po raz ostatni, zbudowali wiele miast. Niektóre z nich były nawet całkiem spore, choć tolnedrański zwyczaj używania bali do budowy ścian i słomy do krycia dachów sprawiał, że z lekkim niepokojem wchodziłem do tych pułapek w obawie przed pożarem. Jak można się było spodziewać, fascynacja Tolnedran pieniędzmi nie osłabła przez te piętnaście wieków, które minęły od czasu, gdy widziałem ich po raz ostatni. Co więcej, zrobili się jeszcze bardziej zachłanni. Spędzali wiele czasu na budowaniu dróg. O co chodziło Tolnedranom z tymi drogami? Generalnie jednak byli usposobieni pokojowo. Wojny nie służą interesom. Poleciałem więc odwiedzić Ma-ragów.

Maragowie byli dziwnymi ludźmi — jestem pewny, że nasz przyjaciel Relg zdążył to już odkryć. Być może ta osobliwość wynika z faktu, że w ich społeczeństwie jest więcej kobiet niż mężczyzn. Bóg Mara wykazuje według mnie niezdrowe zainteresowanie płodnością i rozmnażaniem. Społeczeństwo Maragów ma strukturę matriarchalną, co jest nietypowe - choć Nyissanie również skłaniają się ku temu.

Pomimo osobliwości kultura Maragów była funkcjonalna. Nie zaczęli jeszcze praktykować rytualnego kanibalizmu, który sąsiedzi Maragów uznali za odrażający. Zwyczaj ów w końcu doprowadził do ich niemal całkowitej zagłady. Byli szczodrymi ludźmi - szczególnie kobiety. Całkiem dobrze się wśród nich czułem. Nie będę jednak chyba wdawał się w szczegóły. Ta książka z całą pewnością wpadnie w końcu w ręce Polgary, a ona ma zdecydowane zdanie na pewne tematy.

Po kilku latach wróciliśmy do Doliny. Zebraliśmy się w wieży naszego Mistrza, by zdać sprawę z tego, co widzieliśmy.

Z niezawodną delikatnością Mistrz wysłał Belsambara na północ, aby zobaczył, co porabiają Morindimowie i Karandowie. W istocie nie byłoby dobrym pomysłem wysłanie go z powrotem do Angaraków. Belsambar zdecydowanie nie przepadał za Grolimami, a nasze podróże miały być wyprawami po fakty. Nie wybraliśmy się tam po to, aby nawracać złych czy narzucać własne poczucie sprawiedliwości. Jednakże patrząc z perspektywy czasu, moglibyśmy oszczędzić światu wiele bólu i cierpienia, gdybyśmy wysłali Belsambara przeciwko Grolimom. Doprowadziłoby to wprawdzie do krwawego starcia pomiędzy Torakiem i naszym Mistrzem, ale i tak wkrótce przecież do niego dojdzie.

Belzedar wyruszył na północ Korimu, aby przypatrzeć się Angarakom. Czyż nie jest zabawne, że sprawy przyjęły taki obrót? To, co zobaczył w tych górach, bardzo go zmartwiło. Torak zawsze miał o sobie wygórowane mniemanie i zachęcał Angara-

ków do równie przesadnego wyrażania swej wiary. Wzniesli mu świątynię, gdzie Grolimowie z radością zarzynali setki swoich współplemieńców przy aprobacie Toraka.

Praktyki religijne różnych ludów naprawdę nie były naszą sprawą, ale Belzedar wierzenia Angaraków uznał za powód do niepokoju. Torak nie czynił tajemnicy z faktu, iż uważa się za stojącego kilka szczebli wyżej od swych braci i najwyraźniej zachęcał swój lud, by czuł się podobnie.

- Obawiam się, że to jedynie kwestia czasu - zakończył ze smutkiem Belzedar. - Wcześniej czy później spróbują narzucić swą dominację pozostałej części ludzkości, a to się nie uda. Jeśli ktoś nie przekona Toraka, aby przestał nabijać Angarakom głów tym wstrętnym poczuciem wyższości, to bardzo prawdopodobne, że na południu dojdzie do wojny.

Belsambar doniósł, iż Morindimowie i Karandowie zaczęli oddawać cześć demonom. Nie stanowi to jednak zagrożenia dla reszty ludzi, ponieważ demony zajmowały się wyłącznie zjedaniem czarowników, którzy je przywołali.

Beldin oznajmił, iż Arendowie jeszcze bardziej zgłupieli - jeśli to w ogóle możliwe - i że wszyscy żyją w stanie ustawicznej wojny.

Belmakor, w drodze do Melceny, przemierzył ziemie Nyissan. Doniósł, że Wężowy Lud nadal był straszliwie prymitywny. Nyissanie nigdy nie grzeszyli energią, ale można by się spodziewać, że przynajmniej zaczęli budować domy. Melcenowie oczywiście budowali domy — prawdopodobnie więcej niż naprawdę potrzebowali, ale to powstrzymywało ich przed robieniem głupstw. W drodze powrotnej Belmakor zawitał do Kell. Według jego relacji Dalowie bardzo zaangażowali się w zgłębianie nauk tajemnych - astrologii, nekromancji i tym podobnych rzeczy. Dalowie tak wiele swojego czasu spędzali na próbach wejrzenia w przyszłość, że zaczęli tracić z oczu teraźniejszość. Nie znoszą mistycyzmu!

Jednakże dzięki temu nie stanowili dla nikogo zagrożenia. Byli zbyt otumanieni.

Z Alornami sprawa oczywiście przedstawiała się całkiem inaczej. To hałaśliwi, wojowniczy ludzie, którzy walczą z byle powodu. Beltira i Belkira przyjrzeni się swym współziomkom. Szczęśliwie, dla dobra pokoju na świecie, Alornowie, podobnie jak Arendowie, więcej czasu spędzali walcząc ze sobą, niż wszczynając wojny z innymi narodami. Bliźniacy z całym naciskiem sugerowali jednak, abyśmy nie spuszczały z nich oka. Co też czyniłem przez minione pięć tysięcy lat. Prawdopodobnie właśnie to przysporzyło mi siwizny. Alornowie potrafią przez przypadek wplątać się w więcej kłopotów, niż inni ludzie z rozmysłem — oczywiście wyjąwszy Arendów. Arendowie stanowili ciągłe zagrożenie.

Mistrz uważnie wysłuchał naszych relacji i uznał, że na świecie poza Doliną generalnie panował spokój. Jedyne z Angaraka-mi mogły być kłopoty. Powiedział, że omówi ze swym bratem, Torakiem, ten problem. Zwróci mu uwagę na fakt, że w razie wybuchu ogólnej wojny, sami Bogowie nieuchronnie będą w nią zamieszani, a to groziłoby katastrofą.

- Tuszę, iż zdołam do rozsądku mu przemówić - powiedział Aldur.

Rozsądek? Torak? Czasami optymizm Mistrza brał górę nad jego rozsądek.

W trakcie naszych relacji Aldur z roztargnieniem bawił się swoim dziwnym szarym kamieniem. Miał go już od tak dawna, że nie zdawał sobie sprawy z tego, iż trzymał kamień w dłoniach. Od rozmowy z Ulem chyba ani razu go nie odłożył. Ten kawałek skały stał się niemal jego częścią.

Naturalnie tym, który to zauważył, był Belzedar. Zastanawiam się, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby tego nie uczynił.

- Co to za dziwny klejnot, Mistrzu? - zainteresował się. Szkoda, że nie ugryzł się w język, nim zadał to fatalne w skutkach pytanie.

- Ten Glob? - odparł Aldur, podnosząc go, byśmy wszyscy wi dzieli. - W nim spoczywa los świata.

Wówczas po raz pierwszy dostrzegłem w głębi kamienia niebieskawe błyski. Tysiące lat dotyku dłoni Mistrza wypolerowały go. Był teraz, jak bystrze zauważył Belzedar, bardziej klejnотem niż zwykłym kamieniem.

-Jakże ten mały przedmiot może być tak ważny, Mistrzu? - zdziwił się Belzedar. To następne pytanie, które wołałbym, aby nie przyszło mu na myśl. Gdyby nie padło, nic, co później się wydarzyło, nie miałoby miejsca, a on nie znajdowałby się w swym obecnym położeniu. Pomimo żądy wiedzy, pewne pytania lepiej pozostawić bez odpowiedzi.

Niestety nasz Mistrz miał zwyczaj odpowiadania na pytania i tym sposobem wyszły na jaw rzeczy, które lepiej, aby pozostały w ukryciu. Gdyby sprawy tak się potoczyły, być może nie ciążyłoby mi brzemie winy, którego nie mam siły dźwigać. Wołałbym nieść na swych barkach górę niż mieć świadomość tego, co uczyniłem Belzedarowi. Być może Garion zrozumiałby, ale nikt poza nim. Skrucha? Tak, oczywiście, że żałuję. Mam poczucie winy jak stąd do księżycy. Ale nie umiera się przecież z żalu. Można się żżymać, lecz się nie umiera.

Mistrz uśmiechnął się do Belzedaran, a Glob pojaśniał. Zdawało mi się, że dostrzegłem w nim migoczące, przyćmione wizerunki.

- W tym tkwi przeszłość - powiedział Mistrz - i terażniejszość, a także przyszłość. To zaledwie mała cząstka zalet Globu. Z jego pomocą może człowiek, lub sama ziemia, uzdrowionym bądź zniszczonym być. Cokolwiek człowiek albo Bóg chciałby uczynić, choćby było to ponad moc Woli i Słowa, Glob urzeczywistni.

- Zaprawdę cudowna to rzecz, Mistrzu — rzekł Belzedar, wyglądając na nieco zaintrygowanego - ale nadal nie mogę tego pojąć. Z pewnością klejnот jest bez skazy, lecz przy całej swej wspaniałości to tylko kamień.

- Glob wyjawiał mi przyszłość, synu - odparł ze smutkiem Mistrz. - Stanie się przyczyną wielu sporów, ogromnych cierpień i rozległych zniszczeń. Moc Globu pozwala mu zdmuchnąć życie nie narodzonych jeszcze ludzi tak łatwo, jak ty zdmuchnąłbyś świeczkę.

— A zatem to zła rzecz, Mistrzu - powiedziałem, a Belsambar i Belmakor mnie poparli.

- Zniszcz to, Mistrzu - błagał Belsambar - nim sprowadzi zło na świat.

- To być nie może — odparł Mistrz.

— Błogosławiona niech będzie mądrość Aldura - rzekł Belzedar, z dziwnym błyskiem w oczach. - Przy naszej pomocy Mistrz może władać tym klejnotem dla dobra zamiast zła. Potwornym czynem byłoby zniszczenie tak cennej rzeczy.

Teraz, gdy spoglądam wstecz na wszystko, co się zdarzyło, zdaje mi się, że nie powinienem winić Belzedara za jego niezdrowe zainteresowanie Globem. To było częścią koniecznego biegu wydarzeń. Nie powinienem obarczać go winą, ale to robię.

— A rzeknę wam, moi synowie - ciągnął dalej Mistrz - iż nie zniszczyłbym Globu, nawet gdyby możliwym to było. Powróciliście właśnie z przyglądania się światu w jego dzieciństwie i ludzkości w jej niemowlęctwie. Wszelkie żywe stworzenie musi dorosnąć lub zginie. Przez ten klejnot świat zmienionym będzie, a człowiek osiągnie stan, do którego został stworzony. Glob sam w sobie nie jest zły. Zło jest rzeczą tkwiącą jedynie w sercach i umysłach ludzi, a także Bogów.

Potem Mistrz umilkł, westchnął, a my odeszliśmy, pozostawiając go w smutnym zjednoczeniu z Globem.

W ciągu następnych stuleci rzadko widywaliśmy Mistrza. Samotnie w swej wieży kontynuował studia nad Globem, i myślę, że wiele się od niego nauczył. Wszyscy smuciliśmy się nieobecnością Mistrza i niewiele znajdowaliśmy radości w swej pracy.

Minęło chyba ze dwadzieścia wieków od czasu, gdy przybyłem, by służyć memu Mistrzowi, kiedy w Dolinie pojawił się nieznajomy. Pięknością przewyższał wszystkie widziane przeze mnie istoty. Chodził tak, jakby jego stopy z pogardą dotykały ziemi.

Wyszliśmy, by go powitać, jak było w zwyczaju.

- Chcę rozmawiać ze swym bratem, waszym Mistrzem, Aldurem - rzekł, a my wiedzieliśmy, iż mamy przed sobą Boga.

Jako najstarszy wystąpiłem przed swych braci.

- Powiem Mistrzowi, że przybyłeś, panie - oznajmiłem uprzejmie. Nic miałem pewności, który to był z Bogów, ale coś w nim wzbudzało moją niechęć.

- To nie jest konieczne, Belgaracie - odezwał się tonem, który drażnił mnie jeszcze bardziej niż zachowanie przybysza. — Mój brat wie, że tu jestem. Zawieź mnie do jego wieży.

Odwrociłem się i poszedłem przodem bez słowa. Nie miałem zaufania do swego głosu.

Gdy dotarliśmy do wieży, nieznajomy spojrzał mi prosto w oczy.

- Drobną radą, Belgaracie - powiedział — w podzięce za twe usługi. Nie próbuj wynieść się ponad własną osobę. Nie twoją rzeczą jest pochwałać mnie lub ganić. Dla twego dobra mam nadzieję, iż gdy spotkamy się następnym razem, będziesz pamiętał tę radę i zachowywał się w bardziej właściwy sposób.

Jego spojrzenie przenikało mnie na wylot. Brzmienie głosu nieznajomego zmroziło krew w żyłach.

Ponieważ jednak nadał byłem tym, kim byłem, i nawet ponad dwa tysiące lat spędzone w Dolinie nie uspiły jeszcze we mnie natury dzikiego, buntowniczego chłopca, odpowiedziałem mu nieco opryskliwie.

- Dziękuję za radę. Czy życzysz sobie czegoś jeszcze?

Nie moją rzeczą było informować przybysza, gdzie znajdowały się drzwi i jak je otworzyć. Czekałem, wypatrując z nadzieją oznak zmieszania.

- Zuchwałyś, Belgaracie - zauważył. — Być może pewnego dnia znajdę wolną chwilę, by nauczyć cię dobrego zachowania i należytego szacunku.

- Zawsze z ochotą się uczę - odparłem. Jak widzicie, od samego początku wkroczyłem z Torakiem na wojenną ścieżkę. Za uważcie, że domyśliłem się, kim był.

Przybysz odwrócił się, machnął ręką i kamienne drzwi wieży otworzyły się. Potem wszedł do środka.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co dokładnie zaszło pomiędzy Mistrzem i jego bratem. Rozmawiali wiele godzin, potem zerwała się letnia burza, więc musieliśmy poszukać schronienia, i dlatego przegapiliśmy odejście Toraka.

Gdy burza przeszła, Mistrz przywołał nas do siebie. Udaliśmy się do jego wieży. Aldur siedział za stołem, przy którym od tak dawna pracował nad Globem. Na jego twarzy malował się ogromny smutek, na którego widok zamarło mi serce. Miał zaczerwieniony policzek, czego nie rozumiałem.

Ale Belzedar dostrzegł od razu to, czego ja nie zauważyłem.

- Mistrzu! - zawołał z nutą paniki w głosie. - Gdzie jest klej not? Gdzie Glob?

Żałuję, że nie zwróciłem baczniejszej uwagi na ton, jakim wymówił te słowa. Być może mógłbym zapobiec wielu wydarzeniom, gdybym to uczynił.

- Torak, mój brat, zabrał go ze sobą - odparł Mistrz, a w jego głosie dawało się wyczuć łzy.

- Szybko! - zawołał Belzedar. - Musimy go dogonić i odzyskać Glob, nim Torak nam ucieknie! Jest nas wielu, a on tylko jeden!

- Mój brat jest Bogiem, synu - powiedział Aldur. - Mnogość ludzi niczym dla niego.

- Ależ, Mistrzu - rzekł z desperacją w głosie Belzedar - trzeba odzyskać Glob! On musi do nas wrócić!

A ja nadal nie zdawałem sobie sprawy z tego, co działo się w umyśle Belzedara. Mój mózg musiał spać.

-Jakim to sposobem brat twój dostał od ciebie Glob, Mistrzu? — zapytał Beltira.

- Torak zapałał chęcią posiadania klejnotu - powiedział Aldur - i zaklinał mnie, iżbym mu go oddał. A gdy nie wyraziłem zgody, uderzył mnie, zabrał Glob i uciekł.

Tego było za wiele! Choć klejnot miał cudowną moc, to był tylko kamieniem. Ale fakt, że Torak uderzył naszego Mistrza, wzniecił płomień w mej duszy. Odrzuciłem płaszcz, skierowałem całą wolę w powietrze przed sobą i jednym słowem uczyniłem miecz. Schwyciłem go i skoczyłem do okna.

- Nie! - powiedział Mistrz i jego słowo sprawiło, że zatrzymałem się jakby wyrosła przede mną ściana.

- Otwórz! - rozkazałem, godząc w niewidzialną ścianę mieczem.

- Nie! - powtórzył Mistrz i ściana mnie nie przepuściła.

- On cię uderzył, Mistrzu! - krzyknąłem gniewnie. - Za to zabiję go, choćby po dziesięciokroć był Bogiem!

- Nie. Torak zgniótłby cię tak łatwo, jak ty zgniatasz owada, który ci dokucza. Miłuję cię wielce, mój najstarszy synu, i nie chcę cię utracić.

- Musi być wojna, Mistrzu - powiedział Belmakor. To powinno dać wam pewne wyobrażenie o tym, jak poważnie podeszliśmy do sprawy. Słowo „wojna” było ostatnim, jakiego spodziewałem się usłyszeć z ust układnego Belmakora. - Uderzenie i kradzież nie mogą ująć bez kary. Wykujemy broń, a Belgarath nas poprowadzi. Wydamy wojnę temu złodziejowi, który mieni siebie Bogiem.

- Synu - rzekł Aldur z lekkim smutkiem - dość będzie wojny, abyś sycił się nią do końca swego żywota. Z ochotą oddałbym Glob Torakowi, gdyby klejnot nie powiedział mi, iż pewnego dnia go zniszczy. Chciałem Torakowi tego oszczędzić, lecz jego

ządza klejnotu zbyt wielką była i nie posłuchał mnie - Aldur westchnął, po czym wyprostował się. - Będzie wojna, Belmakorze. Nieunikniona teraz jest. Brat mój posiada Glob, a z jego mocą może wyrządzić ogromne szkody. Musimy go odzyskać lub zmienić, nim Torak ujarzmi klejnot i nagnie do swej woli.

- Zmienić? - zapytał z przerażeniem Belzedar. - Z pewno-
ścią, Mistrzu, nie chcesz osłabić tej drogocennej rzeczy!

Zdawało się, że tylko o tym był w stanie myśleć, a do mnie nadal to nie docierało.

- Nie można go osłabić, Belzedarze - odparł Aldur. - Zachowa-
swą moc po kres dni. Celem naszej wojny będzie przymusić Tora-
ka do pośpiechu, by spróbował użyć Globu w niewłaściwy sposób.

Belzedar patrzył na niego osłupiały. Najwyraźniej myślał, że
klejnot był biernym przedmiotem. Nie brał pod uwagę faktu, iż
Glob miał własne poglądy na sprawy.

- Świat jest niestały, Belzedarze - wyjaśnił Mistrz - ale dobro
oraz zło są stałe i niezienne. Glob jest przedmiotem dobra,
a nie jedynie zabawką. Ma zrozumienie, nie takie jak twoje, tym
niemniej zrozumienie. I posiada wolę. Strzeż się jej, albowiem
wola Globu jest wolą kamienia. Jak już rzekłem, to przedmiot do
bra. Jeśli obrócić go ku czynieniu zła, uderzy w tego, kto chciał
się nim tak posłużyć - człowiek to będzie czy Bóg.

Aldur najwyraźniej dostrzegł coś, czego ja nie zauważyłem i
w ten sposób próbował ostrzec Belzedara. Jednakże nie myśle, aby
mu się to udało.

Mistrz westchnął, po czym wstał.

- Musimy się spieszyć — powiedział. - Idźcie zatem, moi
uczniowie. Idźcie pomiędzy braci mych i powiedzcie, iż proszę, by
przybyli do mnie. Jam jest najstarszy i oni przybędą przez szacunek,
jeśli nie z miłości. Wojna, którą wydamy, nie tylko naszą będzie. Lę
kam się, iż cały rodzaj ludzki zostanie w nią wmieszany. Idźcie za
tem i przyzwijcie braci mych, byśmy naradzili się, co należy czynić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Możemy zamienić słowo, Belgaracie? - zapytał Belmakor, gdy dotarliśmy do podnóża wieży Mistrza.

- Oczywiście.

- Uważam, że nie powinniśmy zostawiać Mistrza samego - zasugerował z poważną miną.

- Myślisz, że Torak mógłby wrócić i znowu go uderzyć?

- Raczej wątpię i jestem pewny, że Mistrz poradziłby sobie, gdyby do tego doszło.

- Nie dał sobie rady ostatnim razem - odparłem posepnie.

- Prawdopodobnie dlatego, że Torak go zaskoczył. Zwykle nie spodziewamy się uderzenia od brata.

- A zatem, skąd twoja troska?

- Nie żal ci Mistrza? Nie mam na myśli jedynie straty Globu. Torak zdradził go i uderzył, a teraz będzie wojna. Myślę, że ktoś z nas powinien zostać, by pocieszyć Mistrza i zaopiekować się nim.

- Chcesz zostać?

- Nie ja, stary. Jestem równie rozgniewany jak ty. Ogarnęła mnie taka złość, że mógłbym gryźć skały i pluć piaskiem.

Zastanowiłem się nad słowami Belmakora. Było nas siedmiu, a musieliśmy dotrzeć jedynie do pięciu Bogów, więc z całą pewnością mogliśmy pozwolić sobie na zostawienie dwóch z nas.

- A co powiesz na bliźniaków? - zasugerowałem. - I tak nie potrafiliby sprawnie działać, gdybyśmy ich rozdzielili, a w razie konfrontacji na nic by się zdali ze swym usposobieniem.

- Doskonała propozycja, stary - pochwalił. - Oczywiście, oznacza to, że ktoś inny będzie musiał udać się na północ, by po rozmawiać z Belarem.

-Ja to zrobię - zgłosiłem się na ochotnika. — Myślę, że poradzę sobie z Alornami.

- Zatem ja udam się do Nedry. Spotkałem go już i wiem, jak przyciągnąć jego uwagę. Przekupię Nedrę, jeśli będę musiał.

- Przekupisz? On jest Bogiem, Belmakorze.

- Zdaje się, że nigdy go nie spotkałeś. Tolnedranie znani są ze swej osobliwej uczciwości.

- Zabierz ze sobą Belzedara - zaproponowałem. - Ma obsesję na punkcie Globu, więc lepiej nie spuszczać go z oczu. Mógł by wyruszyć za Torakiem na własną rękę. Gdy dotrzecie na ziemie Tolnedran, wyślij go do krainy Arendów, by rozmówił się z Chaldanem. Gdyby próbował z tobą dyskutować, powiedz Belzedarowi, że poleciłem mu tak uczynić, jestem najstarszy, a to powinno mieć dla niego znaczenie. Nie pozwól Belzedarowi iść na południe. Nie chcę, aby dał się zabić. Nasz Mistrz ma już dość powodów do smutku.

Belmakor skinął posępnie głową.

- Innych również zabiorę ze sobą. Rozdzielimy się, gdy do trzemy do Tolnedran. Belsambar może porozmawiać z Marą, a Beldin powinien poradzić sobie ze znalezieniem Issy.

- To pewnie najlepszy plan. Ostrzeż Beldina i Belsambara co do Belzedara. Lepiej wszyscy miejmy na niego oko. Czasami jest nieco impulsywny.

- Czy wmieszamy w to Dalów i Melcenów?

Spojrzałem w niebo. Letnia burza już przebrzmiała i pozostało jedynie kilka napęczniałych białych chmur.

—Mistrz o nich nie wspominał - odparłem z lekkim powątpiewaniem. - Możesz jednakże ich przestrzec, jeśli chcesz. Prawdopodobnie nie będą sobie zawracać głowy udziałem w wojnie religijnej - biorąc pod uwagę fakt, iż nie mają Boga - ale dobrze by było poradzić im, aby się nie wtrącali.

—Skoro tak uważasz - wzruszył ramionami. - Chcesz porozmawiać z bliźniakami?

—A może ty byś to zrobił? Ja mam daleką drogę przed sobą. Alornowie rozproszeni są po całej północy. Odszukanie Belara może zająć mi trochę czasu.

—Udanego polowania - powiedział z lekkim uśmiechem.

—Bardzo zabawne, Belmakorze - odparłem oschle.

—Staram się, jak mogę, stary. Pójdę porozmawiać z bliźniakami.

Nie spiesząc się, ruszył w kierunku wieży bliźniąt. Niewzruszony, jak zwykle, Belmakor - przynajmniej na zewnątrz.

Ponieważ pośpiech był sprawą ważną, postanowiłem przybrać postać orła i polecieć na północ, co okazało się błędem. Chyba wspominałem już, że nie fruwałem zbyt dobrze. Nigdy nie nabrałem w tym wprawy. Po pierwsze, czuję się nie najlepiej w piórach, po drugie - widok całej tej pustki pode mną zdecydowanie mnie niepokoi, więc macham skrzydłami częściej niż potrzeba, co po pewnym czasie robi się męczące.

Główny problem jednakże tkwi w fakcie, że im dłużej pozostaję w postaci orła, tym bardziej charakter tego ptaka zaczyna dominować nad moim. Uwagę mą przyciągają drobne ruchy na ziemi i ogarnia mnie przemożna chęć poszybowania w dół i zabicia jakiegoś stworzenia.

Wylądowałem więc na ziemi, powróciłem do swej postaci i siedziałem przez jakiś czas, by odzyskać oddech, dać wytchnienie moim ramionom i rozważyć inne możliwości. Orzeł, pomimo całej swej wspaniałości, jest doprawdy głupim ptakiem, a ja nie

chciałem, by byle mysz czy królik odrywał mnie od poszukiwania Belara.

Zastanawiałem się nad postacią konia. Koń potrafi biec bardzo szybko przez krótki czas, ale prędko się męczy i jest niewiele rozumniejszy od orla. Zdecydowałem się nie przybierać postaci konia. Antylopa potrafi biegać całymi dniami' bez zmęczenia, ale to głupie stworzenie i dla zbyt wielu zwierząt na tej rozległej równinie stanowi łakomy kąsek. Nie miałem czasu na przekonywanie każdego mijanego drapieżnika, by poszedł poszukać sobie czegoś innego do jedzenia. Potrzebna mi była postać obdarzona szybkością, wytrzymałością i wystarczająco odstrasżającą reputacją, by trzymać inne zwierzęta na dystans.

W końcu przyszło mi na myśl, że owe cechy skupia w sobie wilk. Ze wszystkich stworzeń zamieszkujących równiny i lasy wilk był najbardziej inteligentny, najszybszy, najmniej podatny na zmęczenie. A co więcej, żadne rozsądne zwierzę nie wejdzie w drogę wilkowi, jeśli może tego uniknąć.

Przeistoczenie się we właściwą postać zajęło mi trochę czasu. Beldin nauczył nas przybierania postaci ptaka, ale gdy przyszło mi przywdziać futro i łapy, byłem zdany tylko na siebie.

Muszę przyznać, że spartaczyłem robotę pierwsze kilka razy. Widzieliście kiedyś wilka z piórami i dziobem? Naprawdę nie chcielibyście tego oglądać. W końcu udało mi się usunąć z głowy wszelkie myśli o ptakach i skoncentrować się na wyidealizowanym wyobrażeniu wilka.

Zmiana postaci to osobliwy proces. Najpierw wypełnia się umysł wizją stworzenia, którego postać chce się przybrać, a potem siła woli zlewa się z tym wyobrażeniem. Żałowałem, że nie ma w pobliżu Beldina. On potrafiłby wytłumaczyć to lepiej ode mnie. Ważne jest, aby nie przestawać próbować — i szybko wracać do własnej postaci, jeśli coś nam nie wyszło. Jeżeli, na przykład, zapomnisz o sercu, będziesz miał kłopoty.

Po dokonaniu przemiany, obejrzałem się dokładnie dla pewności. O niczym nie zapominałem. Niewątpliwie wyglądałem trochę głupio obmacując głowę, uszy i pysk łapami, ale chciałem utwierdzić się w przekonaniu, że inne wilki nie będą się śmiać na mój widok.

Potem ruszyłem przez trawiastą równinę. Szybko zdałem sobie sprawę, że dokonałem słusznego wyboru. Gdy tylko przyzwyczaiłem się do biegania na czterech łapach, spodobała mi się nowa postać. Zauważyłem, że umysł wilka nie różnił się w dużej mierze od mego. Po godzinie z przyjemnością stwierdziłem, iż przemierzałem ziemię przynajmniej tak szybko, jak nieudolnie pokonywałem przestworza jako orzeł. Prędko odkryłem, jak dobrą rzeczą jest posiadanie ogona, który pozwala utrzymać równowagę i przy nagłych skrętach działa niczym ster. Mało tego, gęstym, puszystym ogonem można owinać się nocą dla osłony przed chłodem. Naprawdę powinniście tego czasami spróbować.

Biegłem na północ około tygodnia, ale nadał nie natknąłem się na żadnego Alorna. Potem, pewnego złocistego letniego popołudnia, spotkałem młodą wilczycę w figlarnym nastroju. Pamiętam, że miała piękny zad i urodziwy pysk.

- Skąd ten wielki pośpiech, przyjacielu? - zapytała nieśmiało na sposób wilków. Pomimo że czas naglił, poruszyło mnie to, iż całkiem dobrze ją rozumiałem. Zwolniłem, a potem zatrzymałem się.

- Jaki wspaniały masz ogon - pogratulowała mi, szybko wykozystując swą przewagę - i co za doskonale zęby.

- Dziękuję - odparłem skromnie. — Twój ogon również jest piękny, a futro doprawdy znakomite - otwarcie ją podziwiałem.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytała, przyglądając się sobie. Potem wesoło trąciła mój bok pyskiem i odskoczyła kilka kroków, usiłując zachęcić mnie do gonitwy.

- Z ochotą zostałbym chwilę, byśmy mogli się lepiej poznać - powiedziałem - ale mam bardzo ważne spraw)' do załatwienia.

- Sprawy do załatwienia? - zaszydziła, wywieszając w rozbiawieniu język. - A któż słyszał, żeby wilk miał do załatwienia jakiejś sprawy poza spełnianiem własnych pragnień?

- Tak naprawdę nie jestem wilkiem - wyjaśniłem.

- Zdumiewające. Wyglądasz jak wilk, mówisz jak wilk i z całą pewnością pachniesz jak wilk, a twierdzisz, że nie jesteś wilkiem. Kim zatem jesteś?

- Człowiekiem - oświadczyłem raczej pogardliwie. Odkryłem, że wilki mają w pewnych sprawach zdecydowane zdanie.

Wilczyca usiadła z wyrazem zdumienia na pysku. Musiała przyjąć to, co powiedziałem, za prawdę, gdyż wilki nie potrafią kłamać.

- Masz ogon - zauważyła - a ja nigdy nie widziałam przedtem człowieka z ogonem. Masz piękne futro. Masz cztery łapy. Masz długie, ostre zęby, spiczaste uszy i czarny nos, a mimo to mówisz, że jesteś człowiekiem.

- To bardzo skomplikowane.

- Zapewne - przyznała. — Myślę, że pobiegnę z tobą jakiś czas, skoro musisz zająć się tymi swoimi sprawami. Może mogliśmy podyskutować o tym po drodze i wyjaśniłbyś mi wszystko.

-Jak sobie życzysz - powiedziałem. Chyba ją polubiłem i byłem rad z każdego towarzystwa. Wilkom też czasami dokucza samotność. — Muszę cię jednakże przestrzec, że biegam bardzo szybko - uprzedziłem ją.

Wilczyca prychnęła.

- Wszystkie wilki biegają bardzo szybko.

I tak, łapa w łapę, puściliśmy się pędem przez bezkresną krainę łąk w poszukiwaniu Boga Belara.

- Masz zamiar biec zarówno w dzień, jak i w nocy? - zapytała mnie po przebyciu kilku mil.

- Odpocznę, gdy będę zmęczony.

- Cieszy mnie to - roześmiała się na sposób wilków, trąciła nosem mój grzbiet i uskokczyła.

Zacząłem zastanawiać się nad moralną stroną swej sytuacji. Moja towarzyszka wydawała mi się rozkoszna. Byłem jednak pewny, że nie odniosę takiego wrażenia, gdy przybiorę swą prawdziwą postać. Co więcej, choć bez wątpienia ojcostwo jest wspaniałą rzeczą, to gromadka szczeniąt może okazać się kłopotliwa, kiedy wrócę do swego Mistrza. Poza tym szczeniaczki nie będą w pełni wilkami, a ja doprawdy nie chciałbym być ojcem rasy potworów. A do tego wszystkiego, ponieważ wilki łączą się w pary na całe życie, gdy opuszczę swą towarzyszkę - co w końcu będę zmuszony uczynić - stanie się ona przedmiotem szyderstwa i kpin członków wilczej sfory, jako porzucona wilczyca z gromadką pozbawionych ojca szczeniąt. Przyzwoitość jest bardzo ważna dla wilków. Postanowiłem zatem oprzeć się jej zalotom podczas naszej wyprawy w poszukiwaniu Belara.

Nie poświęciłbym tyle czasu i miejsca temu incydentowi, gdybym nie pragnął wyjaśnić, jak podstępnie osobowość istot o kształtach, które przybieramy, może zdominować nasze myślenie. Nie ubiegliśmy zbyt daleko, gdy stałem się wilkiem w równym, a może nawet większym stopniu niż moja przyjaciółka. Jeśli kiedykolwiek zdecydujecie się na podobne ćwiczenia, bądźcie ostrożni. Pozostawanie zbyt długo w danej postaci może doprowadzić do tego, że gdy nadejdzie czas przeistoczenia się, nie będziecie mieli na to ochoty. Otwarcie muszę przyznać, że nim młoda wilczyca i ja dotarliśmy do królestwa Boga-Niedźwiedzia, rozmyślałem już nad przyjemnościami legowiska i polowania, rozkosznego węszenia szczeniąt i wiernego, niezawodnego towarzystwa mej partnerki.

Po jakimś czasie natrafiliśmy na grupę myśliwych na skraju rozległej, pradawnej puszczy, w której przebywał ze swym ludem Belar, Bóg-Niedźwiedź. Ku zdumieniu mej towarzyszki, powróciłem do swej postaci i podszedłem do nich.

- Mam wiadomość dla Belara - oświadczyłem.

- Skąd możemy wiedzieć, że to prawda? - zapytał zaczepnie jeden z krzepkich mężczyzn. Czemu ci Alornowie zawsze są skory do swarów?

- Wiesz, że to prawda, ponieważ powiedziałem, że to prawda - odparłem równie butnie. - Wiadomość jest ważna, więc przestań marnować czas na prężenie mięśni i natychmiast zaprowadź mnie do Belara.

Wtem jeden z Alornów spostrzegł moją towarzyszkę i rzucił w nią włócznią. Nie miałem czasu na zamaskowanie swego działania. Zatrzymałem ją w locie.

Alornowie wpatrywali się w osłupieniu w drżącą włócznię tkwiącą w powietrzu niczym w pniu drzewa. Potem, ponieważ byłem poirytowany, złamałem włócznię na pół.

- Magia! - zdołał wydusić jeden z nich.

- Zdumiewająca spostrzegawczość, stary - powiedziałem z sarkazmem, naśladując jak najlepiej umiałem Belmakora. - A teraz, jeśli nie chcecie spędzić reszty swych dni jako kapusty, za prowadźcie mnie natychmiast do Belara. Wilczyca jest ze mną. Następny, który spróbuje ją skrzywdzić, do końca życia będzie nosił swe wnętrzności w kuble.

Czasami trzeba wyrazić się bardzo obrazowo, aby dotarło to do Alornów. Skinąłem na wilczycę. Podeszła do mnie, szczerząc na myśliwych kły. Miała śliczne, długie, zakrzywione i ostre niczym sztylety kły, które natychmiast i niepodzielnie przyciągnęły uwagę Alornów.

- Dobra robota — warknąłem do niej z zachwytem. Machnęła ogonem, nadal szczerząc się groźnie na tępołowych barbarzyńców.

- Pójdziemy porozmawiać z Belarem, panowie? - zapytałem jak najuprzejmiej.

Boga Belara odnaleźliśmy w prymitywnym obozowisku w głębi lasu. Wyglądał na bardzo młodego — niewiele starszego od

chłopca, choć wiedziałem, że był niemal tak sędziwy, jak mój Mistrz. Mam pewne podejrzenia co do Belara. Otaczały go pierśiaste, jasnowłose dziewczęta alornskie, które sprawiały wrażenie ogromnie nim zachwyconych. No cóż, w końcu był Bogiem, choć podziw kobiet nie wydawał się czysto religijnej natury.

* * *

W porządku, Polgaro, zostawmy to.

* * *

Alornowie, którzy towarzyszyli Belarowi, byli hałaśliwi, niedyscyplinowani i, w większości, pijani. Żartowali sobie ze swym Mistrzem swawolnie bez krzty dobrych manier czy poszanowania dla jego godności.

- Cieszę się, że cię widzę, Belgaracie - powitał mnie Belar, choć nigdy przedtem nie spotkałiśmy się i nie wyjawilem żadne mu z tych wojowniczych myśliwych mego imienia. - Jak się wie dzie memu ukochanemu starszemu bratu?

- Nie za dobrze, panie — odparłem raczej oficjalnym tonem. Pomimo kufła trzymanego w jednej ręce i blondynki w drugiej, nadal był Bogiem, więc starałem się zachować jak najlepsze maniery. — Twój brat Torak odwiedził mego Mistrza, uderzył go i za brał pewien szczególny klejnot, którego pożył.

- Co takiego? - ryknął młody Bóg, podrywając się na nogi i wypuszczając z rąk zarówno kufel, jak i blondynkę. - Torak ma Glob?

- Obawiam się, że tak, panie. Mój Mistrz prosił, abym błagał cię o przybycie do niego możliwie jak najszybciej.

- Uczynię tak, Belgaracie - zapewnił mnie Belar, ponownie biorąc do jednej ręki kufel i chwytając nieco nadąsaną blondynkę. — Natychmiast poczynię przygotowania. Czy Torak posłużył się już Globem?

- Myślmy, że nie, panie - odparłem. - Mój Mistrz mówi, iż powinniśmy się śpieszyć, zanim twój brat Torak, panie, nie pozna całej mocy klejnotu, który ukradł.

- Słusznie — przyznał Belar, po czym spojrzął na młodą wilczycę, siedzącą u mych stóp. - Pozdrowienia, siostrzyczko - po wiedział w płynnej mowie wilków. - Jak się masz?

Belar z pewnością nie jest bez wad, ale maniery ma nienaganne.

-Jakie to niezwykle - rzekła nieco oszołomiona. — Zdaje się, że znalazłam się pośród stworzeń o wielkim znaczeniu.

- Twój towarzysz i ja musimy się pospieszyć — oświadczył Belar. - W przeciwnym razie poczyniłbym przygotowania, abyś miała zapewnione odpowiednie wygody. Czy mógłbym ci zaofiarować coś do zjedzenia?

Rozumiecie teraz, co miałem na myśli, mówiąc o uprzejmości Belara?

Wilczyca spojrziała na woła obracającego się na różnie nad ogniskiem.

- To pachnie interesująco - powiedziała.

- Oczywiście.

Belar wziął długi nóż i odkroił dla mej towarzyszki wielką porcję. Następnie podał jej, przezornie chowając szybko palce przed wspinałymi kłami wilzycy.

- Moje podziękowania - rzekła, odrywając kęs i pochłaniając go w mgnieniu oka. - Ten - wskazała na mnie kiwnięciem łba - spieszył się tak bardzo z dotarciem tutaj, że ledwie mieliśmy czas, by raz czy dwa schwytać po drodze zająca. — Ze smakiem połknęła resztę mięsa w dwóch wielkich kęsach. - Całkiem dobre — zauważyła - choć ktoś zastanawia się, czy koniecznie trzeba było to spalić.

- Taki zwyczaj, siostrzyczko - wyjaśnił.

- No cóż, skoro to zwyczaj... - Starannie oblizała do czysta pysk.

- Za chwilę wrócę, Belgaracie - powiedział Belar i odszedł rozmówić się ze swymi Alornami.

- Ten jest miły - oświadczyła z przekąsem ma towarzyszka.

- On jest Bogiem - odparłem.

- Nie ma to dla mnie znaczenia — rzekła obojętnie. - Bogo wie to ludzkie sprawy. Wilki mało się tym interesują - dodała, po czym obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem. - Ktoś byłby bardziej rad z ciebie, gdybyś patrzył, gdzie należy.

- Ktoś nie rozumie, co masz na myśli.

- Sądzę, że rozumiesz. Te samice należą do miłego. Nie jest właściwe, byś podziwiał je tak otwarcie.

Było całkiem oczywiste, iż nie bacząc na moją wstrzeźliwość, podjęła pewne decyzje. Pomyślałem, że lepiej będzie położyć temu kres.

- Nie chciałabyś wrócić do miejsca, w którym się spotkaliśmy i dołączyć ponownie do swej sfory? - zasugerowałem delikatnie.

- Pochodzę z tobą jeszcze trochę dłużej - odrzuciła mą pro pozycję. - Zawsze byłam ciekawa, a widzę, że znane ci są sprawy ze wszech miar godne uwagi.

Wilczyca ziewnęła, przeciągnęła się i zwinęła u mych stóp — przezornie, jak spostrzegłem, układając się pomiędzy mną i owymi alorńskimi dziewczętami.

Powrót do Doliny, w której oczekiwał nas Mistrz, zajął o wiele mniej czasu niż moja podróż do krainy Boga-Niedźwiedzia. Choć czas jest dla Bogów sprawą obojętną, to w razie pośpiechu potrafią pokonywać odległości w niewiarygodny sposób. Ruszyliśmy krokiem leniwej przechadzki. Belar wypytywał mnie o Mistrza i nasze życie w Dolinie, a wilczyca wędrowała spokojnie pomiędzy nami. Po kilku godzinach takiego spaceru niecierpliwość uczyniła mnie na tyle odważnym, by przejść do sedna rzeczy.

- Panie - odezwałem się - wybacz, ale w tym tempie dotarcie do wieży mego Mistrza zajmie nam prawie rok.

- Niezupełnie, Belgaracie - stwierdził z zadowoleniem. — Mam wrażenie, że wieża znajduje się tuż za następnym wzgórzem.

Spojrzałem na niego zaskoczony, że Bogowie mogą być tak naiwni, ale gdy wspieiliśmy się na wzgórze, ujrzałem Dolinę z wieżą mojego Mistrza pośrodku.

-Jakie to niezwykle - mruknęła wilczyca, przysiadając i wpatrując się w Dolinę swymi jasnymi żółtymi ślepiami. W tym musiałem się z nią zgodzić.

Moi bracia wcześniej powrócili i czekali na nasze przybycie u stóp wieży Mistrza. Inni Bogowie już byli z Aldurem i Belar pospieszył do wieży, by do nich dołączyć.

Bracia byli zaskoczeni widokiem mojej towarzyszki.

- Belgaracie - zaprotestował Belzedar — czy rozsądnie przy prowadzać kogoś takiego? Wilki nie są najbardziej godnymi za ufania stworzeniami.

Słyszac to, wilczyca wyszczerzyła kły. Jakim sposobem mogła zrozumieć, co powiedział?

-Jakiej na imię? - zapytał ostrożnie Beltira.

- Wilki nie potrzebują imion - odparłem. - Wiedzą, kim są, bez takich dodatków. Myślę, że imiona to wymysł ludzi.

Belzedar pokręcił głową i odszedł od wilczycy.

- Czy ona jest obłaskawiona? - zaciekawił się Belsambar. Oswajanie wszystkiego, co się dało, było pasją Belsambara. Myślę, że zna połowę królików i jeleni w Dolinie, a ptaki zwykły przysiaść na nim niczym na drzewie.

- Wcale nie jest oswojona, Belsambarze - powiedziałem. - Spotkaliśmy się przypadkowo, gdy zdążyłem na północ, i postawiła mi towarzyszyć.

-Jakie to niezwykle - odezwała się do mnie wilczyca. - Czy oni zawsze są tak pełni pytań?

- Skąd wiesz, że zadawali pytania?

- Ty również? Jesteś taki sam jak oni.

To był irytujący zwyczaj. Jeśli uznała pytanie za nieistotne, po prostu na nie nie odpowiadała.

- W naturze człowieka leży dociekliwość - powiedziałem usprawiedliwiającym tonem.

- Zdumiewające stworzenia - prychnęła, kręcąc łbem. Potrafiła również być mistrzynią niedomówień.

- To zadziwiające - zachwycił się Belkira. - Opanowałeś moją sztukę. Błagam cię, naucz mnie tej sztuki.

- Nie nazwałbym tego sztuką, Belkiro. Przyjąłem postać wilka na czas mej podróży na północ. Język wilków przyszedł wraz z tą postacią i pozostał, nawet gdy wróciłem do swojej. To nic wielkiego.

- Myślę, iż możesz być w błędzie, mój drogi - powiedział Belmakor z zamyślnym wyrazem twarzy. - Nauka języków obcych jest bardzo nużącym zajęciem. Już od kilku lat mam zamiar nauczyć się języka Ulgosów, ale nawet go nie liznąłem. Gdybym przybrał postać Ulgosa na dzień czy dwa, to mógłbym oszczędzić sobie miesięcy studiów.

- Jesteś leniwy, Belmakorze - oświadczył wyzywającym tonem Beldin. - Poza tym, nie zdałoby to egzaminu.

- A dlaczego to?

- Ponieważ Ulgos nadal jest człowiekiem. Wilczyca Belgaratha nie formułuje słów na nasz sposób, bowiem zupełnie inaczej myśli.

- Nie sądzę, aby Ulgosi to czynili - zaprotestował Belmakor.

- Uważam, że to może się powieść.

- Jesteś w błędzie, nie uda się.

Dyskusja trwała około stu lat. Myśl, aby spróbować i stwierdzić, kto ma słuszność, nigdy nie przysłała żadnemu z nich do głowy. Choć pewnie i przysłała. Belmakor i Beldin nie byli na tyle f*łupi, aby o tym nie pomyśleć. Ale obu ta dyskusja sprawiała tyle tadości, że nie chcieli psuć sobie przyjemności ustalając raz na /awsze wynik sporu.

Wilczyca zwinęła się i zasnęła. My tymczasem czekaliśmy na decyzję naszego Mistrza i jego braci w sprawie samowolnego Toraka. Bogowie wyszli z wieży zasmuceni i oddalili się bez słowa.

Potem Aldur przywołał nas do siebie i udaliśmy się na górę.

- Będzie wojna - powiedział ze smutkiem Mistrz. - Nie moż na pozwolić Torakowi na zdobycie pełnej władzy nad Globem. Klejnot jest stworzony do różnych celów i nie należy ich łączyć, w przeciwnym razie struktura stworzenia zostanie rozdarta. Moi bracia udali się, by zebrać swe ludy. Mara i Issa podążą od wschodu przez ziemie Dalów, by zająć Toraka od południa Korimu. Nedra i Chaldan okrążą go od zachodu, a Belar zajdzie od północy. Siąc spustoszenie będziemy pośród jego Angarakow, dopóki nie zwróci Globu. A choć rani to me serce, musi tak być. Przygotuję zadania dla każdego z was, które wypełnicie podczas mej nieobecności.

- Nieobecności, Mistrzu? - zapytał Belzedar.

- Muszę udać się aż do Prolgu, by naradzić się z Ulem. Zna ne mu są, choć niedokładnie, Przeznaczenia, które nami kierują. Pod przewodnictwem Ula nie przekroczymy dozwolonych granic w wojnie przeciwko naszemu bratu.

Wilczyca niepostrzeżenie podeszła do Aldura i położyła mu łeb na kolanach. A on mówiąc do nas, bezwiednie - a może tak mi się tylko zdawało - gładził wilczycę z dziwną czułością. Wiem, że to niemożliwe, ale miałem wrażenie, iż oni się znali.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mistrz długo nie wracał z Prolgu, my jednak mieliśmy wiele zajęć. Na nudę nie narzekaliśmy, zapewne podobnie jak ludy innych Bogów. Ludzkość nie znała wojen, być może wyjąwszy Alornów i Arendów, a i im brakowało organizacji koniecznej do stworzenia armii. Ogólnie biorąc, na świecie panował pokój, a walki, które wybuchały od czasu do czasu angażowały jedynie małe grupki ludzi staczających bitwy przy użyciu niezbyt wymyślnej broni. Oczywiście nie obywało się bez ofiar, choć wolę myśleć, że w większości były one dziełem przypadku.

Tym razem jednak sprawa przedstawiała się inaczej. Całe narody miały stanąć przeciwko sobie. Zupełnie nas to zaskoczyło. Rozpoczynając przygotowania do wojny, w znacznej mierze polegaliśmy na wiedzy Belsambara o Angarakach. Poczucie wyższości, jakie wpoił swemu ludowi Torak, sprawiło, że stali się tajemniczymi odludkami. Obcy nie byli mile widziani na ich ziemiach. Dla podkreślenia tego, Angaracowie tradycyjnie otaczali swoje miasta murami. Czynili tak nie dlatego, iż spodziewali się wojny - choć sam Torak pewnie ją przewidywał - ale raczej z poczucia potrzeby zaznaczenia swej odrębności i nadrzędnej pozycji w stosunku do reszty ludzkości.

Beldin przysiadł na podłodze. Zachmurzony słuchał opowieści Belsambara o murach otaczających miasto, w którym urodził się tysiąc lat temu.

- Może zaprzestali tej praktyki - burknął.
- Gdy zajrzałem do nich pięć wieków temu, nie zaprzestali - powiedział Belzedar. -Jedynie mury wokół miast Angaraków były wyższe i grubsze.

Beltira wzruszył ramionami.

- Co jeden człowiek zbuduje, drugi może zburzyć.

- Nie zburzy, jeśli posypie się na niego grad włócznie, kamie ni i poleje się wrzący olej - zaprzeczył Beldin. - Chyba powinni śmy liczyć się z wycofywaniem się Angaraków za te mury, gdy na nich ruszymy. Mnożą się jak króliki, ale nadal będą w mniejszo ści, więc nie zechcą stawić nam czoła na otwartym polu. Schronią się w miastach, zamkną bramy i zmuszą nas, byśmy do nich przy szli. To wspaniała okazja, aby wysłać na śmierć wielu naszych lu dzi. Musimy wymyślić jakiś sposób na zburzenie murów nie angażując w to połowy ludzkości.

- Możemy to zrobić bez niczyjej pomocy - zasugerował Belkira. - Pamiętam, że sam przemieściłeś dobre pół akra kamieni, gdy pomagałeś Belgarathowi budować jego wieżę.

- To były pojedyncze głazy, bracie - odparł ze skwaszoną mi ną Beldin - i gdybym przemieścił ich więcej, to nie ruszyłbym się następnego dnia. Belsambar mówi, że Angarakowie skleją swe mury zaprawą. Musielibyśmy rozebrać je kamień po kamieniu.

- A Angarakowie odbudują te mury równie szybko, jak my je zburzymy - dodał Belmakor. Spoglądał przez chwilę w zamy śleniu na sufit wieży Belsambara. - Po pierwsze, Beldin ma ra cję. Nie możemy tak po prostu ruszyć tłumnie na ich miasta. Po nieślibyśmy niepowetowane straty - powiedział i popatrzył na nas. -Jesteśmy w tym zgodni?

Wszyscy przytaknęli.

- Doskonale — oświadczył oschle. - Po drugie, jeśli spróbuje my zburzyć ich mury za pomocą Woli i Słowa, wyczerpiemy się, a i tak nie osiągniemy zbyt wiele.

— Co nam zatem pozostaje? - zapytał go zaczepnie Belzedar. Słyszałem, że Belzedar i Belmakor spierali się zażarcie po dotarciu na ziemię Tolnedran. Belzedar, jako drugi uczeń, uznał, iż to on dowodzi. Belmakor, podpierając się mym autorytetem, zakwestionował tę decyzję, a Beldin go poparł. Domyślam się, że Belzedar poczuł się mocno urażony i szukał teraz sposobności, aby odegrać się na Belmakorze za swoje, w jego mniemaniu, upokorzenie. - Nie możemy uderzyć bezpośrednio na Toraka, zdajesz sobie chyba z tego sprawę - ciągnął dalej. - Jedynym sposobem zranienia go na tyle, by zmusić Toraka do oddania Globu, jest skrzywdzenie jego ludu, a nie będziemy tego w stanie uczynić, jeśli ukrywają się za tymi murami.

- A zatem chcesz powiedzieć, że sytuacja wymaga mechanicznych rozwiązań, mój drogi? - spytał Belmakor swym przesadnie ugrzecznionym tonem.

- Mechanicznych? - Belzedar wyglądał na zbitego z tropu.

- Czegoś, co nie krwawi, stary. Czegoś, co potrafi poza zasięgiem włócznie Angaraków zburzyć te mury.

—Nie istnieje coś takiego — burknął Belzedar.

—Jeszcze nie, mój drogi, jeszcze nie, ale sądzę, że Beldin i ja potrafimy wymyślić coś odpowiedniego.

Chciałbym tu z naciskiem podkreślić pewną sprawę. Różni ludzie usiłowali przypisać sobie wynalezienie machin oblężniczych. Ich twórcami okrzyknęli się Alornowie; a także Arendowie; z całą pewnością autorami wynalazku mianowali się Malloreanie; ale przynajmy zasługę temu, komu się ona należy. To moi bracia, Belmakor i Beldin, zbudowali pierwszą maszynę oblężniczą.

Nie chcę powiedzieć, że wszystkie maszyny działały bez zarzutu. Pierwsza katapulta rozleciała się na kawałki przy próbie jej użycia, a ruchomy taran był prawdziwą katastrofą, gdyż nie potrafili nim kierować. Lubi! zbaczać z wyznaczonego kursu i walić w Boga ducha winne drzewa. Ale odbiegam od tematu.

W tym właśnie momencie dyskusji Belsambar zaskoczył nas potwornością swego pomysłu.

- Belmakorze - zapytał skromnie - sądzisz, że naprawdę po trafisz wymyślić coś, co wyrzucaloby rzeczy na dużą odległość?

- Oczywiście, stary - odparł z przekonaniem Belmakor.

- A zatem, czemu mielibyśmy atakować mury? Nie prowadzi my z nimi sporu. Mamy konflikt z Torakiem. Ja jestem Angarakiem i znam umysł Toraka lepiej niż ktokolwiek z was. Zachęca swych Grolimów, by składali ofiary z ludzi, ponieważ są one do wodem na to, że kochają go bardziej niż swój lud. O wielkości miłości do Toraka świadczy liczba cierpiących na ołtarzach ofiar. To określony, zindywidualizowany ból ofiary daje mu zadowolenie. Najlepiej go zranimy, jeśli uczynimy ten ból powszechnym.

- A co masz na myśli, bracie? - zapytał zaintrygowany Belmakor.

- Ogień - powiedział z okrutną prostotą Belsambar. — Smoła pali się, podobnie jak nafta. Po co marnować czas i życie żołnierzy na atakowanie murów? Użyjmy naszych wspaniałych machin do przerzucania płynnego ognia przez mury do miast. Uwięzieni w nich Angarakowie spalą się żywcem i w ogóle nie trzeba będzie wchodzić do ich miast.

- Belsambar! - krzykną } Beltira. — To okropne!

- Tak - przyznał Belsambar - ale, jak powiedziałem, znam umysł Toraka. On boi się ognia. Bogowie potrafią zobaczyć przyszłość, a Torak w swojej widzi ogień. W żaden inny sposób nie wy rządzymy mu więcej bólu. A czyż nie to właśnie jest naszym celem?

W świetle tego, co później się stało, Belsambar miał absolutną słuszność, choć nie sposób wyjaśnić, skąd to wiedział. Torak bał się ognia - i miał ku temu powód.

Propozycja Belsambara była ze wszech miar praktyczna, ale wszyscy woleliśmy uniknąć wprowadzenia jej w życie. Belmakora i Beldina ogarnął istny szał wynalazczości, podobnie jak bliźnia-

ków. Eksperymentowali z pogodą. Wywoływali huragany i tornada na czystym, błękitnym niebie. Mieli nadzieję, że w ten sposób zburzą miasta i wioski Angaraków. Ja skoncentrowałem wysiłki na tworzeniu różnorodnych iluzji. Wypełniałem ulice miast Angaraków niewyobrażalnymi okropnościami. Potrafiłem wypędzić ich zza murów, nim za sprawą własnego rodaka splonęliby żywcem.

Belzedar pracował równie ciężko jak my wszyscy. Wydawało się, że ogarnęła go obsesja na punkcie Globu, z taką desperacją szukał sposobów na odzyskanie klejnotu. Belsambar zaś cierpliwie czekał. Wiedział chyba, że gdy rozpoczną się walki, wrócimy do jego okropnego planu.

Często wyprawialiśmy się do ziem naszych sprzymierzeńców, by sprawdzić, jakie czynili postępy. Do tej pory poszczególne narody łączyły raczej luźne więzy, a żadnym z protonarodów nie władał pojedynczy człowiek. Wojna z Torakiem wszystko zmieniła. System organizacji wojska z konieczności ma strukturę piramidy, a model sprawowania władzy nad narodem przez jednego człowieka przeniesiony został potem na czasy powojenne. W pewnym sensie to Torakowi możemy dziękować - lub obarczyć go winą - za stworzenie koncepcji panowania królów.

Ja ponoszę chyba odpowiedzialność za powstanie dynastii królewskiej Alornów. Wraz ze swymi braćmi nadal pełniliśmy funkcje łączników pomiędzy różnymi narodami. W pewnym sensie automatycznie przyjęliśmy odpowiedzialność za ludy tych Bogów, których osobiście zapraszaliśmy na naradę w Dolinie po kradzieży Toraka. Myślę, że na całym moim życiu zaciążył fakt, iż nie-
szczęśliwie zostałem przypisany do Alornów.

Nasze przygotowania do wojny zajęły kilka lat. W opowieściach o tym okresie jest często dużo przesady. Oczywiście docho-
dziło do potyczek na granicy z Angarakami, ale nie wywiązała się żadna znacząca bitwa. W końcu Bogowie uznali, że ich ludy są już gotowe -jeśli kogokolwiek w tamtych czasach można było nazwać

gotowym do krwawego starcia. Wojna przeciwko Angarakom nie przypominała żadnej potyczki w historii ludzkości, gdyż wymarsz wojsk wiązał się z migracją całych narodów. Bogowie w owych czasach byli tak bardzo przywiązani do swych ludów, że myśl o pozostawieniu kobiet, dzieci i starców po prostu nie przyszła im do głowy.

Mara i Issa zabrali swych Maragów i Nyissan i ruszyli na południowy wschód, na ziemie Dalów. Tolnedranie i Arendowie zaczęli przemieszczać się na zachód. Tylko Alornowie pozostali na miejscu. Wówczas to jedyny raz widziałem Mistrza czymś naprawdę poirytowanego. Poleciał mi udać się na północ i sprawdzić, co ich zatrzymywało.

Wyruszyłem więc i, jak zwykle, nie sam. Młoda wilczyca za-właszczyła sobie mnie w pewnym sensie, choć nie pamiętam, byśmy na ten temat rozmawiali. Skoro zaś mi towarzyszyła, na czas podróży przemieniłem się w wilka. Moja prawdziwa postać nie budziła w niej szczególnego entuzjazmu; wydawała się o wiele szczęśliwsza, gdy miałem cztery łapy i ogon.

Wiedzieliśmy, co zatrzymywało Alornów, nim jeszcze dotarliśmy do ziem Boga-Niedźwiedzia. Dacie wiarę, że oni już walczyli między sobą?

W owych czasach społeczność Alornów miała strukturę klanową i nie mogli uzgodnić, który przywódca klanu będzie dowodził całą armią. Inni Bogowie borykali się z podobnymi problemami, ale po prostu sami wybierali przywódcę. Belar jednakże nie miał takiego zamiaru.

— Pewny jestem, iż rozumiesz moje stanowisko, Belgaracie - powiedział, gdy w końcu go odnalazłem. Oświadczył to tonem usprawiedliwienia.

Wziąłem głęboki oddech. Siłą powstrzymałem się przed wybuchem.

- Nie, panie - odparłem najuprzejmiej jak potrafiłem. - Prawdę powiedziałszy, panie, nie rozumiem.

-Jeśli wybiorę jednego z wodzów klanów, inni mogą poczytać to za faworyzowanie go, rozumiesz? Sami muszą dokonać pomiędzy sobą wyboru.

- Inne narody już wyruszyły, panie - przypomniałem z całą cierpliwością, na jaką mogłem się zdobyć.

- Dołączymy do nich w końcu, Belgaracie - zapewnił mnie.

Znałem już wówczas Alornów na tyle, aby wiedzieć, że to „w końcu” rozciągnie się pewnie na kilka stuleci.

Ma towarzyszka przysiadła i wywiesiła jęzor, śmiejąc się na wilczy sposób. Jej chichot nie poprawił mi zbytnio humoru, muszę przyznać.

- Czy byłbyś skłonny wysłuchać pewnej sugestii, panie? - za pytałem grzecznie Boga-Niedźwiedzia.

- Ależ oczywiście, Belgaracie - odparł. - Jeśli mam być z tobą szczery, łamałem sobie głowę nad znalezieniem rozwiązania tego problemu. Nie chciałbym zawieść swych braci i naprawdę nie mam zamiaru przegapić całej wojny.

- Bez ciebie nie byłaby tym samym, panie - zapewniłem go. — Wróćmy teraz do problemu. Czy nie mógłbyś wezwać do siebie wszystkich wodzów i rozkazać im ciągnąć losy o przywództwo nad Alornami?

- Proponujesz zostawić wszystko dziełu czystego przypadku?

- To jest pewne rozwiązanie, panie, a jeśli obaj przyrzeknie my nie mieszać się, to twoi wodzowie nie powinni mieć powodu do niezadowolenia, prawda? Wszyscy będą mieli równe szansę, a jeżeli rozkażesz im być posłusznym wobec tego, kogo wskaże los, położy to kres tej całej... - powstrzymałem się przed wypowiedzeniem słowa „głupocie”.

- Mój lud lubi gry — przyznał. — Czy wiesz, że wynaleźliśmy grę w kości?

- Nie - odparłem uprzejmie. - Nie wiedziałem o tym. - Każdy z narodów przypisywał sobie wynalezienie gry w kości, ale to już

zostawiłem dla siebie. - Może przywołamy twych wodzów, panie? Wyjaśniłbyś im zasady konkursu i moglibyśmy do niego przystąpić. Nie chcielibyśmy chyba, aby Torak czekał, prawda? Dotkliwie odczuje twą nieobecność, panie, gdy walki rozpoczną się bez ciebie.

Belar uśmiechnął się. Jak już wspominałem, miał on swoje wady, ale dawał się lubić.

- A tak przy okazji, panie - dodałem, jakby właśnie przyszło mi to na myśl — czy miałbyś coś przeciwko temu, abym pomasz rował na południe z twym ludem?

Ktoś musiał mieć na Alornów baczenie.

— Oczywiście, że nie, Belgaracie - odparł. - Cieszę się, że będziesz z nami.

Tak więc wodzowie klanów ciągnęli losy i bez względu na to, co może myśleć Polgara, nie wpłynąłem na wynik losowania. Z mojego punktu widzenia jeden wódz niewiele się różnił od drugiego, a mnie naprawdę nie obchodziło, kto wygra — ważne, aby ktoś w ogóle zwyciężył. Los chciał, że wodzem, który wygrał, był Chaggat, daleki pradziadek Chereka o Niedźwiedzich Barach, największego króla, jakiego kiedykolwiek mieli Alornowie. Czyż nie dziwne, jak potoczyły się te sprawy? A skoro ani ja, ani Belar nie mieszałyśmy się do tego, musiał uczynić to ktoś inny. Przyczynił się do sprawy ów gadatliwy przyjaciel, którego Garion nosi w swej głowie. To on wybrał przodka Chereka na pierwszego króla Alornów. Ale uprzedzam wypadki.

Gdy problem przywództwa został rozwiązany, Alornowie wyruszyli w drogę w zadziwiająco krótkim czasie — choć nie jest to takie zdumiewające, jeśli się zastanowić. Po pierwsze Alornowie w tamtym okresie byli w zasadzie nomadami, zawsze gotowymi ruszyć w drogę - myślę, że głównie z powodu ich głębokiej niechęci do porządku. W obozowiskach starożytnych Alornów panował okropny bałagan i przenosiny uznawali za bardziej pociągające rozwiązanie od sprzątnia.

W każdym razie maszerowaliśmy na południe, przechodząc przez wyludnione ziemie Arendów i Tolnedran. W połowie lata dotarliśmy do krainy zamieszkiwanej poprzednio przez Nyissan. Od tego miejsca wzmogliśmy czujność. Zbliżaliśmy się coraz bardziej do północnej granicy ziem Angaraków i w niedługim czasie zaczęliśmy natykać się na grupki dzieci Toraka.

Alornowie mieli swoje wady - wiele wad - ale potrafili dobrze walczyć. Na granicy z Angarakami po raz pierwszy widziałem Alorna w bitewnym szale. Był potężnym mężczyzną o rudawej brodzie. Ciekaw jestem, czy nie był dalekim przodkiem Bara-ka, Earla z Trelheim. Istniała taka możliwość, gdyż z wyglądu go przypominał. W czasie potyczki wyprzedził swych towarzyszy i w pojedynkę natarł na grupę około dwunastu Angaraków. Uznałem, że szansę ma marne i zacząłem rozglądać się za dogodnym miejscem na grób. Jednakże okazało się, iż to Angarakom potrzebny był pochówek, gdy wojowniczy Alorn się z nimi rozprawił. Z obłąkańczym śmiechem i pianą na ustach, unicestwił całą grupę. Dogonił nawet i zarznął trzech, którzy próbowali ratować się ucieczką. Oczywiście pozostałe dzieci Boga-Niedźwie-dzia stały i zachęcały go.

Alornowie!

Piana na ustach zaniepokoiła mą towarzyszkę. Trochę czasu poświęciłem na przekonanie jej, że rudobrody wojownik nie był wściekły. Wilki, co całkiem naturalne, starają się unikać wściekłych stworzeń.

Nasze spotkania z dziećmi Boga-Smoka stawały się coraz częstsze, jako że zbliżaliśmy się do wyżyny Korimu, gdzie znajdowało się centrum angaraskiej władzy i główne skupisko ludności. W drodze na południe zrównaliśmy z ziemią liczne otoczone murami miasta Angaraków. Z napływających raportów zaś wynikało, że inne narody biorące udział w najeździe na lud Toraka podobnie jak my niszczyły wioski i miasta.

Wynalezione przez Belmakora i Beldina maszyny znakomicie działały. Zwykliśmy przez kilka dni miotać głazy na mury napotkanych miast, podczas gdy moi bracia i ja zsyłaliśmy na to miejsce tornada, a ulice wypełnialiśmy iluzorycznymi potworami. Potem, gdy mury obróciliśmy już w gruzy, a mieszkańcy trzęśli się z przerażenia, przypuszczaliśmy bezpośredni atak i zabijaliśmy ich. Próbowałem przekonać Chaggata, że mordowanie wszystkich Angaraków nie było zbyt cywilizowanym posunięciem. Starałem się skłonić go do brania jeńców. Chaggat jednak spojrział na mnie swym czystym, nic nie rozumiejącym wzrokiem, z którym wszyscy Alornowie zdają się przychodzić na świat i zapytał:

- Po co? Co bym z nimi robił?

Niestety wojownicy z entuzjazmem podeszli do pomysłu Belsambara, by żywcem palić mieszkańców miast. Na ich korzyść przemawia jedynie fakt, że to oni nadstawiali w walce karku, a przeciwnik, któremu dach płonie nad głową, nie myśli o obronie. Często zdarzało się, że Alornowie Chaggata burzyli mury i wpadali do miasta, którego wszyscy mieszkańcy już dawno spalili się żywcem. Za każdym razem Alornowie wydawali się tym bardzo rozczarowani.

Torak w końcu kontratakował. Angarakowie wylali się tłumnie z gór Korimu niczym szarańcza i starliśmy się z nimi na wszystkich czterech frontach. Nie lubię wojny; nigdy nie lubiłem. To najgłupszy z możliwych sposobów rozwiązywania problemów. W tym jednakże wypadku nie mieliśmy wyboru.

Rezultat tego spotkania był przesądzony. Liczebnie przewyższaliśmy Angaraków w stosunku pięć do jednego albo i lepiej i starliśmy ich w proch. Gdzie indziej poszukajcie jednak szczegółów na temat tej rzezi. Nie mam ochoty opowiadać o tym, co widziałem w ciągu owych okropnych dwóch tygodni. Ostatecznie zepchnęliśmy Angaraków w góry Korimu i rozpoczęliśmy swój nieubłagany marsz na twierdzę Toraka, miasto-świątynię wznie-

sione na najwyższym szczycie. Nasz Mistrz co jakiś czas nakłaniał swego brata do zwrotu Globu. Tłumaczył mu, że Angarakowie są 0 krok od całkowitego wyniszczenia, a bez swoich dzieci Torak będzie niczym. Jednakże Bóg-Smok nie chciał słuchać.

Urwiste wschodnie zbocza gór Korimu zmusiły Maragów i Nyissan do podejścia od południa. Gdyby nie to, katastrofa, do której potem doszło, byłaby jeszcze straszniejsza w skutkach.

Perspektywa utraty wszystkich swoich dzieci doprowadziła w końcu Toraka do szaleństwa. Postawiony wobec wyboru pomiędzy zwrotem Globu a zagładą swych wyznawców, Torak, mówiąc bez ogródek, zwariował. Szaleństwo człowieka jest straszne, ale obłąd Boga? To dopiero okropieństwo!

Brat Mistrza, doprowadzony do ostateczności, zrobił desperacki krok, który tylko szaleństwo mogło mu podpowiedzieć. Wiedział, co się stanie. Musiał być tego świadom. Pomimo to, postawiony wobec faktu wyniszczenia jego Angaraków, wznosił Glob, chociaż miał nad nim słabą kontrolę.

I tym sposobem rozłupał świat.

Huk, który się rozległ, nie przypominał żadnego ze znanych mi dźwięków. To był odgłos rozdieranej skały. Po dziś dzień zrywam się ze snu spocony i drżący, gdy dociera do mnie echo tego przerażającego dźwięku sprzed pięciu tysięcy lat.

Melceni, którzy są biegli w geologii, opisali, co wydarzyło się, gdy Torak rozłupał świat. Moje badania potwierdzają ich teorię. Jądro świata nadal jest płynne, a ów protokontynent, który uważaliśmy za stały ląd, w istocie unosił się na podziemnym oceanie lawy niczym tratwa.

Torak posłużył się Globem do zerwania więzów, które zespały tratwę. W rozpaczliwej próbie uratowania Angaraków, rozłupał skorupę tego ogromnego kontynentu, aby uniemożliwić ludziom całkowite wyniszczenie jego dzieci. Szczelina, którą utworzył, była na milę szeroka. Z tej straszliwej rozpadliny zaczęła wy-

pływać lawa. Już to samo było wystarczającą katastrofą - ale potem morze wdarło się do nowo powstałego pęknięcia. Uwierzcie, lepiej nie lać wody na wrzącą lawę.

Wszystko eksplodowało!

Nawet nie próbuję zgadywać, ilu ludzi wówczas zginęło - przynajmniej połowa ludzkości. Gdyby teren wschodniego Korumu był bardziej płaski, to najprawdopodobniej Maragowie i Nysianie potopiliby się lub musieliby zamieszkać w Mallorei. W każdym razie w jednej chwili przestał istnieć świat, który znaliśmy.

Torak zapłacił jednak słońcą cenę za to, co uczynił. Glob nie był rad ze sposobu, w jaki został użyty. Belsambar miał rację: brat Mistrza widział w swej przyszłości ogień i Glob obdarzył go ogniem. Torak czyniąc to, uniósł Glob w lewej dłoni. Po rozłupaniu świata nie miał już lewej ręki. Glob spopielił ją. Potem, jakby dla podkreślenia swego niezadowolenia, wygotował lewe oko Toraka i stopił lewą stronę jego twarzy. Dziesięć mil dzieliło mnie od miejsca, w którym się to wydarzyło, a słyszałem krzyk mściwego Boga tak wyraźnie, jakby stał tuż obok.

Najstraszniejszy w tym wszystkim był fakt, że rany Bogów, w odróżnieniu od ludzi, nie goją się. Ludzie z góry przygotowani są na odniesienie ran, Bogowie nie. Przypisano nam więc zdolność ich gojenia się. Bogom ta umiejętność wydawała się zbędna.

Po rozłupaniu świata Torak zdecydowanie potrzebował uleczenia. Całkiem możliwe, że czuł ów palący dotyk ognia od momentu posłużenia się Globem po tę straszliwą noc pięć tysięcy lat później, gdy powalony wołał swą matkę.

Ziemia zadrżała, kiedy moc Globu i wola Toraka rozłupały równinę. Z rykiem podobnym tysiącu grzmotów, pomiędzy nas a dzieci Boga-Smoka wtargnęło spienione, wrzące i syczące morze. Rozdarta ziemia zapadała się pod stopami, morska kipiela gonila nas, zatapiając równinę, leżące na niej wioski i miasta. To wówczas przestała istnieć Gara, wioska mych narodzin, i ta prze-

rzysta rzeczka, którą tak lubiłem, została pochłonięta przez wzburzoną wodę.

Ogromny krzyk podniósł się pośród ludzi, albowiem ziemie większości z nich zostały zalane przez morze, które wpuścił Torak.

—Nadzwyczajne — zauważyła wilczyca.

—Za często to powtarzasz - powiedziałem ostro, przybity własnym żalem. Jej podejście do katastrofy, której właśnie byliśmy świadkami, wydawało się trochę obojętne.

—Nie uważasz tego za nadzwyczajne? — zapytała całkiem spokojnie. Jak można dyskutować z wilkiem?

—Uważam - odparłem — ale ktoś nie powinien powtarzać tego zbyt często, aby nie zostać uznanym za głupkowatego.

To była złośliwość z mej strony, ale spokojna obojętność wilczycy wobec śmierci ponad połowy ludzkości zdenerwowała mnie. Po latach doszedłem do wniosku, że moja bezsilna złość na niezdolne zachowanie towarzyszkki była kluczem do pomyślności naszego związku.

Wilczyca prychnęła. To jej irytujący zwyczaj.

- Będę mówić, co zechcę - powiedziała z denerwującą wyższością wszystkich kobiet. — Nie musisz słuchać, jeśli ci się nie podobą, a jeżeli pragniesz uważać mnie za głupka, to twoje zmartwienie, i twój błąd.

Byliśmy całkowicie zbici z tropu. Szerokie morze odgradzało nas od Angaraków. Torak stał na jego jednym brzegu, my na drugim.

- Co zrobimy, Mistrzu? — zapytałem Aldura.

- Nic nie możemy zrobić - odparł. — Wojna skończona.

- Nigdy! - krzyknął Belar. - Mój lud to Alornowie. Nauczę ich żeglować. Skoro nie możemy dopaść zdrajcy Toraka lądem, Alornowie zbudują wielką flotę i najedziemy go od morza. Wojna nie jest skończona, bracie. Torak cię uderzy! i skradł twoją

własność, a teraz zatopił tę piękną krainę zimnymi wodami morza. Nie ma już naszych domów, pól i lasów. Powiem ci więc, ukochany bracie, a słowa moje są prawdą. Pomiedzy Alornami i An-garakami będzie wieczna wojna, dopóki zdrajca Torak nie zostanie ukarany za swą niegodziwość nawet gdyby miało to trwać do końca dni! — Belar potrafił być bardzo elokwentny, gdy mu na tym zależało. Kochał swój kufel piwa i wielbiące go alorńskie dziewczki, ale porzucił to wszystko, by nie stracić okazji do tej przemowy.

- Torak został ukarany, Belarze - powiedział swemu rozochoczonemu bratu Mistrz. - Płonie nawet teraz — i będzie płonął wiecznie. Podniósł Glob przeciwko Ziemi i klejnot ukarał go za to. Co więcej, Glob przebudził się. Przybył do nas w pokoju i miłości. Teraz został podniesiony w nienawiści i wojnie. Torak zdradził go i obrócił delikatną duszę klejnotu w kamień. Teraz jego serce będzie zimne i twarde niczym żelazo i nigdy już nie użyje się go w ten sposób. Torak ma Glob, ale małą znajdzie w tym przyjemność. Nigdy więcej nie będzie mógł go dotykać ani pa trzeć na klejnot, w przeciwnym razie Glob zabije Toraka.

Mój Mistrz dorównywał elokwencją Belarowi.

- Pomimo to - odparł Bóg-Niedźwiedź - będę z nim wiódł wojnę, dopóki Glob nie zostanie ci zwrócony. Zobowiązuję do tego całą Alornię.

- Stanie się wedle słów twoich, bracie - powiedział Aldur. - Teraz jednakże musimy wznieść zaporę nacierającemu morzu, inaczej pochłonie cały suchy ląd, jaki nam pozostał. Połącz zatem swą wolę z moją i ustalmy granice nowemu morzu.

Do tego dnia nie zdawałem sobie w pełni sprawy, do jakiego stopnia Bogowie różnili się od nas. Aldur i Belar podali sobie ręce, spojrzeli na rozległą równinę i nadciągające morze.

- Zatrzymaj się — rzekł Belar do morza, podnosząc dłoń. Nie mówił głośno, ale morze usłyszało go i zatrzymało się. Wezbrało,

gniewne i rozkołysane, za barierą jednego słowa, a na nas uderzył wicher.

- Wznies się — powiedział Aldur równie cicho do ziemi. Wstrząsnęła mną potęga tego rozkazu. Ziemia, świeżo zraniona przez Toraka, jęknęła, dźwignęła się i napeęczała. A potem, na moich oczach, wzniosła się. Podnosiła się coraz wyżej, a skały na dole pękały i kruszyły się. Z równiny wyrosły góry, których tam przedtem nie było, i strząsnęły z siebie ziemię, tak jak pies otrząsa się z wody, by stać się wieczną barierą dla wpuszczonego przez Toraka morza.

Czy staliście kiedykolwiek pół mili od miejsca, w którym działo się coś takiego? Za wszelką cenę starajcie się tego uniknąć. Wszyscy zostaliśmy powaleni przez najgwałtowniejsze trzęsienie ziemi, jakie przeżyłem. Leżałem skulony, a od wstrząsów szczękały mi zęby. Świeżo rozłupana ziemia jęczała, a nawet zdawała się wyć. I nie tylko ona. Moja towarzyszka zwinięta u mego boku uniosła pysk ku niebu i także wyła. Objąłem ją i przytuliłem — co pewnie nie było zbyt dobrym pomysłem, biorąc pod uwagę, jak była wystraszona. O dziwo nie próbowała mnie ugryźć czy choćby warknąć. Zamiast tego, jakby na pocieszenie, polizała moją twarz. Czyż to nie dziwne?

Po jakimś czasie wstrząsy ustały. Odzyskaliśmy opanowanie i spojrzeliśmy najpierw na to nowe pasmo gór, a potem na wschód, gdzie morze Toraka pośpnie się wycofywało.

— Nadzwyczajne — powiedziała spokojnie wilczyca, jakby nic się nie stało.

- Istotnie - nie mogłem nie przyznać jej racji.

Potem inni Bogowie i ich ludy przybyły do miejsca, w którym się znajdowaliśmy, i podziwiali, co uczynili Aldur i Belar dla powstrzymania morza.

— Nastął czas rozstania — oznajmił ze smutkiem Mistrz. - Nie ma już pięknej krainy, która niegdyś zapewniała wyżywienie na-

szym dzieciom. To wybrzeże jest posępne i jałowe i nie dostarczy już pożywienia waszym ludom. Oto więc ma rada, bracia. Niechaj każdy z was zabierze swój lud i wyprawi się na zachód. Za górami, w których jest Prolgu, powinniście znaleźć inną urodzajną równinę - być może nie tak rozległą, nie tak piękną jak ta, którą Torak zatopił, ale pozwoli ona przetrwać rasie ludzi.

- A co z tobą, bracie? - zapytał Mara.

- Zabiorę swych uczniów i wrócę do Doliny - odparł Aldur. - Tego dnia zło zostało wypuszczone na świat, a jego potęga jest wielka. Glob mi się objawił, a za sprawą mocy klejnotu zło zostało uwolnione. Na mnie zatem spada zadanie poczynienia przygotowań do dnia, gdy dobro i zło spotkają się w ostatecznej bitwie, która rozstrzygnie o losach świata.

- A zatem niech tak będzie - powiedział Mara. - Witaj i że gnaj, bracie. - Następnie odwrócił się i wraz z Issa, Chaldanem i Nedrą oraz wszystkimi ich ludźmi odeszli na zachód.

Ale Belar ociągał się.

- Nadal wiąże mnie moja przysięga i zobowiązanie - oznajmił. - Nie odejdę na zachód z innymi, ale zabiorę swych Alornów na nie zamieszkane ziemie na północnym zachodzie. Tam będziemy szukać sposobu na dotarcie do Toraka i jego dzieci. Twój Glob powinien zostać ci zwrócony, bracie. Nie spocznę, dopóki to się nie stanie.

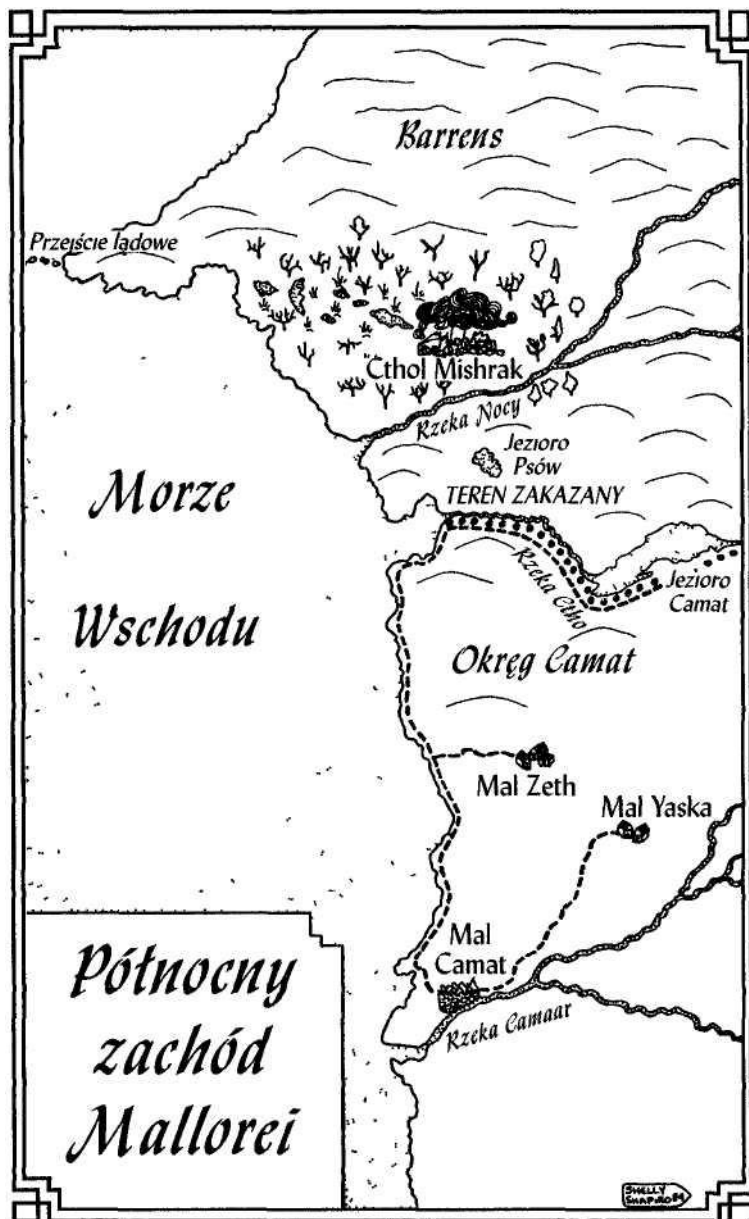
Potem Belar, wraz ze swymi roslymi wojownikami, wyruszył na północ.

Mistrz spoglądał za nimi w wielkim smutku, potem skierował się na zachód, a ja i moi bracia podążyliśmy za nim. Pograżeni w żalu wyruszyliśmy z powrotem do Doliny.

BELGARATH CZARODZIEJ

TOM DRUGI

APOSTATA



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Byliśmy do głębi wstrząśnięci wynikami wojny z Angarakami. Z pewnością nie spodziewaliśmy się tak desperackiej reakcji ze strony Toraka. Myślę, że wszystkich nas dręczyło poczucie odpowiedzialności za śmierć połowy ludzkości. Zasmuceni wróciliśmy do Doliny. Nie narzekaliśmy na brak zajęć, ale wieczorami zbieraliśmy się w wieży naszego Mistrza, by w jego obecności szukać pocieszenia i uspokojenia.

Każdy z nas miał swój fotel. Siadaliśmy zwykle wokół długiego stołu i omawialiśmy wydarzenia dnia. Potem zajmowaliśmy się sprawami bardziej ogólnej natury. Nie wiem, czy w ten sposób udało nam się rozwiązać choć jeden z dręczących świat problemów, ale tak naprawdę nie po to wiedliśmy owe dyskusje. Po prostu odczuwaliśmy potrzebę bycia razem i spokoju, który zawsze, pomimo burzliwych czasów, panował w tym znajomym pokoju na szczycie wieży. Nawet światło zdawało się tam mieć inny blask. Być może wiązało się to z faktem, iż nasz Mistrz nie zwracał sobie głowy diwnem na podpałkę. Ogień na jego palenisku płonął, ponieważ Mistrz tak chciał, i płonął bez względu na to, czy podsycił go, czy nie. Nasze fotele były duże i wygodne, z ciemnego, polerowanego drewna. Sama zaś komnata przytulna i nie zagracona. Aldur przechowywał swe rzeczy w jakimś niewyobrażalnym miejscu. Pojawiała się na jego życzenie, zamiast walać się wokół, gromadząc kurz.

Zbieraliśmy się wieczorami przez sześć miesięcy. Te spotkania pomogły nam ochłonąć i broniły dostępu sennym koszmarom.

Wcześniej czy później jeden z nas musiał zadać owo pytanie. Okazało się, iż uczynił to Beltira.

- Od czego się to wszystko zaczęło, Mistrzu? - zapytał z zadumą. — Sprawa chyba sięga czasów o wiele odleglejszych niż ostatnie wydarzenia, prawda?

* * *

Zauważcie, że Durnik nie był pierwszym ciekawym początków.

Aldur spojrział na niego pośpiesznie.

- W rzeczy samej, Beltiro - o wiele odleglejszych, niżli prawdopodobnie mógłbyś wyobrazić sobie. Kiedyś, gdy wszechświat był jeszcze miodny, na długo przedtem, zanim pojawili się moi bracia i ja, zaszło zdarzenie, które nie było zamierzone, i owo zdarzenie rozdziwiło cel istnienia wszelkich rzeczy.

- A zatem to był wypadek, Mistrzu? - domyślił się Beldin.

- Bardzo trafne określenie, synu - pochwalił go Aldur. - Podobnie jak wszelkie rzeczy, gwiazdy rodziły się, istniały przez pewien czas, potem umierały. „Wypadek”, o którym mówimy, wydarzył się, gdy gwiazda umarła w miejscu i czasie nie będącym częścią pierwotnego zamysłu stworzenia. Śmierć gwiazdy to tytaniczne zdarzenie, a skutki tej śmierci były jeszcze większe z powodu nieszczęśliwej bliskości innych gwiazd. Wszyscy studiowaliście niebo, a zatem wiecie, iż wszechświat jest zbiorem gromad gwiazd. Gromada, o której mówimy, składa się z tak wielu gwiazd, że zliczyć ich nie sposób. Krnąbrne słońce, które umarło pośród nich, zapaliło inne, a od tych z kolei zapłonęły następne. Pożoga szerzyła się, aż w końcu cała gromada eksplodowała.

- Czy wydarzyło się to w pobliżu miejsca, w którym się teraz znajdujemy, Mistrzu? - zapytał Belsambar.

- Nie, synu. ZDARZENIE miało miejsce na odległym krańcu wszechświata - prawdę powiedziawszy tak daleko, iż światło tej ka katastrofy jeszcze do Ziemi nie dotarło.

-Jakże to możliwe, Mistrzu? - Belsambar sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Widzenie nie jest natychmiastowe, bracie - wyjaśnił mu Beldin. - Istnieje pewne opóźnienie pomiędzy czasem, w którym coś się wydarzy, a czasem, w którym to zobaczymy. Wielu rzeczy, które widzimy na nocnym niebie, tak naprawdę już tam nie ma. Pewnego dnia, gdy obaj znajdziemy wolną chwilę, wytłumaczę ci to.

-Jakże tak odległe zdarzenie może mieć jakiegokolwiek znaczenie dla spraw dziejących się tutaj, Mistrzu? — zapytał zbity z tropu Belzedar.

Aldur westchnął.

- Wszechświat zaistniał w pewnym Celu, Belzedarze - odparł z dziwną zadumą w głosie. - Wypadek rozdzielił Cel i to, co było jednym, stało się dwoma. Z tego podziału zrodziła się świadomość. Dwa Cele rywalizowały ze sobą od chwili owego Zdarzenia. Z czasem oba przystały na to, iż ten świat - który nawet jeszcze nie istniał - będzie polem ich ostatecznej walki. Oto przyczyna, dla której pojawili się moi bracia i ja, i dlatego stworzyliśmy ten świat. To tutaj podział Celów wszechświata zostanie uleczony. Seria Zdarzeń, wielkich i całkiem małych, wiedzie ku końcowemu Zdarzeniu, a to Zdarzenie będzie Wyborem.

- Kto dokona owego wyboru? - zaciekawił się Beldin.

- Nie pozwolono nam wiedzieć tego - odparł Aldur.

- Wspaniale! - krzyknął pełnym sarkazmu głosem Beldin. - A zatem wszystko gra! Kiedy to ma się wydarzyć?

- Wkrótce, synu. Bardzo niedługo.

- Czy mógłbyś to określić nieco dokładniej, Mistrzu? Wiem, od jak dawna jesteś na świecie, i dla ciebie słowo „wkrótce” może mieć całkiem inne znaczenie niż dla nas.

- Wybór musi zostać dokonany, gdy światło z wybuchu owe go obłoku gwiazdnego dotrze do Ziemi.

- A to może zdarzyć się w każdej chwili, tak? O ile nam wiadomo, może rozbłysnąć na niebie choćby tej nocy.

- Powściągnij swą niecierpliwość, Beldinie - rzekł Aldur. - Będą znaki, które uprzedzą nas, iż chwila Wyboru zbliża się. Pęknięcie świata było jednym z takich znaków. Pojawiają się również inne.

-Jakie? - naciskał Beldin. Gdy już raz się czegoś uczeplił, nie pozwalał się łatwo zbyć.

- Nim światło rozbłyśnie, nastanie chwila całkowitej ciemności.

- Będę jej wyglądał - powiedział z przekąsem Beldin.

-Jak rozumiem, są dwa możliwe Przeznaczenia - zauważył Belmakor. - Torak jest jednym z nich, prawda?

- Mój brat jest częścią jednego z nich, tak. Każde z Przeznaczeń składa się z niezliczonych części i wszystkie zdają sobie sprawę z istnienia innych.

- Które pojawi się najpierw, Mistrzu? - zapytał Belkira.

- Nie wiemy. Niedozwolone nam wiedzieć.

- Znowu gry - powiedział Beldin z odrazą. - Nie cierpię gier.

-Jednakowoż w tej wszyscy zmuszeni jesteśmy wziąć udział, miły Beldinie. Reguły mogą nie przypaść nam do gustu, ale musimy ich przestrzegać, albowiem ustalone zostały przez rywalizujące Cele.

- Dlaczego? Przecież to ich walka. Po co mieszać w to nas? Czemu nie wybiorą sobie czasu i miejsca, nie spotkają się i nie rozstrzygną sporu raz na zawsze?

- Gdyż tego uczynić im nie wolno, synu, albowiem gdyby kiedykolwiek starły się bezpośrednio, ich zmagania zniszczyłyby cały wszechświat.

- Chyba nie chcielibyśmy tego — powiedział łagodnie Belkira. Bliźnięta byli Alornami, a lud ten czerpał dziecinną radość ze skromnego uogólniania faktów.

- Ty jesteś tym drugim Przeznaczeniem, prawda, Mistrzu? - zapytał Belsambar. - Torak jest jednym, a ty drugim.

- Stanowię jego część, synu - przyznał Aldur. — Wszyscy jesteśmy częścią Przeznaczenia. Dlatego nasze poczynania tak ważny mi są. Jednakże, gdy dopełni się czas, przybędzie ten, kto jeszcze ważniejszym będzie. To on stanie przeciw Torakowi i przygotuje drogę dla Wyboru.

Wówczas to po raz pierwszy usłyszałem o Belgarionie. Aldur wiedział o jego nadejściu i cierpliwie przygotowywał się na przybycie pogromcy Toraka, odkąd wraz ze swymi braćmi stworzył świat. Mówiąc wprost, zdaje mi się, że Bogowie stworzyli ten świat, aby Belgarion miał na czym stanąć, gdy zacznie przywracać porządek rzeczy. To była wielka odpowiedzialność dla kogoś takiego jak Garion, ale myślę, że potrafił tego dokonać. Sprawy istotnie potoczyły się mniej więcej dobrze.

Wyjaśnienia Mistrza obarczyły nas brzemieniem odpowiedzialności, które srodze odczuwaliśmy. Jednakże nawet pośród trudów naszej pracy zauważyliśmy, iż świat ogromnie się zmienił po tym, co Torak mu uczynił. Nowy ocean w miejscu dawnego środka kontynentu wywierał wielki wpływ na klimat, a łańcuch gór, który nasz Mistrz i Belar wzniesli, by ograniczyć ten ocean, wpływ ów jeszcze powiększał. Lata zrobiły się suchsze i gorętsze, a zimy stały się dłuższe i zimniejsze. To jeden z powodów, dla których nie lubię, gdy ktoś zaczyna bawić się pogodą. Widziałem, co może się stać, kiedy coś lub ktoś manipuluje przy pogodzie. O ile sobie przypominam, miałem z Garionem na ten temat długą rozmowę przy pewnej okazji — to znaczy, ja mówiłem, on słuchał. A przynajmniej mam nadzieję, że słuchał. Garion posiada ogromną moc i czasami uwalniają, nim przemyśli do końca rezultat swego działania.

Wraz ze zmianą klimatu stopniowo przemieniał się otaczający nas świat. Rozległy pierwotny las na północnym skraju Doliny zaczął się kurczyć, a w jego miejsce pojawiały się łąki. Jestem pewny, że Algarowie to pochwalali, lecz ja wolę drzewa.

Na dalekiej północy klimat również gwałtownie się zmienił. Belar nie zrezygnował ze znalezienia sposobu na ponowne spotkanie z Angarakami, toteż jego Alornowie zmuszeni byli znosić naprawdę srogie zimy.

My jednakże mieliśmy na głowie więcej niż samą pogodę. Pęknięcie świata uruchomiło bieg wielu spraw i Aldur obarczył naszą siódemkę mnóstwem zajęć. Musieliśmy pilnować, aby sprawy, które miały się wydarzyć, rzeczywiście się wydarzały. Przypuszczaliśmy, iż Angarakowie robią dokładnie to samo. Dwa rywalizujące Cele niechybnie zmierzały na upatrzone pozycje.

Około dwudziestu lat po pęknięciu świata, Mistrz zawezwał nas do swej wieży i zaproponował, aby jeden z uczniów wybrał się do Mallorei i sprawdził, co zamierza Torak i jego lud.

- Ja pójdę — zgłosił się na ochotnika Beldin. — Latam lepiej od pozostałych i mogę kręcić się pomiędzy Angarakami nie zwracając niczyjej uwagi.

- Twoje rozumowanie nie bardzo do mnie trafia, stary - powiedział Belmakor. - Jesteś facetem o raczej szczególnym wyglądzie,

- O to właśnie chodzi. Gdy ludzie na mnie patrzą, dostrzegają jedynie garb na plecach i to, że mam ręce dłuższe od nóg. Nie przyglądają się mojej twarzy, by dowiedzieć się, jakiej jestem rasy. To ten rodzaj anonimowości, który idzie w parze z ułomnością.

- Chcesz, abym udał się z tobą? - zaproponował Belsambar.
- W końcu jestem Angarakiem i znam ich zwyczaje.

- Dzięki, bracie, ale nie. Masz dość zasadnicze poglądy na temat Grolimów. Nie zachowalibyśmy zbyt długo anonimowości, gdybyś zaczął wywracać na lewą stronę wszystkich po kolei kapła-

nów Toraka. Udaję się do Mallorei jedynie po to, aby się rozejrzeć, i wolałbym, żeby Torak nie dowiedział się o tym.

- Nie będę się wtrącał, Beldinie.

- Lepiej zachowajmy ostrożność. Za bardzo cię kocham, aby ryzykować twym życiem.

- Naprawdę nie powinieneś wyruszać sam, Beldinie - powiedział Belzedar z dziwną determinacją w głosie. - Myślę, że będzie lepiej, jeśli udam się z tobą.

- Nie jestem dzieckiem, Belzedarze. Sam potrafię o siebie zadbać.

- Nie wątpię, ale będziemy mogli przeczesać większy obszar, jeśli wyruszymy we dwóch. Ten nowy kontynent jest sporych rozmiarów i prawdopodobnie Angarakowie znacznie się na nim rozprzestrzenili. Mistrzowi potrzebne są informacje, a we dwóch zbierzemy je szybciej niż w pojedynkę.

Gdy teraz o tym myślę, argumenty Belzedara były nieco naciągane. Społeczeństwo Angaraków należało do najściślej kontrolowanych na świecie. Torak nie pozwoliłby swemu ludowi na zbytne rozproszenie się; wolał trzymać ich pod pantoflem. Belzedar miał własne powody, by wyruszyć do Mallorei. Powiniennem na czas zorientować się, iż pomoc Beldinowi nie była jednym z nich.

Sprzeczali się obaj jakiś czas, ale w końcu Beldin dał za wygraną.

- Wszystko mi jedno — rzekł. - Chodź ze mną, jeśli to dla ciebie tyle znaczy.

Następnego ranka przybrali postacie sokołów i odlecieli na wschód.

Wkrótce my również wyruszyliśmy w drogę. Dla mnie Mistrz miał zadania w Arendii i Tolnedrze.

Młoda wilczyca oczywiście mi towarzyszyła. Nawet przez chwilę nie pomyślałem, by ją zostawić, prawdopodobnie nic by

z tego dobrego nie wyszło. Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziała: — Pochodzę z tobą jakiś czas.

Najwyraźniej ów „jakiś czas” jeszcze nie minął. Jednakże nie miałem nic przeciwko temu. Była dobrym towarzyszem.

Najkrótsza droga do północnej Arendii wiodła przez Ulgo-land, toteż wilczyca i ja wspieliśmy się na góry i posuwaliśmy się na północny zachód. Każdego wieczoru zakładałem dla nas obozowisko. Początkowo ogień niepokoił ją, ale teraz nawet lubiła wieczorne ogniska.

Po drodze uświadomiłem sobie, że będziemy przechodzić niedaleko Prolgu. Nie bardzo lubiłem obecnego Gorima; uważał, iż Ulgosi są lepsi od reszty ludzkości. Z niechęcią uznałem, że oznaką złych manier byłoby miniecie Prolgu bez złożenia kurtuazyjnej wizyty, więc odbiłem nieco na północ, aby dotrzeć do miasta.

Droga, którą wybrałem, biegła przez gęsto zalesiony wąwóz. Jego środkiem płynął rwący górski potok. Był późny ranek i słońce właśnie dotarło do mglistego dna wąwozu. Zdaje się, że zbierałem drewno. W górach ogarnia mnie zawsze spokój i dopisuje pogoda ducha.

Wtem wilczyca położyła uszy po sobie i zawarczała ostrzegawczo.

- O co chodzi? - zapytałem odruchowo w ludzkim języku.

- Konie - odparła na wilczy sposób. - Być może jednak to nie są prawdziwe konie. Pachną krwią i surowym mięsem.

- Nie niepokój się - powiedziałem, przechodząc na wilczy język. — Ktoś spotkał je już poprzednio. To hrulgin. Są mięsożerne. Zapach, który czujesz, to krew i mięso jelenia.

- Ktoś myśli, że się mylisz. Ta woń nie jest zapachem jelenia. Ktoś wie, że tak pachnie krew i mięso człowieka.

- To niemożliwe - prychnąłem. — Hrulgin nie jedzą ludzi. Żyją w tych górach w pokoju z Ulgosami.

- Ktoś ma bardzo dobry nos - powiedziała z naciskiem. - Ktoś

nie pomyliłby woni krwi człowieka z zapachem mięsa jelenia. Te drapieżne konie zabijają i jedzą ludzi, a teraz znowu polują.

- Polują? Polują na co?

- Ktoś myśli, że polują na ciebie.

Wysłałem badającą myśl. Umysty hrulginów nie są zbyt podobne do umysłów koni. Konie są trawożerne, a agresywne stają się jedynie w porze godów. Hrulginie bardzo przypominają je wyglądem -jeśli nie liczyć pazurów i kłów - ale nie jedzą trawy. Dotykałem już umysłów hrulginów podczas swych wędrówek przez góry Ulgolandu. Wiedziałem, że były dość okrutnymi myśliwymi, ale spokój Ula zawsze trzymał je w ryzach. Umysty, których dotknąłem tym razem, wydawały się uwolnione z owych ograniczeń.

Wilczyca miała rację. Hrulginie polowały na mnie.

Już kiedyś byłem obiektem łowów. Młody lew podchodził mnie przez dwa dni, nim go w końcu przepędziłem. Polujące zwierzę nie ma prawdziwie złych zamiarów. Ono po prostu szuka czegoś do zjedzenia. Jednakże to, z czym miałem do czynienia tym razem, było okrutną nienawiścią, a co gorsza, z mojego punktu widzenia wydawało się całkowitym szaleństwem. Te hrulginie bardziej interesowało zabijanie niż jedzenie. Byłem w tarapatkach.

- Ktoś proponuje, abyś zrobił coś ze swą postacią - poradziła wilczyca. Przysiadła na tylnych łapach i wywiesiła jęzor. Jeśli tego nie zauważyliście, jest to sposób, w jaki psy się śmieją.

- Co w tym takiego zabawnego? — zapytałem.

- Ktoś uważa człowiecze coś za zabawne. Myśliwy skupia całą uwagę na przedmiocie polowania. Jeśli czyha na królika, nie zboczy z drogi za wiewiórką. Te mięsożerne konie polują na człowieka - na ciebie. Zmień postać, a zignorują cię.

Poczułem zakłopotanie. Czemu ja o tym nie pomyślałem? Pomimo całej naszej inteligencji, instynktowną reakcją, gdy uświadomisz sobie, że coś chce cię zabić, jest panika.

Utworzyłem w umyśle wyobrazenie wilka i przybrałem jego postać.

- O wiele lepiej - pochwaliła moja towarzyszka. - Przystojny z ciebie wilk. Twa druga postać nie jest tak ujmująca. Ru szamy?

Odeszliśmy od potoku i zatrzymaliśmy się na skraju lasu, aby obserwować hrulginy. Nagłe zniknięcie mojego zapachu sprawiło je w zakłopotanie i chyba jeszcze bardziej hrulginy rozsierdziło. Ogier, przywódca stada, stanął dęba i zarżał z wściekłością. Dar! korę nic niewinnego drzewa pazurami, a z jego długich zakrzywionych kłów ściekała piana. Kilka kłaczy cofnęło się za mym zapachem w dół wąwozu, potem zawróciły wolno, usiłując wywachać miejsce, w którym skręciłem i wymknąłem im się.

- Ktoś proponuje, abyśmy ruszyli - powiedziała wilczyca. - Mięsożerne konie pomyślą, że zabiliśmy i zjedliśmy człowieka, na którego czyhały. To ich rozgniewa. Mogą postanowić przerwać polowanie na człowieka i zacząć obławę na wilki.

Trzymaliśmy się skraju lasu. Mogliśmy w ten sposób obserwować zawiedzione hrulginy na wypadek, gdyby postanowiły zapolować na wilki. Po pół godzinie oddaliliśmy się na tyle, że miały marne szanse, by nas dogonić.

Zmiany, jakie zaszły w hrulginach, całkowicie zbiły mnie z tropu. Do tej pory w krainie Ula królowała niepodzielnie jego spokój. Co sprawiło owe stwory w szaleństwo?

Jak się okazało, hrulginy nie były jedynymi potworami, które postradały rozum.

* * *

Słowa „potwór” użyłem odruchowo, nie z racji uprzedzenia. Po prostu jest to tłumaczenie ulgoskiego słowa. Ulgosi nawet driady nazywają potworami. Przypominam sobie, że Ce'Nedra poczuła się nieco urażona tym określeniem.

* * *

Postanowiłem nie wracać na razie do swej postaci. Coś bardzo dziwnego działo się w Ulgolandzie. Dotarliśmy do osobliwie ukształtowanych gór, na których wznosi się Prolgu i rozpoczęliśmy wspinaczkę.

W połowie drogi na szczyt natknęliśmy się na grupę algothów, które były równie szalone jak hrulginy. Algothy nie należały do mych ulubionych stworzeń. Skrzyżowanie małpy, kozy i gada wydawało mi się nieco egzotyczne. Algothy również polowały na ludzi, by ich zabić i pożreć. Bez względu na to, czy go lubiłem, czy nie, musiałem zamienić kilka słów z Gorimem.

Problem jedynie w tym, że Prolgu było całkowicie opustoszałe. Ślady wskazywały na pospieszne odejście ludzi. Miasto musiało zostać opuszczone jakiś czas temu, gdyż nie mogliśmy zwęszyć nawet śladu zapachów, które naprowadziłyby nas na miejsce, gdzie udali się Ulgosi. Natrafiliśmy na zmurszałe ludzkie kości. Czyżby wszyscy Ulgosi zostali zabici? Możliwe jest, by Ul zmienił zdanie i opuścił ich?

Nie miałem czasu na zastanawianie się. Nad wyludnionym miastem zapadł wieczór. Węszyliśmy nadal w pustych domach, gdy ciszą wstrząsnął nagły wrzask. Ten krzyk dobiegał z góry. Wyszedłem na dwór i spojrzałem w niebo.

Zapadał zmrok, ale było wystarczająco jasno, bym dojrzał ogromny kształt rysujący się na wieczornym niebie.

To był smoczyca. Ogromnymi skrzydłami biła powietrze, a przy każdym wrzasku wyrzucała z siebie obłoki dymiącego ognia.

Zauważcie, że mówię o niej w liczbie pojedynczej rodzaju żeńskiego. Nie jest to dowodem mej szczególnej spostrzegawczości, jako że na całym świecie istniał tylko jeden smok i była to ona. Dwa samce, które Bogowie stworzyli, pozabijały się w czasie pierwszej pory godowej. Zawsze było mi jej żal, ale nie tym razem. Podobnie jak hrulginy i algothy, całkowicie ośwładnęła ją

żądza zabijania. Była przy tym zbyt głupia, aby wybierać ofiary. Palila więc wszystko, co się ruszało.

Torak udoskonalił smoki, gdy wraz z braćmi powoływał je do życia. Dzięki temu stały się całkowicie odporne na wszystko, co mógłbym im uczynić za pomocą Woli i Słowa.

- Ktoś byłby bardziej rad, gdybyś coś w tej sprawie zrobił - powiedziała wilczyca.

- Myślę nad tym - odparłem.

- Myśl szybko. Ptaszysko wraca.

Wiara przyjaciółki we mnie była wzruszająca, ale nie bardzo pomocna. Pośpiesznie przebiegłem w myślach charakterystyczne przymioty smoków. Nic jej nie mogło zranić, była głupia i samotna. Te dwie ostatnie cechy nasunęły mi pewną myśl. Pobiegłem na skraj miasta. Skoncentrowałem swą wolę na zaroślach znajdujących się kilka mil na południe od gór i podpaliłem je.

Smoczyca zaskrzeczała i rzuciła się w kierunku płomieni, zionąc po drodze własnym ogniem.

- Ktoś ciekaw jest, czemu to uczyniłeś.

- Ogień jest częścią rytuału godowego jej gatunku.

-Jakie to niezwykle. Większość ptaków ma porę godową na wiosnę.

- Ona nie jest właściwie ptakiem. Ktoś uważa, że powinniśmy natychmiast opuścić te góry. Dzieją się tu dziwne rzeczy, których ktoś nie rozumie, a my mamy sprawę do załatwienia na nizinie.

- Zawsze masz sprawę do załatwienia - westchnęła.

- Taka już natura człowieka — powiedziałem.

- Ale ty teraz nie jesteś człowiekiem.

Nie potrafiłem zakwestionować logiki stwierdzenia mej towarzyski, ale i tak opuściliśmy to miejsce. Dwa dni później dotarliśmy do Arendii.

Zadanie, które powierzył mi Mistrz, dotyczyło pewnych Arendów i Tolnedran. W tamtym czasie nie rozumiałem, czemu

Mistrz był tak zainteresowany ślubami. Oczywiście teraz to pojmuję. Pewni ludzie musieli się urodzić, a ja miałem przygotować do tego grunt.

Myślałem, że obecność mojej towarzyszki może skomplikować sprawę, ale okazało się, iż było wprost przeciwnie. Z całą pewnością trudno nie zostać zauważonym, gdy wkroczy się do arend-skiej wioski lub Tolnedrańskiego miasta z dorosłą wilczycą u boku. Jej obecność skłaniała ludzi do posłuchu.

Aranżowanie małżeństw w tamtych czasach nie było wcale takie trudne. Arendowie — i w mniejszym stopniu Tolnedranie — opowiadali się za patriarchatem. Dzieci musiały okazywać posłuszeństwo swym ojcom w ważnych sprawach. Toteż rzadko byłem zmuszony do przekonywania szczęśliwej pary, że powinni się pobrać. Zamiast tego rozmawiałem z ich ojcami. W owym czasie cieszyłem się pewną sławą. Wspomnienia wojny nadal były świeże w umysłach ludzi, a ja i moi bracia odegraliśmy w tym konflikcie całkiem znaczącą rolę. Szybko również odkryłem, że kapłani w Arendii i Tolnedrze mogą być bardzo pomocni. Z czasem wypracowałem schemat postępowania. Zaraz po przybyciu do miasta wilczyca i ja udawaliśmy się do świątyni Chaldana bądź Ne-dry. Przedstawiałem się i prosiłem miejscowego kapłana o poznanie mnie z ojcami, o których mi chodziło, w danym wypadku.

Oczywiście nie zawsze wszystko szło gładko. Czasami natykałem się na upartego człowieka, któremu z jakiegoś powodu nie odpowiadała kandydatura współmałżonka dla jego dziecka. W najgorszym razie zawsze mogłem zademonstrować im, co by-bym w stanie zrobić, jeśli mnie zirytują. To zwykle wystarczało, by sprowadzić opornych na właściwą drogę.

— Ktoś zastanawia się, dlaczego to wszystko jest konieczne - zapytała moja towarzyszka, kiedy opuszczaliśmy jedną z arend-skich wiossek, po tym jak w końcu udało mi się przekonać szcze-

gólnie opornego człowieka, że szczęście jego córki - i jego własne zdrowie - zależy od małżeństwa dziewczyny z młodym chłopakiem, którego dla niej wybraliśmy.

- Dadzą życie młodym - starałem się to wyjaśnić mej towarzyszce.

- Cóż za zdumiewająca sprawa - odparła oschle. Wilk potrafi w najprostszej odpowiedzi zawrzeć całą gamę ironii. - Czyż nie jest to zwykle powodem parzenia się?

- Musimy sprawić, by przyszły na świat szczególne młode.

- Dlaczego? Przecież jeden szczeniak jest podobny do drugiego. Charakteru nabierają w trakcie wychowania, nie przez dziedziczenie.

Sprzeczałyśmy się o to co jakiś czas od kilku stuleci. Podejrzewam, że próbowała wyprowadzić mnie z równowagi. Formalnie byłem przywódcą naszej małej sfory, ale ona nie pozwalała mi wbić się zanadto w dumę.

W tamtych czasach Arendia była ponurym miejscem. Niewolnictwo dobrze ugruntowało się tu jeszcze przed wojną z Angarakami. Emigrując, Arendowie przenieśli ją na zachód. Nigdy nie rozumiałem, jak ktoś może godzić się na bycie niewolnikiem. Myślę, że w tym wypadku nie bez znaczenia jest charakter Arendów, którzy wszczynali wojny między sobą pod byle pretekstem i chłop potizebował kogoś do obrony przed walczącymi sąsiadami.

Ziemie, które Arendowie zajmowali w centralnej części kontynentu, były rozległe, a pola od dawna uprawiane. Ich nowym domem zaś był leśny gąszcz, musieli więc najpierw wycinać drzewa. To było zadanie, które przypadło w udziale niewolnikom. Wilczyca i ja wkrótce przyzwyczailiśmy się do widoku nagich ludzi rąbiących drzewa.

- Ktoś jest ciekaw, czemu oni zdejmują swoje futro, by to robić - powiedziała kiedyś. W wilczej mowie nie ma słowa na określenie „ubrania”, więc musiała improwizować.

- To dlatego, że mają tylko po jednej rzeczy do okrycia swe go ciała. Zdejmują je, gdy ścinają drzewa, ponieważ nie chcą ich zniszczyć przy pracy.

Postanowiłem nie poruszać problemu ubóstwa chłopów pańszczyźnianych ani kosztów nowej płóciennej koszuli. Dyskusja i tak była już wystarczająco skomplikowana. Jak wyjaśnić prawo własności stworzeniu, które nie czuje potrzeby posiadania czegośkolwiek?

- To zakrywanie i odkrywanie ciała, które ludzie czynią, jest głupotą - oznajmiła. - Dlaczego to robią?

- Żeby się ogrzać, gdy jest zimno.

- Ale postępują tak również wtedy, gdy nie jest zimno. Dla czego?

- Ze skromności, jak przypuszczam.

- A co to skromność?

Westchnąłem. Nie poczyniłem postępów w swych wyjaśnieniach.

- To taki zwyczaj pomiędzy ludźmi - powiedziałem.

- Ach, skoro to zwyczaj, to w porządku — stwierdziła. Wilki miały ogromny szacunek dla zwyczajów. Wtem przyszło mej towarzyszce na myśl coś innego. Zawsze przychodziło jej do gł. wy jeszcze. -Jeśli pomiędzy ludźmi zwyczajem jest okrywanie swych ciał jednym razem, a innym nie, to nie bardzo jest to zwyczaj, prawda?

Poddałem się.

- Nie - odparłem. - Pewnie nie.

Wilczyca przysiadła na środku leśnej ścieżki, którą podążaliśmy, i wywiesiła jęzor w wilczym śmiechu.

- Mogłabyś przestać? — zażądałem.

- Ktoś jest rozbawiony nielogicznością ludzkiej strony twego myślenia - oświadczyła. — Jeśli przybierzesz swą prawdziwą postać, twe myśli popłyną bardziej gładko.

Nadal miała przeświadczenie, że naprawdę byłem wilkiem, a moje częste zmiany postaci stanowiły jedynie rodzaj nawyku.

W lasach Arendii często natykaliśmy się na bandy zbiegów. Nie wszyscy chłopci pańszczyźniani potulnie akceptowali swój stan. Nie lubię, gdy ludzie celują we mnie włóczniami. Po kolejnym spotkaniu ponownie przybrałem postać wilka zaraz po opuszczeniu wioski. Nawet najgłupszy zbiegły chłop pańszczyźniany nie będzie szukać zwady z parą dorosłych drapiezców. Ludzie zawsze przeszkadzali mi, gdy miałem coś do zrobienia. Czemu nie mogli po prostu zostawić mnie w spokoju?

Po wielu latach udaliśmy się ponownie do Tolnedry. Dalej zajmowałem się swataniem małżeństw. W końcu przybyliśmy do Tol Nedrane.

* * *

Nie próbujcie odszukać go na mapie. Nim rozpoczęło się drugie tysiąclecie, nazwa zmieniła się na Tol Honeth.

* * *

Wiem, że większość z was widziała Tol Honeth, ale nie poznalibyście tego miejsca w jego pierwotnej postaci. Wojna z Angarakami nauczyła Tolnedran doceniać znaczenie pozycji obronnej, a wyspa na środku Nedrane - „rzeki Nedry” - wydawała się im idealnym miejscem na założenie miasta. I być może takim była, ale miała wiele wad, gdy po raz pierwszy się na wyspie osiedlili. Pracowali nad tym przez pięć tysięcy lat i zdaje mi się, że w końcu większość z nich usunęli.

Jednakże gdy po raz pierwszy wybraliśmy się tam z wilczycą, wyspa była wilgotnym, błotnistym miejscem, często nawiedzanym przez wiosenne powodzie. Tolnedranie otoczyli ją solidną ścianą z drewnianych bali, za którą stały domy również zbudowane z bali, o dachach krytych strzechą - moim zdaniem, takie budownic-

two aż prosiło się o pożar. Ulice były wąskie, kręte i błotniste; mówiąc szczerze, miejsce to cuchnęło niczym kloaczny dół. Moją towarzyszkę szczególnie ów odór drażnił, gdyż wilki mają bardzo czuły węch.

Głównym powodem mojej obecności w Tolnedrze była konieczność dopilnowania, by powstała linia Honethów. Nie przepadałem zbyt za Honethami. Mieli o sobie zbyt wysokie mniemanie, a ja nigdy nie lubiłem ludzi, którzy patrzyli na mnie z góry. Być może z powodu owej niechęci byłem nieco zbyt ostry wobec ojca przyszłego pana młodego. Oświadczyłem mu bez ogródek, że od jego syna wymagano, aby poślubił córkę rzemieślnika, którego głównym zajęciem było budowanie kominków. Rodzina Honethów koniecznie musiała mieć jakieś dziedziczne powiązania z kamieniarstwem. W przeciwnym razie nigdy nie powstałoby Imperium Tolnedry, które w przyszłości było nam potrzebne. Nie chcę was nudzić, ale pragnąłbym, abyście zrozumieli skalę naszych przygotowań. Nadawaliśmy bieg sprawom, które przez tysiąclecia nie miały przynieść owoców.

Po nakłonieniu ojca pana młodego do zaakceptowania małżeństwa, które zaproponowałem jego synowi, opuściłem wraz z wilczycą Tol Nedrane - promem, ponieważ nie wpadli jeszcze na pomysł budowania mostów. Przewoźnik zdarł z nas niemiłosiernie, jak sobie przypominam, ale był Tolnedraninem i należało się tego spodziewać.

W końcu wypełniłem rozliczne zadania, powierzone mi przez Mistrza, toteż ruszyłem wraz z wilczycą na wschód, ku górcom Tolnedry. Czas było wracać do domu, do Doliny, ale nie miałem zamiaru przechodzić przez Ulgołand. Nie zamierzałem nawet zbliżyć się do Ulgołandu, dopóki nie dowiem się, co się tam wydarzyło. W górach zasiedzieliśmy się trochę. Moja towarzyszka umilała sobie czas gonitwami za jeleniami i zającami. Ja natomiast poszukiwałem groty, o której nasz Mistrz opowiadał

nam przy różnych okazjach. Wiedziałem, że jest gdzieś w tych górach, więc poświęciłem nieco czasu na poszukiwania. Nie miałem pojęcia, co zrobię, gdy ją odkryję. Chciałem po prostu zobaczyć miejsce, w którym Bogowie żyli, gdy tworzyli świat.

Szczerze mówiąc, nie po raz pierwszy poszukiwałem tej groty. Za każdym razem, gdy przechodziłem przez te góry, przeznaczałem na penetrację około tygodnia. Ostatecznie dom Bogów był rzeczą wartą obejrzenia.

Oczywiście nigdy jej nie odnalazłem. Garionowi się to udało - wiele, wiele lat później. Coś bardzo ważnego miało się tam wydarzyć i nie dotyczyło to mnie.

Belđin wrócił z Mallorei, ale Belzedara z nim nie było. Tęskniłem za tym paskudnym braciszkiem przez stulecie, które spędził w Mallorei. Wytworzyły się pomiędzy nami pewne szczególne więzi i choć może się to wydać trochę dziwne, lubiłem jego towarzystwo.

Zdałem relację z powodzenia swej wyprawy Mistrzowi, a potem opowiedziałem mu o tym, na co natknąłem się w Ulgołan-dzie. Wydawał się w równym stopniu zbity z tropu jak ja.

- Czy możliwe, aby Ulgosi mogli czymś obrazić swego Boga, Mistrzu? - zapytałem. - Tak poważnie, że odwrócił się od nich i ponownie wypuścił potwory?

- Nie, synu - odparł Mistrz, potrząsając głową. - Nie zrobił by tego, nie mógłby tak postąpić.

-Już raz zmienił zdanie, Mistrzu - przypomniałem mu. — Nie chciał opiekować się żadną częścią ludzkości. Pierwszy Gorim po przybyciu do Prolgu przez cała lata musiał go błagać o opiekę, nim Ul w końcu ustąpił. Może to zabrzmiało mało życzliwie, ale obecny Gorim nie jest zbyt sympatyczny. Wzbudził we mnie niechęć od pierwszego wejrzenia. Niebiosa raczą wiedzieć, jak wielką nieżyczliwość potrafi wzbudzić, gdy zacznie mówić.

Aldur uśmiechnął się słabo.

- To ty, Belgaracie, okazujesz brak sympatii - powiedział, po

czym roześmiał się. - Muszę przyznać jednak, iż w pełni zgadzam się z tobą. Ul wszelako cierpliwszym jest. Nawet ten, który jest obecnym Gorimem, nie potrafiłby go tak wielce urazić. Zbadam tę niepokojącą sprawę i dam ci znać, czego się dowiedziałem.

- Dziękuję ci, Mistrzu - odparłem i odszedłem. Po drodze zatrzymałem się u Beldina, zapraszając, aby wpadł do mnie na kufelek i pogawędkę. Roztropnie pożyczyłem beczkę ale od bliźniaków.

Beldin przyczłapał na szczyt mej wieży i nie łapiąc nawet oddechu, osuszył pierwszy kufel.

- A zatem? - zapytałem.

- Co zatem?

Oto był cały Beldin.

- Co dzieje się w Mallorei?

- Mógłbyś wyrażać się precyzyjniej? Malloreia to spore miejsce.

Wilczyca podeszła i położyła Beldinowi łeb na kolanach. Zawsze go lubiła z jakiejś przyczyny. Beldin odruchowo podrapał ją towarzyszkę za uchem.

- Co robi Torak? - zapytałem nieco opryskliwie.

- Płonie - powiedział, uśmiechając się krzywo. - Myślę, że brat naszego Mistrza będzie się palił przez długi, długi czas.

- To nadal trwa? — byłem nieco zaskoczony. — Myślałem, że ogień już przygasł.

- Nieznacznie. Nie widać już płomieni, ale Stare Spalone Oblicze nadal gore. Glob był z niego bardzo niezadowolony, a w końcu to tylko kamień. Kamienie nie słyną ze skłonności do przebaczenia. Torak przeważnie krzyczy.

- Czyż to nie wstyd? - zapytałem z nieszczerą troską w głosie.

Beldin znowu uśmiechnął się do mnie.

- W każdym razie - podjął dalej - po tym, jak rozłupał świat, kazał swym Angarakom umieścić Glob w żelaznej skrzyni, aby nie musiał na niego patrzeć. Chyba sam widok klejnotu czynił trawią-

cy go ogień gorętszym. Ocean, który stworzył, gonił Angaraków równie szybko jak nas, więc popędzili na wschód, a fale deptały im po piętach. Wszystkie święte miejsca Angaraków zostały zatopione, musieli zatem wykształcić sobie skrzydła albo znaleźć ziemię wyżej położoną.

- Domyślam się, że znieśli te niewygody z ogromnym hartem ducha - powiedziałem z zadowoleniem.

- Belgaracie, zbyt wiele czasu spędziłeś z Alornami. Nawet zaczynasz mówić tak jak oni.

- Alornowie nie są wcale tacy źli - rzekłem ze wzruszeniem ramion —jeśli się już do nich przyzwyczaić.

- Mnie to raczej nie grozi. Zbyttno działają mi na nerwy.

- Co wydarzyło się potem?

- Wybuch, którego byliśmy świadkami, gdy woda spotkała się z gotującą lawą wypływającą ze szczeliny w ziemi, znacznie zmieniło ukształtowanie terenu na wschodzie. Pomiędzy miejscem, gdzie był Korim, i gdzie znajduje się Kell, powstało ogromne bagno.

- Czy Kell nadal tam jest?

- Kell zawsze tam istniało, Belgaracie, i pewnie na zawsze po zostanie. W Kell było miasto, nim my wszyscy zesłiśmy z drzew. Angarakom udało się przebrnąć przez mokradła. Torak zajęty był krzykiem, więc wodzowie jego armii musieli przejąć dowodzenie. Szybko zrozumieli, że to błocko nie nadawało się na zakłady ludzkich siedlisk.

-Jestem zdumiony, że im to przeszkadzało. Angarakowie lubują się w ohydzie.

- W każdym razie doszło do wielkiej kłótni pomiędzy generałami i Grolimami. Grolimowie mieli nadzieję, że morze cofnie się i będą mogli wrócić do Korimu. W końcu tam były ich ołtarze. Generałowie myśleli bardziej realnie. Wiedzieli, iż woda nie opadnie. Przestali tracić czas na kłótnie. Polecili armii maszero-

wać na północny zachód i zabrać pozostałych Angaraków ze sobą. Odeszli, zostawiając na plaży Grolimów, spoglądających tęsknie ku Korimowi. — Beldin czknął ponownie i wyciągnął pusty kufel.

- Wiesz, gdzie stoi - powiedziałem cierpko.

- Nie jesteś zbyt gościnnie, Belgaracie. - Wstał, poczłapał do beczulki i nalał sobie pełen kufel, rozlewając piwo po podłodze. Następnie przyczłapał z powrotem na swoje miejsce. — Grolimów nie ucieszyła zbyt decyzja generałów. Chcieli wrócić, ale jeśli wrócą sami, nie będą mieli kogo zarzynać; chyba że siebie nawzajem, ale aż tak pobożni nie byli. Ruszyli w pościg za tłumem i po częli namawiać do powrotu. To zdenerwowało generałów i do szło do wielu paskudnych incydentów. Myślę, że zapoczątkowało to rozpad społeczności Angaraków.

- Co takiego? - zapytałem zaskoczony.

- Wyrażam się jasno, Belgaracie. Czyżby szwankował ci słuch? Słyszałem, że coś takiego przytrafia się wam, starym ludziom.

- Co rozumiesz pod pojęciem „rozpad społeczności Angaraków”?

- Zaczynają pękać spójnia. Dopóki Torak sprawował władzę, Grolimowie robili wszystko po swojemu. W czasie wojny generałowie poczuli rozkosz rządzenia. Wobec niezdolności do działania Toraka, Grolimowie nie mają żadnej władzy; większość Angaraków czuje do Grolimów to samo, co Belsambar. Generałowie poprowadzili Angaraków przez góry i zeszedli na słabo zaludnione równiny. Zbudowali wielki obóz w miejscu zwanym Mai Zeth i wystawili warty, aby nie wpuszczać do niego Grolimów. W końcu Grolimowie dali za wygraną, zabrali swych wiernych na północ i tam zbudowali drugie obozowisko. Nazwali je Mai Yaska. Teraz mamy więc w Mallorei dwa rodzaje Angaraków. Żołnierze w Mai Zeth są jak żołnierze wszędzie indziej na świecie; religia nie należy do ich priorytetów. Zeloci z Mai Yaska spędzają

tak wiele czasu na modlitwach do Toraka, że nie zabrali się jeszcze do budowy domów.

- Nie wierzyłem, że kiedykolwiek mogłoby do tego dojść, nie u Angaraków. Religia była jedyną rzeczą, o której byli w stanie myśleć - stwierdziłem. Wtem przyszło mi coś na myśl. - Jak Bel sambar zareagował, gdy mu o tym powiedziałaś?

Beldin wzruszył ramionami.

- Nie uwierzył mi. Nie potrafi zaakceptować faktu rozpadu społeczeństwa Angaraków. Nasz brat ma teraz sporo kłopotów, Belgaracie. Myślę, że dręczy go poczucie winy za swój lud. W końcu jest Angarakiem, a Torak utopił ponad połowę ludzkości. Może lepiej ty z nim porozmawiaj - przekonaj go, że naprawdę nie ma w tym jego winy.

- Zobaczą, co się da zrobić - obiecałem. - Tak zatem mają się teraz sprawy w Mallorei?

Beldin roześmiał się.

- Och nie. Poprawia się. Około dwudziestu lat temu Torak przestał uważać się nad sobą i odzyskał przytomność. W dawnych czasach wdeptałby po prostu Mai Zeth w błoto, ale teraz miał na głowie inne sprawy. Ukradł Glob, ale do niczego nie mógł go wykorzystać. Zawód przyprawił Toraka o szaleństwo. Przeszukał Mai Zeth i Mai Yaska, wybrał najzagorzalszych ze swych wyznawców i udał się na dalekie północno-wschodnie wybrzeże, w pobliżu ziem Karandów. Po przybyciu tam, polecił swym wyznawcom zbudować sobie wieżę z żelaza.

- Z żelaza? - zapytałem z niedowierzaniem. — *Żelazna wieża* nie wytrzyma dziesięciu lat. Zacznie rdzewieć, nim ją skończą.

- Chyba rozkazał jej tego nie robić. Torak bardzo lubi żelazo. Może żelazna szkatułka, w której trzymał Glob, nasunęła Torakowi ten pomysł. Może myśli, że jeśli otoczy Glob wystarczającą ilością żelaza, to osłabi go na tyle, że będzie mógł nim kierować.

- To czysty nonsens!

- Nie do mnie te pretensje. To pomysł Toraka, nie mój. Lu dzie, których ze sobą zabrał, zbudowali tam miasto. Torak skrył je w chmurach. To najbardziej ponure miejsce, jakie widziałem. Angarakowie zwa- ją je Cthol Mishrak - Miasto Wiecznej Nocy. To rak nie jest już tak piękny jak przedtem - bez połowy twarzy - może więc próbuje się ukryć. To wielce prawdopodobne, Belga racie. Angarakowie mają teraz trzy miasta, Cthol Mishrak, Mai Yaska i Mai Zeth i zmierzają w trzech różnych kierunkach. Torak jest tak zajęty próbami zapanowania nad Globem, że nie zwraca w ogóle uwagi na to, co dzieje się w Mai Zeth i Mai Yaska. Społeczeństwo Angaraków rozpada się i nie mogło to się przytrafić miłszej grupie ludzi. I jeszcze jedno. Najwyraźniej zrobiliśmy na Toraku wrażenie. Postanowił też wziąć sobie uczniów.

- Tak? Ilu?

- Trzech jak na razie. Później może ich być więcej. Myślę, że wojna przekonała Toraka, iż uczniowie to pożyteczni ludzie. Przed wojną nie był zainteresowany dzieleniem się władzą, ale wi dać zmienił zdanie. Wiesz, że zwykły kapłan staje się bezsilny, gdy przekroczy granice własnego kraju?

- Nie bardzo rozumiem.

- Bogowie dopuszczali się czasami drobnych oszustw. Obda rzali swych kapłanów pewną ograniczoną władzą. To pomagało trzymać wiernych w ryzach. Zwykły Grolim — lub jeden z kapła nów Nedry, Chaldana czy Salmisary — posiada pewną zdolność czynienia rzeczy, które my robimy. Jednakże, gdy tylko opuszcza miejsce zamieszka ne przez wyznawców ich Boga, te umiejętności nikną. Uczeń zaś zachowuje je bez względu na to, gdzie będzie. Dlatego mogliśmy robić to wszystko w Korimie. Torak dostrzegł wartość tego i zaczął sam gromadzić uczniów.

- Wiesz, kim są?

- Dwóch z nich było Grolimami - Urvon i Ctuchik. Nie mo głem się jednak dowiedzieć niczego o trzecim.

- Gdzie był w tym czasie Belzedar?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Gdy dolecieliśmy na miejsce i wróciliśmy do własnych postaci, mętnie zaczął się tłumaczyć, iż ma chęć przeszukać cały kontynent, i udał się na wschód. Od tamtego czasu go nie widziałem. Nie mam pojęcia, co robi. Po wiem ci jednak jedno.

- Co takiego?

- Coś go gnało. Nie mógł doczekać się, by się mnie pozbyć.

- Na niektórych tak działasz, bracie.

- Bardzo zabawne, Belgaracie. Bardzo zabawne. Ile ci jeszcze zostało piwa?

- Tyle co w beczułce. Ostro się za nie zabrałeś.

- Byłem spragniony. Próbowałeś kiedy piwa Angaraków?

- Nie przypominam sobie.

- To lepiej go unikaj. No cóż, jak nam się skończy, zawsze możemy złożyć wizytę bliźniakom - beknął, wstał i chwiejnym krokiem podszedł znowu do beczułki z piwem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przybył z zachodu. Początkowo myśleliśmy, że to ślepiec, ponieważ oczy miał zasłonięte kawałkiem płótna. Po odzieniu poznałem, iż jest Ulgosem. Widywałem już w Prolgu takie skórzane chałaty z kapturami. Trochę zaskoczył mnie jego widok. Sądziłem, że wszyscy Ulgosi zostali zgładzeni. Wyszedłem i powitałem przybysza w jego własnym języku.

- Yad ho, groja Ul - powiedziałem. - Vad mar ishum.

Ulgos drgnął.

- To nie jest konieczne — odezwał się. - Gorim nauczył mnie twej mowy.

- Szczęśliwie się składa - odparłem z lekkim żalem. - Nie mówię zbyt dobrze po ulgosku.

- Tak — rzeki z lekkim uśmiechem — zauważyłem. Ty pewnie jesteś Belgarathem.

- Tak się składa. Czy twoim oczom coś dolega?

- Światło mnie razi.

Spojrzałem na pochmurne niebo.

- Dzisiaj nie jest wcale zbyt jasno.

- Być może dla ciebie — powiedział. - Dla mnie jest oślepiająco jasno. Czy mógłbyś zaprowadzić mnie do swego Mistrza? Mam dla niego wiadomość od Świątobliwego Gorima.

- Oczywiście - zgodziłem się pospiesznie. Może teraz dowie mi się, co naprawdę dzieje się w Ulgolandzie. - To tam - odpar-

łem, wskazując na wieżę Mistrza. Uczyniłem to odruchowo. Prawdopodobnie z zasłoniętymi oczami nie widział mego gestu. A może jednak widział. Wyglądało na to, że bez problemu szedł za mną.

U Mistrza był Belsambar. Nasz angaracki brat od czasu rozbitcia świata stawał się coraz bardziej przygnębiony. Próbowałem podnosić go na duchu, ale bez powodzenia. W końcu zaproponowałem Mistrzowi, aby on spróbował pocieszyć Belsambara.

Aldur powitał Ulgosa uprzejmie.

- Yad ho, groja Ul - powiedział z o wiele lepszym akcentem od mojego.

- Yad ho, groja Ul - odparł Ulgos. - Mam wieści od Gorima świętego Ula.

- Spragniony jestem słów Gorima - odrzekł Aldur. Ulgosi to ludzie sztywni i oficjalni, Aldur jednak doskonale wiedział, jak się zachować. - Jak wiedzie się sługom mego ojca?

- Niedobrze, boski Aldurze. Spadło na nas nieszczęście. Zranienie ziemi wprawiło w szaleństwo potwory, z którymi żyliśmy w zgodzie, odkąd pierwszy Gorim przywiódł nas do Prolgu.

- A więc o to chodzi! - zawołałem.

Ulgos odwrócił się ku mnie zaintrygowany.

- Przechodziłem przez święte Ulgo kilka lat temu i hrulginy oraz algothy próbowały na mnie polować. Nad wyludnionym Prolgu krążyła smoczyca. Co się stało, przyjacielu?

Ulgos wzruszył ramionami.

- Nie widziałem tego na własne oczy - odparł. - To wydarzyło się przed moimi czasami, ale rozmawiałem ze starszymi i oni powiedzieli mi, że zranienie ziemi wstrząsnęło całymi górami wokół nas. Początkowo myśleli, że to tylko zwykłe trzęsienie ziemi, ale święty Ul przemówił do starego Gorima i powiedział mu, co wydarzyło się w Korimie. Niedługo potem potwory zaatakowały lud Ulgo. Starego Gorima zabił eldrak - przerażający stwór.

Aldur westchnął.

- Tak - przyznał. - Moi bracia i ja zbłądziliśmy tworząc eldra-ki. Zasmuciła mnie śmierć waszego Gorima.

To było uprzejmie z jego strony, ale nie sędzę, aby Mistrz lubił poprzedniego Gorima bardziej ode mnie.

- Nie znalazłem go, o boski - przyznał Ulgos z lekkim wzruszeniem ramion. - Starsi powiedzieli mi, że ziemia nie przestała jeszcze drzeć, gdy potwory na nas napadły. Nawet driady zrobiły się dzikie. Lud Ulgo wycofał się do Prolgu. Mieliśmy nadzieję, że potwory ulękną się świętego miejsca, ale tak się nie stało. Ściagały ludzi nawet tam. Wówczas Ul odkrył przed nami jaskinie.

- Jaskinie - powiedział z zadumą Aldur. - Oczywiście. Długo rozmyślałem nad znaczeniem tych jaskiń pod Prolgu. Teraz wszystko jest jasne. Zastanawiałem się także, czemu nie mogłem dotrzeć do umysłu mego ojca, gdy Belgarath opowiedział mi o swych dziwnych przygodach w górach Ulgo. Żle skierowałem swe myśli, skoro on był w jaskiniach ze swym ludem. Podziwiam jego mądrość. Czy słudzy Ula bezpieczni są w tych jaskiniach?

- Najzupełniej, o boski. Święty Ul rzucił czar na jaskinie i potwory lękają się w nie zapędzać. Żyjemy w tych jaskiniach od czasu zranienia ziemi.

- Klątwa twego brata daleko sięgnęła, Mistrzu - powiedział ze smutkiem Belsambar. - Nawet pobożny lud Ulgo poczuł jej żądło.

Oblicze Aldura przybrało srogi wyraz.

-Jest jako rzekłeś, synu - przy/nał. — Mój brat, Torak, za wiele musi odpowiedzieć.

-I jego lud również, Mistrzu - dodał Belsambar. - Wszyscy Angarakowie dzieląjego winę.

Żałuję, że nie zwracałem bacniejszej uwagi na to, co mówił Belsambar, ani na zagubiony wyraz jego oczu. Zbyt łatwo było zwalić wszystko na nastroje Belsambara. Był bezkompromisowym mistykiem, a oni zawsze są trochę dziwni.

- Mój Gorim polecił mi powiadomić cię, panie, o tym, co wydarzyło się w świętym Ulgo - ciągnął dalej nasz gość. - Kazał mi również usilnie prosić cię, panie, o przekazanie tych wieści twym braciom. Święte Ulgo nie jest już bezpiecznym miejscem dla ludzi. Potwory grasują w górach i lasach, zabijając i pożerając wszystko, co zobaczą. Lud Ulgo nie wyprawia się już na powierzchnię, lecz pozostaje w jaskiniach, w których jesteśmy bezpieczni.

- To dlatego światło razi cię w oczy, prawda? - zapytałem. - Urodziłeś się i wychowałeś w całkowitych niemal ciemnościach.

- Jest jako rzekłeś, prastary Belgaracie - odparł. Po raz pierwszy ktoś mnie tak nazwał. Uznałem to za nieco obraźliwe. Nie byłem przecież chyba aż tak stary?

- Tak oto wypełniłem zadanie powierzone mi przez Gorima - powiedział Ulgos do Mistrza. - Teraz błagam o pozwolenie na powrót do jaskini mego ludu, albowiem zaprawdę światło tego górnego świata jest dla mnie śmiertelną udawką. Moje oczy, niczym para sztyletów, ranią mi mózg.

Muszę przyznać, że szelma miał poetycką duszę.

- Zaczekaj trochę - rzekł mu Aldur. - Wkrótce zapadnie noc, a wówczas możesz wyruszyć w drogę. To, co dla nas jest ciemnościami, dla ciebie jedynie bardziej łagodnym światłem będzie.

- Uczynię, jak radzisz, o boski - zgodził się Ulgos.

Nakarmiliśmy go - to znaczy bliźniacy go nakarmili. Beltira i Belkira mieli obsesyjną potrzebę karmienia wszystkich.

Ulgos odszedł po zachodzie słońca. Dopiero pół godziny po jego odejściu uprzytomniłem sobie, że nawet nie podałem mu swego imienia.

Pożegnaliśmy się z Mistrzem, życząc mu dobrej nocy i w zapadającym zmroku odprowadziłem swego angarackiego brata do jego wieży.

- To wciąż postępuje, Belgaracie — powiedział pełnym me lancholii głosem.

- Co postępuje?

- Zepsucie świata. Nigdy już nie będzie taki jak przedtem.

- Nigdy nie był, Belsambarze. Świat zmienia się każdego dnia. Co wieczór ktoś umiera i ktoś rodzi się każdego ranka. Za wsze tak było.

- To naturalne zmiany, Belgaracie. To, co dzieje się teraz, jest złe, nienaturalne.

- Myślę, że przesadzasz, bracie. Trafiały się nam już złe czasy. Nadejście zimy nie jest wcale takie miłe, ale wiosna w końcu wróci.

- Nie sędzę, aby wróciła tym razem. Ta zima z upływem lat będzie coraz gorsza.

Mystyk wszystko traktuje jak metaforę. Metafory są c/asami użyteczne, ale nie należy ich nadużywać.

- Zima zawsze mija, Belsambarze - powiedziałem - Jeśli tego nie moglibyśmy być pewni, to nie byłoby po co żyć, czyż nie?

- A jest po co, Belgaracie?

- Tak. Choćby z ciekawości. Nie chcesz wiedzieć, co wydarzy się jutro?

- Po co? Po prostu będzie gorzej - westchnął. - To już trwa od długiego czasu, Belgaracie. Wszechświat rozpadł się, gdy owa gwiazda wybuchła, a teraz Torak rozbił świat. Potwory z Ulgolandu postradały zmysły, aleja myślę, że ludzie oszaleli również. Kie dyś, dawno temu, my, Angarakowie, byliśmy jak inni ludzie. To rak zasiał w nas zepsucie, gdy powierzył nad nami pieczę Grolimom. Grolimowie uczynili nas dumnymi i okrutnymi. Potem To rak sam popadł w zepsucie <za sprawą swego grzesznego pożądania Globu naszego Mistrza.

- Jednakże przekonał się, iż było to błędem.

- Ale to Toraka nie zmieniło. Nadał spragniony jest panowa-

nia nad Globem, choć ten go okaleczył. Jego pragnienie sprowadziło na świat wojnę, a wojna zasiała zepsucie w nas wszystkich. Widziałeś mnie, gdy po raz pierwszy przybyłem do Doliny. Czy dałbyś wówczas wiarę, że będę zdolny palić ludzi żywcem?

—Staliśmy wobec trudnego problemu, Belsambarze. Wszyscy szukaliśmy rozwiązania.

—Ale to ja spuściłem deszcz ognia na Angaraków. Ty byś tego nie zrobił; nawet Beldin tego nie uczynił; ale ja tak postąpiłem. A gdy zaczęliśmy palić mych rodaków, Torak oszalał. Nie rozłamałby świata i nie zatopił tych wszystkich ludzi, gdybym go do tego nie doprowadził.

—Wszyscy robiliśmy rzeczy, które mu się nie podobały, Belsambarze. Nie możesz sobie przypisywać za to całej winy.

—Nie rozumiałeś mnie, Belgaracie. Wszyscy byliśmy zepsuci przez wydarzenia. Świat zrobił się okrutny, a to i nas uczyniło okrutnymi. Świat nie jest już bez skazy. To jedynie zgniła, stoczo na przez robaki łupina tego, czym niegdyś był. Nadciąga wieczna noc i nic nie możemy zrobić, aby ją powstrzymać.

Doszliśmy do podnóża jego wieży.

— Idź spać, Belsambarze - powiedziałem, kładąc mu rękę na ramieniu. - Sprawy nie będą wyglądać tak źle rano, gdy wstanie słońce.

Na twarzy Belsambara pojawił się nikły, melancholijny uśmiech.

—Jeśli wstanie — rzekł, po czym objął mnie. - Żegnaj, Belgaracie.

—Chcesz chyba powiedzieć „dobranoc“?

— Być może - odparł, odwrócił się i wszedł do swej wieży.

Tuż po północy obudziła mnie potężna detonacja i błysk. Poderwałem się z łóżka i rzuciłem do okna. Z całkowitym niedowierzaniem stwierdziłem, że patrzę na ruiny wieży Belsambara. Pozostała po niej jedynie kupa kamieni i wielki słup dymiącego

ognia. Hałas i płomień były przerażające, ale poczułem również ogromną pustkę, jakby wyrwano coś z mej duszy. Wiedziałem, co to znaczy. Nie czułem już obecności Belsambara.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo stałem skamieniały w oknie, wpatrując się w tę przerażającą scenę.

- Belgaracie! Zejdź na dół!

To był Beldin. Stał u stóp mej wieży.

- Co się stało? - zawołałem.

- Mówiłem, żebyś uważał na Belsambara! Właśnie zażyczył sobie własnego zniknięcia! Nie ma go, Belgaracie! Belsambar zniknął!

Miałem wrażenie, że cały świat wali mi się na głowę. Belsambar był trochę dziwny, ale przecież to mój brat. Zwykli ludzie, którzy wiodą zwyczajne życie, nie rozumieją, jak głęboko można przywiązać się do innej osoby w ciągu tysięcy lat. Zniknięcie Belsambara w pewien sposób okaleczyło mnie. Myślę, że wolałbym stracić rękę lub nogę niż jego i wiedziałem, że moi bracia czuli podobnie. Beldin płakał całe dni, a bliźniacy byli nieutuleni w żalu.

Poczucie straty, jakiego doświadczyłem, gdy Belsambar zakończył życie, odbiło się echem w całym świecie. Dotarło nawet do Belzedara i Belmakora, którzy byli wówczas w Mallorei. Obaj przyszybowali w tydzień potem, choć nie bardzo wiem, co mogli w tej sytuacji poradzić. Belsambar odszedł i nie było sposobu, by sprowadzić go z powrotem.

Pocieszałyśmy Mistrza najlepiej, jak potrafiliśmy, choć tak naprawdę niczego nie mogliśmy uczynić, by ulżyć jego cierpieniu i smutkowi.

Beldinowi, choć na to nie wyglądał, nieobce było poczucie delikatności. Odczekał, dopóki nie opuścił z Belzedarem wieży Mistrza, i dopiero wówczas zaczął go łajać za jego zachowanie w Mallorei. Przysłuchiwało się temu z Belmakorem i elokwencja naszego pokracznego brata zrobiła na nas ogromne wrażenie.

- Nerozważne — to najłagodniejsze słowo, jakiego użył. Wszystko inne było o niebo gorsze.

Belzedar w milczeniu przyjął jego złożenie, co nie bardzo było do niego podobne. Z jakiejś przyczyny śmierć Belsam-bara przeżył jeszcze bardziej od nas. Nie chcę przez to powiedzieć, że my nie odczuwaliśmy żalu, ale boleść Belzedara zdawała się przesadna. Z nietypową dla siebie pokorą usprawiedliwił się przed Beldinem - co i tak na nic się nie zdało. Beldin rozpuścił się na dobre i nie miał zamiaru przerwać tylko dlatego, że Belzedar przyznał się do winy. W końcu zaczął się powtarzać i wówczas włączył się Belmakor.

- Co robiłeś w Mallorei, stary? - zapytał Belzedara.

Belzedar wzruszył ramionami.

- A cóżby innego? Próbowałem odzyskać Glob naszego Mi strza.

- Czyż nie jest to nieco niebezpieczne, mój drogi? Torak na dał jest bogiem, jak wiesz, i spałaszuje twą wątrobę na śniadanie, jeśli cię na tym przyłapie.

- Myślę, że znalazłem sposób, aby tego uniknąć - odparł Bel zedar.

- Nie bądź idiotą - warknął Beldin. - Mistrz jest wystarczają co smutny bez twoich niewydarzonych planów samounicestwie nia.

- Są jak najbardziej wydarzone, Beldinie - odrzekł chłodno Belzedar. - Wystarczająco dużo czasu poświęciłem dopracowaniu wszystkich szczegółów. Plan się powiedzie. To jedyny sposób, by śmy kiedykolwiek odzyskali Glob.

- No to wysłuchajmy go.

- Nie sądzę. Nie potrzebuję pomocy i zdecydowanie nie chcę, aby mi przeszkadzano.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku swej wieży. W ślad za nim pomknęły przekleństwa Beldina.

- Ciekaw jestem, co on zamierza - dumął Belmakor.
- Coś głupiego - odparł skwaszonym tonem Beldin. - Belze dar nie należy do najracjonalniejszych ludzi i ma obsesję na punkcie Globu, od chwili gdy go ujrzał. Czasami miałem wrażenie, że to jemu Torak go ukradł.

- Widzę, że ty również to spostrzegłeś — powiedział Belmakor ze słabym uśmiechem.

- Spostrzegłem? Jak ktokolwiek mógłby tego nie zauważyć? A co ty robiłeś w Mallorei?

- Chciałem zobaczyć, co stało się z moim ludem.

- I co się z nim stało?

- Torak nie wyświadczył im przysługi rozłupując świat.

- Nie sądzę, aby się o to starał. Co się wydarzyło?

- Nie jestem absolutnie pewny. Melcena była wyspowym królestwem u wschodniego wybrzeża. Torakowi udało się zatopić połowę z tych wysp, gdy zaczął wprowadzać zmiany w światowej geografii. To przysporzyło ludziom nieco kłopotów. Teraz tłoczą się wszyscy na tej niewielkiej przestrzeni, która im pozostała. Wyznaczyli komitet w celu rozpatrzenia tej sprawy.

- Co wyznaczyli?

- To pierwsza *rzecz*, o której myślą Melceni w razie jakiegokolwiek kryzysu, stary. To daje nam poczucie spełnienia - i za wsze możemy w razie niepowodzeń obwiniać komitet.

- To najbardziej absurdalna rzecz, o jakiej słyszałem.

- Oczywiście. My, Melceni, jesteśmy absurdalni. To stanowi część naszego uroku.

- Co postanowił komitet? - spytałem.

- Jak najwnikliwiej studiowali problem — przez dziesięć lat - a potem sporządzili sprawozdanie dla rządu.

- I jakie były ich ustalenia? - zapytałem.

- Sprawozdanie miało pięćset stron, Belgaracie. Całą noc za jęłoby mi jego powtórzenie.

- Streść je.

- Wniosek był taki, że Cesarstwu Melcenów potrzeba więcej ziemi.

- Zajęło im aż dziesięć lat, aby do tego dojść? - zdziwił się Beldin.

- Melceni są bardzo sumienni, stary. Zaproponowali ekspansję na kontynent.

- Czyż nie jest on już zamieszkany? - zapytałem.

- No cóż, jest, ale wszyscy ludzie zamieszkujący wybrzeże są przecież 7 pochodzenia Dalami - chyba że zapuścisz się dalej na północ, na ziemię Karandów — więc istnieje pewne pokrewieństwo. Cesarz wysłał emisariuszy do naszych kuzynów w Rengel i Celanta, by wybadali możliwości wyjścia z tego kłopotliwego położenia.

- Kiedy rozpoczęła się wojna? - zapytał bez ogródek Beldin.

- Ależ nie było żadnej wojny, stary. My, Melceni, jesteśmy na to zbyt cywilizowani. Cesarscy emisariusze po prostu uzmysłowili królewiałkom zalety płynące z włączenia do Cesarstwa Melcenów i wady niewyrażenia na to zgody.

- Masz na myśli groźby? - zasugerował Beldin.

- Nie nazwałbym tego groźbami, stary. Emisariusze byli bardzo uprzejmi, oczywiście, ale udało im się dać do zrozumienia, że cesarz będzie niezadowolony, jeśli nie dostanie tego, czego chce. Królewiałka w lot pojęła, w czym rzecz. Po umocnieniu się w Rengel i Celancie, Melcenowie zaanektowali Darshivę i Peldanę. Trochę trudności mieli jednak z Gandaharą. Ludzie zamieszkujący dżungle Gandahary udomowili słonie, a nieco trudno po radzić sobie z jazdą na słońiach. Myślę jednak, że coś wymyślą.

- Sądzisz, iż rozprzestrzenia się na ziemię Dalów? - zapytałem.

Belmakor pokręcił głową.

- To nie byłby dobry pomysł, Belgaracie.

- Dlaczego? Nie słyszałem, aby Dalowie byli zbyt wojowni czym ludem.

- Nie są, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie wchodzi im w drogę. Biegłe opanowali arkana sztuk tajemnych i potrafią na różny sposób uprzykrzyć życie każdemu, kto zabłądzi na ich terytorium. Słyszałeś o Urvonie?

- To jeden z uczniów Toraka, prawda?

- Tak. Sprawuje władzę nad Grolimami z Mai Yaska, a Ctu-chik kieruje sprawami w Cthol Mishrak. Elka lat temu Urvon za pragnął przyjrzeć się pierwotnym mieszkańcom Mallorei, wysłał więc tam swych Grolimów. Ci, którzy udali się do Kell, nie wrócili. Nadal błądzą w cieniu tej ogromnej góry - ślepi i szaleni. Oczywiście nie zawsze można stwierdzić, czy Grolim postradał zmysły; w końcu nie należą do zbyt racjonalnych ludzi.

Beldin wybuchnął chrapliwym śmiechem.

- Możesz powtórzyć to jeszcze raz, bracie?

- Czym zajmują się Dalowie z Kell? - zapytałem zacieka wiony.

- Różnymi rzeczami — czarami, nekromancją, wrózeniem, astrologią.

- Nie powiesz mi chyba, że nadal zajmują się tymi bzdurami?

- Nie jestem przekonany, czy to bzdury, stary. Astrologia jest domeną jasnowidzów, a ci stoją na czele społecznej struktury w Kell. Kell było tam od zawsze i nigdy nie miało niczego, co mógłbyś nazwać rządem. Wszyscy robią to, co każą im robić ja snowidze.

- Czy spotkałeś kiedykolwiek jednego z owych jasnowidzów? — zaciekawiał się Beldin.

- Jednego - młodą kobietę z bandażem na oczach. -

Jak mogła czytać z gwiazd skoro była ślepa?

- Nie powiedziałem, że była ślepa, stary. Najwyraźniej zdej mowała bandaże, gdy chciała czytać z Księgi Niebios. Dziwna była

z niej dziewczyna, ale Dalowie jej słuchali — choć to, co mówiła, nie miało dla mnie zbyt wiele sensu.

- Tak zwykle bywa z ludźmi, którzy udają, że potrafią widzieć przyszłość - zauważył Beldin. - Mówienie zagadkami to bardzo do bry sposób, by ustrzec się przed mianem oszusta.

- Nie sądzę, aby byli oszustami, Beldinie — nie zgodził się Bel makor. - Dalowie mówili mi, że jasnowidz nigdy nie pomylił się, przepowiadając przyszłość. Jasnowidze myślą w kategoriach epok. Druga epoka rozpoczęła się, gdy Torak rozłupał świat.

- To było godne uwagi wydarzenie - powiedziałem. - Alornowie zaczęli od tego dnia liczyć swój kalendarz. Sądzę, że obecnie mamy rok około sto trzydziesty ósmy.

- Głupota! - parsknął Beldin.

- Mają przynajmniej o czym myśleć poza wszczyzaniem utarczek ze swymi sąsiadami.

Przybiegła wilczyca.

- Ktoś zastanawia się, kiedy przyjdiesz do domu — rzekła do mnie z naciskiem.

- Jest nieznośna niemal jak żona - zauważył Beldin.

Wilczyca wyszczerzyła na niego kły. Nigdy nie byłem pewny, ile rozumiała z tego, co mówiliśmy.

- Wracasz do Mallorei? - zapytałem Belmakora.

- Nie sądzę, stary. Chyba zajrzę do Maragów. Lubię Maragów.

- No cóż, ja wracam do Mallorei - powiedział Beldin. - Nadal pragnę się dowiedzieć, kto jest trzecim uczniem Toraka i wolę mieć oko na Belzedara, jeśli potrafię go upilnować. Wystarczy, że się odwrócę, a wymyka mi się - spojrzał na mnie. — A co ty masz za miar robić?

- Teraz wracam do domu - nim moja przyjaciółka zatopi mi kły w nodze i zaciągnie tam.

- Myślałem w bardziej ogólnych kategoriach, Belgaracie.

- Nie jestem pewny. Myślę, że jakiś czas zostanę tutaj, dopóki Mistrz nie wynajdzie mi innego zajęcia.

- A zatem - odezwała się do mnie wilczyca - idziesz do do mu, czy nie?

- Idę, moja droga - odparłem, wzdychając i przewracając oczyma.

W Dolinie zrobiło się pusto po odejściu Belsambara. Beldin i Belzedar byli w Mallorei, a Belmakor przebywał wśród Maragów, zabawiając maraskie kobiety, byłem tego pewny. Według niepisanej umowy, bliźnięta zawsze pozostawały blisko Aldura. Zwyczaj ów ustalili się po tym, jak Torak ukradł Glob Mistrza. W ciągu następnych kilku stuleci kręciłem się trochę po okolicy. Nadal trzeba było co jakiś czas aranżować małżeństwa — i morderstwa.

* * *

Szokuje to was? Nigdy nie rościłem sobie pretensji do świętości, a na świecie nie brakowało niewygodnych ludzi. Nie mówiłem Mistrzowi o swych poczynaniach, ale on też nigdy o to nie pytał. Nie mam zamiaru marnować swego czasu, ani waszego, na niezdarne wykręty. Kierowała mną Konieczność, więc robiłem, co było konieczne.

* * *

Lata płynęły. Moje trzytysięczne urodziny minęłyby i nawet bym tego nie zauważył, gdyby wilczyca mi o nich nie przypomniała. Zawsze pamiętała o moich urodzinach, co było bardzo dziwne. Wilki liczą czas upływem pór roku nie lat, ale ona ani razu nie zapomniła o tym dniu, który dla mnie już od dawna nie miał znaczenia.

Tego ranka wygramoliłem się z łóżka ledwo widząc na oczy. Wraz z bliźniakami świętowaliśmy coś poprzedniego wieczoru. Wilczyca siedziała z tym swoim głupio wywalonym jęzorem i obserwowała mnie. Nie jest to dobry początek dnia, kiedy ktoś nas wyśmiewa od samego świtu.

- Paskudnie cuchniesz - zauważyła.
- Proszę, przestań - powiedziałem. - Nie czuję się najlepiej tego ranka.
- Nadzwyczajne. Wczorajszego wieczoru miałeś wysmienite sa mopoczucie.
- To było wtedy, a nie teraz.
- Ktoś jest ciekaw, czemu to sobie robisz. Wiesz, że rano będiesz niezdrów.
- To zwyczaj - z biegiem lat przekonałem się, że najlepszą metodą było zwalanie wszystkiego na zwyczaj.
- Rozumiem. No cóż, skoro to zwyczaj, to chyba nie ma powodu do smartwienia. Jesteś dziś starszy, wiesz?
- Czuję się dziś o wiele, wiele starszy.
- Dawno temu przyszedłeś tego dnia na świat.
- Znowu moje urodziny? Już? Gdzież podziewa się ten czas?
- Za nami lub przed nami. To zależy, w którą stronę spojrzysz. Dacie wiarę, że takie spostrzeżenie pochodziło od wilka?
- Jesteś ze mną już szmat czasu.
- Czymże jest czas dla wilka? Wszystkie dni są do siebie podobne.
- O ile sobie przypominam, spotkaliśmy się na trawiastych równinach północy, nim świat został rozbity.
- Tak, to było wtedy.
- Poczynilem w myślach szybkie wyliczenia.
- Około tysiąca moich urodzin minęło od tamtego czasu.
- I co?
- Czy normalnie wilki żyją tak długo?
- Ty jesteś wilkiem - czasami — i żyjesz tak długo.
- To co innego. Jesteś niezwykłym wilkiem.
- Dziękuję. Ktoś myślał, że nigdy tego nie zauważysz.
- To naprawdę zdumiewające. Nie mogę uwierzyć, aby wilk mógł żyć tak długo.

- Wilki żyją tak długo, jak długo zechcą - prychnęła. - Ktoś byłby bardziej zadowolony, gdybyś zrobił coś ze swoim zapachem — dodała.

* * *

Widzisz, Polgaro, nie ty pierwsza to zauważyłaś.

* * *

Kilka lat potem zdarzyło mi się z jakiegoś powodu, którego już dawno nie pamiętam, znowu zmienić postać. Nie potrafię sobie przypomnieć nawet, w co się zmieniłem, ale kojarzę, że była wczesna wiosna i złociste promienie słońca wpadały przez otwarte okno mojej wieży, zalewając swym jasnym światłem pozostałości po dawno zapomnianych doświadczeniach, sterty ksiąg i zwojów piętrzących się pod ścianami. Myślałem, że wilczyca śpi, gdy to robiłem, ale powinienem ją lepiej znać. Nic z tego, czym się zajmowałem, nigdy nie umknęło uwagi mej towarzyszki.

Wilczyca usiadła. Jej złociste oczy błyszcząły w blasku słońca.

- A więc tak to robisz — powiedziała. — Jakież to proste.

I natychmiast zmieniła się w białą sowę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Od tamtej pory niewiele zaznałem spokoju. Nigdy nie wiedziałem, czyje spojrzenie napotkam, gdy się odwrócę - wilka, sowy, niedźwiedzia czy motyla. Poledra zdawała się znajdować wielką przyjemność w zaskakiwaniu mnie, ale w miarę upływu czasu coraz częściej ukazywała się mi w postaci sowy.

—O co chodzi z tymi sowami? - burknąłem któregoś dnia.

—Lubię sowy - wyjaśniła, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem. - Podczas mej pierwszej w życiu zimy, gdy byłam młodym i głupim stworzeniem, goniłam zającą, grzęznąc w śniegu jak szczenię. Wielka biała sowa runęła z góry i porwała zającą niemal wprost z mej paszczy. Zaniosła go na pobliskie drzewo i zjadła, zrzucając mi nędzne resztki. Pomyślałam wówczas, że do brze byłoby być sową.

—Głupota — parsknąłem.

—Być może - odparła uprzejmie, gładząc dziobem pióra w ogonie — ale to mnie bawi. Być może pewnego dnia inna postać wyda mi się jeszcze bardziej zabawna.

Ci z was, którzy znają moją córkę, wiedzą teraz, skąd wziął się u niej pociąg do tej konkretnej postaci. Ani Polgara, ani moja żona nie chcą powiedzieć, jak porozumiewały się w ciągu tych

straszliwych lat, gdy sądziłem, że straciłem Poledrę na zawsze; najwyraźniej jednak to czyniły i tym sposobem przeniosło się upodobanie Poledry do sów. Ale uprzedzam bieg wydarzeń.

* * *

Następne kilka stuleci upłynęło spokojnie. Nadaliśmy już bieg większości spraw, by wszystko było przygotowane, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

Zgodnie z tym, czego się spodziewałem, Tol Nedrane spaliło się do fundamentów i moje zabiegi w sprawie patriarchy rodu Honethite opłaciły się. Jeden z jego potomków, ważny notabl w ówczesnych czasach, czuł pociąg do kamieniarstwa. O odziedziczenie tego zamięłowania w jego rodzinie wszak starannie zadbałem. Po tym, jak na jego oczach Tol Nedrane obróciło się w popiół, przekonał innych ojców miasta, że kamień nie spłonie tak szybko, jak drewniane bale i strzecha. Jednakże był cięższy niż drewno, więc przed przystąpieniem do budowy kamiennych domów musieli umocnić podmokłe grunty wyspy na rzece Nedrane. Pomimo głośnych protestów przewoźników, zbudowali dwa mosty, jeden łączący z południowym brzegiem Nedrane, a drugi z północnym.

Po wypełnieniu mokradeł kamiennym gruzem, zabrali się do właściwej pracy. Jeśli mam być całkowicie szczery, to nie dbaliśmy wcale o to, czy mieszkańcy Tol Honeth żyją w domach z kamienia, czy w chatkach z papieru. Dla nas ważna była praca zbiorowa. Zespoły budowlane stanowiły zaczątek legionów, potrzebnych nam później. Kamień budowlany jest zbyt ciężki dla jednego człowieka — chyba że posiada on umiejętności moich braci i moje. Typowa drużyna robotników, składająca się z dziesięciu ludzi, ostatecznie stała się podstawowym oddziałem. Gdy musieli przećnieć większe kamienie, łączyli się po dziesięć drużyn - tworząc typową kompanię. A kiedy przyszło im ułożyć owe ogromne głazy pod fundamenty, grupowali się po sto drużyn — tworząc legion.

Musieli nauczyć się współpracować ze sobą, aby wykonać określone zadanie, i słuchać rozkazów nadzorców. Jestem pewny, że pojmujecie, w czym rzecz. Mój Honethit został głównodowodzącym całej operacji. Nadal jestem z niego w pewnym sensie dumny - choć był Honethem.

W owym czasie Tolnedra nie była tak cywilizowana jak dzisiaj, jeśli można Ce'Nedrę nazwać cywilizowaną. W każdym społeczeństwie zawsze znajdują się ludzie, którzy wolą zabrać innym to, czego pragną, niż na tę rzecz zapracować, i Tolnedra nie była w tym względzie wyjątkiem. Po okolicach wałęsały się bandy włóczęgów. Pewnego razu jedna z nich próbowała przekroczyć południowy most, aby złupić Tol Nedrane. Mój kamieniarz polecił swej grupie robotników rzucić narzędzia i chwycić za broń. Reszta, jak to mówią, jest historią. Mój protegowany w lot pojął, co stworzył, i tak zrodziło się marzenie o imperium.

Kiedy ów kamieniarz rozszerzył swą kontrolę nad okolicą do dwudziestu mil w każdym kierunku, zmienił nazwę rodzinnego miasta na Tol Honeth, a siebie samego mianował Ranem Honethem I, cesarzem całej Tolnedry - tytuł nieco na wyrost dla człowieka, którego „cesarstwo” miało powierzchnię zaledwie czterystu mil kwadratowych, ale zapewniam was, że to był dopiero początek. Byłem zadowolony ze sposobu, w jaki to wszystko się ułożyło.

Nie miałem jednakże czasu spokojnie się tym nacieszyć, gdyż właśnie wówczas wybuchła wojna domowa w Arendii. Sporo pracy włożyłem w tę krainę i nie chciałem, by rody założone z takim trudem zostały starte z powierzchni ziemi w trakcie tych igraszek. Trzy główne miasta Arendii, Vo Mimbre, Vo Wacune i Vo Astur, powstały dość wcześnie. Każdym z nich i otaczającym go terytorium rządził książę. Nie jestem pewny, czy Arendom przyszedłby do głowy pomysł, by mieć jednego króla, gdyby nie przykład pierwszej dynastii Honethite powstałej na południu. Nie upłynę-

ło wiele czasu, gdy książę Vo Astur nadał ostateczny kształt wewnętrznemu konfliktowi proklamując siebie królem Arendii.

Jednakże już sama wojna domowa była wystarczająco kłopotliwa. W każdym z trzech księstw założyłem rody i moim głównym zmartwieniem było niedopuszczenie, by stanęły przeciwko sobie na polu walki. Gdyby przodek Mandorallena zabił przodka Lell-dorina na przykład, to nigdy nie udałoby mi się doprowadzić do pokoju pomiędzy nimi.

Na dodatek stada hrulginów i sfory algothów co jakiś czas robiły wypadły do wschodniej Arendii w poszukiwaniu czegoś — lub kogoś — do jedzenia, powiększając panujący tu zamęt. Ulgosi skryli się w jaskiniach, a tym samym na terenie siedlisk owych potworów zabrakło ich ulubionego pożywienia.

Zobaczyłem to na własne oczy, gdy niby to prowadziłem barona Vo Mandor, przodka Mandorallena, na pole bitwy. Nie chciałem, aby tam dotarł, więc zabrałem go okreśną drogą. Byliśmy w pobliżu ulgoskiej granicy, gdy zaatakowały nas algothy.

Baron Mandorin był Mimbrantem do szpiku kości. Zarówno on, jak i jego wasale zakuci byli w zbroje, które chroniły przed jadowitymi pazurami algothów.

Mandorin zakrzyknął na swych wasali, opuścił przyłbicę, nastawił kopię i ruszył do ataku.

Niektóre cechy są dziedziczne.

Odwaga algothów jest odbiciem odwagi sfory, nie pojedynczych osobników, więc gdy Mandorin i jego ludzie zaczęli zabijać algothy, bojowość sfory poczęła słabnąć. W końcu uciekły z powrotem do lasu.

Mandorin uśmiechnął się szeroko, gdy podniósł przyłbicę.

- Zabawne spotkanie, prastary Belgaracie - powiedział wesoło. - Azali ich brak ducha pozbawił nas większości uciechy.

Arendowie!

- Lepiej przekaż wieści o tym incydencie, Mandorinie - rzek-

łem. - Niech wszyscy w Arendii wiedzą, że potwory z Ulgolandu zapuszczają się w te lasy.

- Powiadomię wszystkich Mimbre — obiecał. — Bezpieczeństwo Wacitów i Asturian nie leży mi na sercu.

- To twoi rodacy, Mandorinie. Już choćby z tego powodu powinieś poczuwać się do ostrzeżenia ich.

- Wrogami mymi są - upiera! się.

- Ale są ludźmi. Przyzwoitość nakazuje ich uprzedzić, a ty je steś przyzwoitym człowiekiem.

To do niego przemówiło. Chwilę jeszcze stał zasepiony, potem jednak oblicze Mandorina rozpogodziło się.

- Stanie się, jako rzekłeś, prastary - obiecał. - Azali zaprawdę koniecznym nie będzie.

- A to dlaczego?

- Gdy tylko zakończymy sprawy z Asturianami, wraz z kilką kompanami wyprawię się w góry Ulgolandu. Tuszę, iż wytępienie owych nieznośnych stworzeń wielkim trudem nie będzie.

Sam Mandorallen nie ująłby tego inaczej.

Około piętnastu wieków po rozbiciu świata Beldin wrócił z Mallorei, aby opowiedzieć nam o Toraku i jego Angarakach. Belmakor porzucił uciechy w Maragorze i dołączył do nas, nadal jednak nie było śladu Belzedara. Zebraliśmy się w wieży Mistrza i zajęliśmy swe zwykłe miejsca. Myślę, że wszystkich nas niepokoił pusty fotel Belzedara.

- Przez jakiś czas w Mallorei panował absolutny chaos - relacjonował Beldin. — Grolimowie z Mai Yaska wybierali swe ofiary nieomal wyłącznie spośród oficerów armii, a generałowie aresztowali i tracili każdego Grolima, który im wpadł w ręce, oskarżając ich o wszelkiego rodzaju przestępstwa. W końcu Torak zorientował się, co się dzieje, i położył temu kres.

- Szkoda - mruknął Belmakor. - Co zrobił?

- Wezwał dowódców i hierarchów Grolimów do Cthol Mishrak i postawił im ultimatum. Powiedział, że jeśli nie zaprzestaną swej skrytej wojny, to mogą pakować się i przenosić do Cthol Mishrak, gdzie będzie ich miał na oku. To przemówiło do Grolimów natychmiast. W Mai Zeth i Mai Yaska mogli żyć we względnej autonomii, a i klimat w tych miastach nie był wcale taki zły. Cthol Mishrak było niczym przedproże Piekieł. Leżało na południowym krańcu polarnych bagnisk i było wysunięte tak daleko na północ, że dni trwały zimą jedynie około dwóch godzin — jeśli w ogóle to, co następowało po świcie, można było nazwać dniem. Torak spowił to miejsce wiecznymi chmurami, więc światło nigdy tak naprawdę nie miało do niego dostępu. Cthol Mishrak znaczy Miasto Wiecznej Nocy i bardzo trafnie opisuje to miejsce. Słońce nigdy nie dociera do ziemi, więc rosną tam jedynie grzyby.

Beltira wzdygnął się.

- Czemu to uczynił? - zapytał zbity z tropu.

- Kto wie, dlaczego Torak cokolwiek robi? - wzruszył ramionami Beldin. - Jest szalony. Może próbuje ukryć swą twarz. Myślę jednak, że tym, co ostatecznie doprowadziło do opamiętania generałów i Grolimów, był fakt, że w Cthol Mishrak rządził uczeń Ctuchik. Spotkałem Urvona. Samym spojrzeniem potrafił zmrozić krew w wężu. Ctuchik uchodzi za jeszcze gorszego.

- Dowiedziałeś się, kto jest trzecim uczniem? — zaciekawilem się.

Beldin pokręcił głową.

- Nikt nie chce o nim mówić. Odniosłem wrażenie, że nie jest Angarakiem.

- To bardzo nie pasuje do mego brata — powiedział w zadumie Aldur. - Torak ma pozostałe rasy ludzkie w najgłębszej pogardzie.

- Mogę się mylić, Mistrzu - przyznał Beldin - ale sami Angaracowie wydają się przekonani, że to nie jest nikt spośród nich.

W każdym razie strach przed powrotem do Cthol Mishrak otworzył łagodniej nastawioną część duszy Urvona, który rządził w Mai Yaska. Niemal natychmiast zaczął czynić pokojowe zabiegi względem generałów.

- Czy Urvon rzeczywiście ma tyle autonomii? - zapytał Beltira.

- W zasadzie tak. Torak jest skoncentrowany na Globie i administracyjne detale pozostawia swym uczniom. Ctuchlik sprawuje władzę absolutną w Cthol Mishrak, a Urvon zasiada na tronie w Mai Yaska. Ubóstwia być wielbiony. Następnym centrum władzy w Mallorei jest Mai Zeth. Logika podpowiada, że tam przebywa trzeci uczeń Toraka - prawdopodobnie działa za kulisami. W każdym razie, gdy tylko Urvon i generałowie obwieścili między sobą pokój, Torak przykazał im pilnować się i odesłał do domów. Szczegóły wypracowali później. Grolimowie mają absolutne wpływy w Mai Yaska, a generałowie w Mai Zeth. Pozostałymi miastami i okręgami rządzą wspólnie. Żadnej ze stron to się za bardzo nie podoba, ale nie mają wyboru.

- Czy tak teraz wyglądają sprawy? - zagadnął Belkira.

- Trochę posunęły się do przodu. Gdy tylko generałowie pozbyli się Grolimów, mogli bez przeszkód skierować swą uwagę na Karandów.

- Wstrętne bydłeta - zauważył Belmakor. - Gdy pierwszy raz zobaczyłem jednego z nich, nie byłem w stanie uwierzyć, że to człowiek.

- Teraz trochę się ucłowieczyli - powiedział Beldin. - Angarakowie zaczęli mieć kłopoty z Karandami niemal zaraz po przybyciu do Gór Dalasiańskich. Karandowie tworzyli coś w rodzaju luźnej konfederacji siedmiu królestw w północnej ćwiartce kontynentu. Nowy ocean Toraka wprowadził radykalne zmiany w tamtejszym klimacie. Karanda znajdowała się w środkowym okresie zlodowacenia - sporo śniegu, lodowce i tym podobne rzeczy, ale cała ta para, która wydobyła się z rozpadliny w skoru-

pie ziemi, stopiła wszystko niemal przez noc. Kiedyś był tam strumień zwany Magan, który spływał meandrami z Gór Karandskich na południowy wschód, by w końcu wpaść do oceanu w Gandaharze. Gdy wszystkie lodowce stopniały jednocześnie, strumyk przestał być taki łagodny. Wyżłobił ogromną bruzdę przez trzy czwarte kontynentu. To zmusiło Karandów do poszukiwania miejsc wyżej położonych. Na nieszczęście takie ziemie znajdowały się na terenach, które Angarakowie uważali za swoje.

- Nie nazwałbym tego takim wielkim nieszczęściem - powie dział Belmakor. — Jeśli Angarakowie są zajęci Karandami, to nie będą się nam naprzykrzać.

- Nieszczęście przyszło później - rzekł Beldin. - Dopóki generałowie handryczyli się z Grolimami, nie mieli czasu zajmować się Karandami. Gdy jednak Torak rozwiązał ten problem, generałowie skierowali swą armię ku granicom karandyjskiego Królestwa Palii, a potem na nie najechali. Karandowie nie byli w stanie stawić im czoła i w ciągu miesiąca Pallia została podbita. Grolimowie zaczęli już ostrzyć swe noże, ale generałowie pragnęli po zostawić Pallię w spokoju - oczywiście musiałyby płacić haracz. Zaproponowali, aby Karandów z Palii nawrócić na wiarę Toraka. Grolimowie wpadli w szal. W ich przekonaniu inne rasy ludzi nadawały się jedynie na niewolników lub ofiary. Mówiąc krótko, Torak przemyślał to i ostatecznie stanął po stronie wojskowych. Ich rozwiązanie przysporzy mu więcej wiernych i da Torakowi o wiele większą armię, w razie gdyby Belar znalazł kiedyś sposób na przeprowadzenie swych Alornów na kontynent Mallorei. Z jakiej przyczyny Alornowie denerwowali go.

- Na mnie też tak działają - odezwał się Belmakor. — Być może wiąże się to z faktem, iż wpadają w szal przy najmniejszej prowokacji.

- Torak posunął się jeszcze dalej - ciągnął Beldin. - Sama Pallia go nie zadowalała. Rozkazał Grolimom wyruszyć i nawrócić

całą Karandę. - Pragnę mieć ich wszystkich - powiedział Grolimom. - Cały lud niezmierzonej Mallorei winien się mnie pokłonić, a jeśli któryś z was uchyli się od tej odpowiedzialności, poczuje me niezadowolenie z całą ostrością.

Przekonał tym Grolimów, którzy ruszyli nawracać pogan.

- To niepokojące - rzekł Aldur. - Dopóki mój brat miał tylko swych Angaraków, z łatwością mogliśmy dorównać mu liczebnością. Wszakże decyzja Toraka o przyjęciu i innych ras zmienia naszą sytuację.

- Nie bardzo mu się powiodło, Mistrzu - zapewnił Beldin. - Torakowi udało się nawrócić Karandów w przeważającej mierze dlatego, że jego armia górowała na tymi wyjącmi barbarzyńcami, ale gdy generałowie Toraka dotarli do granic imperium Melceny, wpadli wprost na jazdę słońi. Mówiono mi, że zrobiło się straszne zamieszanie. Generałowie wycofali się i w zamian natarli na Dalasję - spojrział na Belmakora. - Zdawało mi się, że wspominałeś, iż Dalowie mają tam miasta.

- Mieli, przynajmniej wówczas, gdy byłem u nich ostatnim razem.

- No cóż, teraz nie istnieje tam już żadne miasto, poza oczywiście Kell. Gdy Angarakowie wkroczyli do Dalasji, zastali jedynie wioski z lepiankami.

- Dlaczego mieliby zrobić coś podobnego? - zapytał zbity z tropu Belmakor. — Mieli piękne miasta. Tol Honeth wygląda przy nich jak wielka rudera.

- Istniały ku temu powody - zapewnił go Aldur. - Zniszczenie miast było fortem, który miał przeszkodzić Angarakom w odkryciu, jacy naprawdę byli przemysłni.

- Według mnie wcale nie wyglądali na przemysłnych — powiedział Beldin. - Nadal orzą swe pola tyczkami, a potulni są nie mały jak baranki.

- To również fortel, synu.

- Angarakowie nie mieli żadnych kłopotów z nawróceniem ich, Mistrzu. Chęć posiadania Boga po tych wszystkich tysiącach, nawet takiego jak Torak, sprawiła, że nawracali się całymi tysiącami. Czy to także udawali?

Aldur skinął głową.

- Dalowie posuną się do wszystkiego, by ukryć swe prawdy we cele przed niewykształconymi.

- Czy generałowie próbowali wrócić do imperium Melce-nów? - zapytał Belmakor.

- Nie - odparł Beldin. - Gdybyś widział kilka batalionów zdeptanych przez słonie, zrozumiałbyś to. Angarakowie i Melceni handlują trochę między sobą, ale na tym ich kontakty się kończą.

- Mówiłeś, że spotkałeś Urvona - powiedział Belkira. - Czy było to w Cthol Mishrak, czy Mai Yaska?

- Mai Yaska. Trzymałem się z dala od Cthol Mishrak z powodu chandimów.

- Kim są chandimy? - zaciekałem się.

- Byli kiedyś Grolimami. Teraz są psami - wielkimi jak ko nie. Niektórzy nazywają je „psami Toraka”. Patrolują okolicę wokół Cthol Mishrak, węsząc za intruzami. Pewnie szybko wpadłyby na mój trop. Byłem na krańcach Mai Yaska, gdy wypatrzyłem nadchodzącego ze wschodu Grolima. Poderżnąłem mu gardło, ukradłem szatę i wśliznąłem się do miasta. Myszkowałem po świątyni, gdy zaskoczył mnie Urvon. Od razu zorientował się, że nie byłem Grolimem, z miejsca poznając się na mych nadzwyczajnych talentach, kapujesz? - Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu przeszedł na gwarę chłopów pańszczyźnianych z północnej Arendii. Być może zrobił tak, gdyż wiedział, że mnie to drażni.

* * * Nieważne. Wyjaśnienie tego

zajęłoby mi zbyt wiele czasu.

-Jego pojawienie się nieco mnie zaskoczyło - ciągnął dalej mój karłowaty brat. - Był jednym z tych pokrytych plamami ludzi, jakich widuje się tu i ówdzie. Angarakowie mają śniadą cerę — przypominają pod tym względem nieco Tolnedran - ale ciało Urvona było pokryte dużymi plamami chorobliwie bladej skóry. Przypominał srokatego konia. Zaczął mi wygrażać, strasząc wezwaniem straży, ale na odległość zalatywało od niego strachem. Odebraliśmy bardziej wszechstronne wykształcenie od tego, jakie Torak dał swym uczniom, i Urvon wiedział, że nad nim góruję - oczywiście mówiąc w przenośni. Nie spodobał mi się zbytnio. Pokonałem Urvona swym urokiem oraz dlatego, że pochwytiłem go i cisnąłem kilkakrotnie o ścianę. Gdy usiłował odzyskać oddech, powiedziałem, że jeśli piśnie lub ruszy się, to wypruję mu flaki rozgrzanym do białości hakiem. Potem, dla potwierdzenia swych słów, pokazałem hak.

- Skąd wzięłeś hak? - zapytał Beltira.

- Stąd - Beldin wyciągnął swą sękatą rękę, pstryknął palca mi i w jego dłoni pojawił się rozżarzony hak. - Czyż nie jest uroczy? - potrząsnął palcami i hak zniknął. - Urvon najwyraźniej mi uwierzył, choć trudno to stwierdzić z całkowitą pewnością, po nieważ z miejsca zemdlął. Przemknęło mi przez myśl, by powieść go na moim haku na krokwi, ale uznałem, że przybyłem po to, by się wszystkiemu przyjrzeć, a nie profanować świątynie, więc zostawiłem Urvona rozciągniętego na podłodze i udałem się z powrotem za miasto, gdzie powietrze było czystsze. W świątyniach Grolimów panuje specyficzny odór - przerwał i podrapał się energicznie pod pachą. — Myślę, że lepiej, abym przez ja kiś czas trzymał się z dala od Mallorei. Urvon rozwiesił mój rysopis na wszystkich drzewach. Wielkość nagrody schlebia mi, ale sądzę, że poczekam, aż sprawy nieco przycichną, zanim tam wrócę.

- Słusznie - mruknął Belmakor, po czym roześmiał się bez radnie.

Kilka tygodni później moje życie gruntownie się zmieniło. Byłem pochylony nad stołem do pracy, gdy moja towarzyszka wleciała przez okno, które za jej namową zostawiałem otwarte, przysiadła na ulubionym krześle i wróciła do wilczej postaci.

- Myślę, że odejdę na jakiś czas - oznajmiła.

- Tak? - zapytałem ostrożnie.

Spojrzała na mnie. Jej złociste oczy nawet nie mrugnęły.

- Myślę, że chciałabym rozejrzeć się znowu po świecie.

- Rozumiem.

- Myślę, że świat się bardzo zmienił.

- Możliwe.

- Pewnego dnia mogę wrócić.

- Mam nadzieję.

- A zatem, żegnaj - powiedziała, ponownie przybrała postać sowy, machnęła skrzydłami i mej towarzyszki już nie było.

Jej obecność w ciągu tych lat była czasami dla mnie utrapieniem, ale stwierdziłem, że bardzo za nią tęsknię. Nieraz odwracałem się, aby coś jej pokazać i zdawałem sobie sprawę, że mojej przyjaciółki już ze mną nie ma. Za każdym razem czułem dziwną pustkę i smutek. Tak długo była częścią mego życia, iż odnosiłem wrażenie, że towarzyszyła mi od zawsze.

Potem, jakieś kilkanaście lat później, Mistrz wezwał mnie i polecił udać się na daleką północ, bym przyjrzał się Morindi-mom. Ich praktyki wywoływania demonów zawsze Aldura interesowały i zdecydowanie nie chciał, aby nabrali w tym zbyt wielkiej biegłości.

Morindimowie byli - i pewnie nadal są - o wiele bardziej prymitywni niż ich kuzyni, Karandowie. Jedni i drudzy czczą demony, ale Karandowie potrafili wieść, przynajmniej pozornie, normalne życie. Morindimowie nie umieli tego - lub nie chcieli.

Klany i plemiona Karandy dla wspólnego dobra złagodziły dzielące je różnice, głównie dlatego, że wodzowie mieli większą władzę niż czarownicy. U Morindimów było na odwrót, a każdy czarownik to nadęty zarozumialec, który uznawał istnienie innych czarowników za osobistą obrazę. Morindimowie byli nomadami o prymitywniej strukturze plemiennej i czarownicy ograniczali ich życie rytuałami i mistycznymi wizjami. Mówiąc otwarcie, Morindimowie żyli w nieustannym strachu.

Udałem się przez Alornię do północnego pasma gór, w którym teraz znajduje się Gar og Nadrak. Belsambar zapoznał nas ze zwyczajami tych dzikusów, gdy dawno temu powrócił z wyprawy w tamte strony, więc mniej więcej wiedziałem, jak upodobnić się do Morinda. Ponieważ chciałem jak najwięcej dowiedzieć się o ich praktykach wywoływania demonów, uznałem, że najlepszym sposobem będzie zostać uczniem jednego z czarowników.

Przez jakiś czas przebywałem na skraju ich rozległej, podmokłej równiny, by przyciemnić sobie skórę i ozdobić imitacją tatuażu. Potem, gdy już odziałem się w skóry i przystroiłem piórami, wyruszyłem na poszukiwanie czarownika.

Przezornie część mojego przebrania stanowiły symbole poszukiwacza — opaska na głowę z białego futra i dyndająca na niej czerwona włócznia - gdyż Morindimowie uważają, że przeszkadzanie poszukiwaczowi przynosi nieszczęście. Choć raz czy dwa zdarzyło mi się ratować magią, aby przekonać ciekawskiego lub wojowniczo nastawionego, by zostawił mnie w spokoju.

Po tygodniu spędzonym na tych pustkowiach natknąłem się na odpowiedniego kandydata na nauczyciela. Poszukiwacz zwykle ma aspiracje, by zostać czarownikiem. Gdy przechodziłem przez jeden z niezliczonych strumieni, które przemierzały arktyczne pustkowia, zagadnął mnie krzepki facet w nakryciu głowy z czaszek.

— Nosisz znak poszukiwacza - powiedział tonem wyzwania, gdy staliśmy w wodzie po uda na środku lodowatego strumienia.

- Tak - odparłem z rezygnacją w głosie. - Nie prosiłem o to.
Po prostu mnie naszło.

Zdaje mi się, że pokora i nonszalancja są cechami młodości.

— Opowiedz mi o swej wizji.

Pospiesznie oceniłem tego barczystego, włochatego i dość cuchnącego czarownika. Niewiele było tak naprawdę do ocenięcia.

— To zdarzyło się we śnie — rzekłem. — Zobaczyłem króla Piekieł, który przykucnął na węglach piekielności. Przemówił do mnie i powiedział, abym przemierzył wzdłuż i wszerz Morindicum w poszukiwaniu tego, co zawsze było ukryte. Teraz właśnie szukam.

Oczywiście był to czysty bełkot, ale myślę, że określenie „piekielność”, które na poczekaniu wymyśliłem, przemówiło do niego.

Zawsze radziłem sobie ze słowami.

-Abyś przetrwał owo poszukiwanie, przyjmę cię na swego ucznia - i niewolnika.

Zdarzały mi się lepsze propozycje, ale postanowiłem nie targować się. Byłem tu, aby się uczyć, nie walczyć ze złymi manierami.

- Wydajesz się niechętny - zauważył.

- Nie jestem najmądrzejszym z ludzi, Mistrzu - przyznałem.

— Mam niewielką biegłość w magii. Szczęśliwszy będę, jeśli tym brzemieniem obarczysz innego.

— Jednakże do ciebie należy jego dźwiganie - wrzasnął na mnie. — Spójrz na dar, który mogę ofiarować. — Płonącym palcem wskazującym wywołał na powierzchni wody wizerunek, najwyraźniej nie zważając na to, iż wartki nurt strumienia poniósł go, nim skończył kreślenie rysunku.

Wywołał demona Pana, jednego z uczniów króla Piekieł. Gdy teraz o tym myślę, mam wrażenie, że to był Mordja. Wiele lat później spotkałem Mordję, i wydawał mi się trochę znajomy.

- Cóżeś uczynił? - zapytał Mordja swym okropnym głosem.
- Wezwałem cię, abys był mi posłuszny - oznajmił mój przy
szły nauczyciel, nie bacząc na fakt, że wywołany przez niego wize
runek oddalił się już pół mili w dół strumienia.

Mordja, jeśli to był on — roześmiał się.

- Spójrz na lustro wody, głupcze - powiedział. - Nie jest już
dla ciebie osłoną. Toteż... - Wyciągnął ogromną, łuskowatą rękę,
pochwyił mego „Mistrza” i odgryzł czarownikowi głowę. — Tro
chę cienki — zauważył, zgniatając czaszkę i mózg w swych straszli
wych zębiskach. Niedbale odrzucił nadal drgające zwłoki i zwró
cił na mnie zgubne spojrzenie swych oczu.

W tym momencie dość pospiesznie oddaliłem się z tego
miejsca.

W końcu znalazłem mniej popisującego się czarownika, który
zgodził się przyjąć mnie do siebie. Był bardzo stary, co stanowiło
zaletę, ponieważ od ucznia czarownika wymaga się, by pozostał
niewolnikiem swego „Mistrza” do końca jego życia. Czarownik
mieszkał samotnie na żwirowym brzegu jednego ze strumieni w
kopulastym namiocie ze skór woła pizmowego. Wokół namiotu
leżały resztki z kuchni, jako że miał zwyczaj wyrzucać śmieci
przed swą siedzibę, zamiast je zagrzebywać. Brzeg porośnięty był
zaroślami spowitymi latem w chmary komarów.

Czarownik mamrotał coś bez sensu, ale zrozumiałem, że jego
klan został wyniszczony w jednej z tych wojen, które wciąż wy
buchały między Morindimami.

Od tamtego czasu datuje się moja pogarda dla „magii”, bę
dącej przeciwieństwem tego, co my robiliśmy. Magia wymaga wiele
bezsensownego mamrotania, tanich jarmarcznych trików i
symboli rysowanych na ziemi. Oczywiście nic z tego nie jest na
prawdę konieczne; ale Morindimowie w to wierzą, a ich wiara
sprawia, że staje się tak w istocie.

Mój cuchnący stary „Mistrz” rozpoczął od chochlików - paskudnych karzełek sięgających nam do kolan. Gdy to już opanowałem, przeszedłem do diabłów, a potem ponownie do straszyci. Po kilku latach w końcu uznał, że byłem gotowy, by spróbować swej ręki na w pełni wyrośniętym demonie. Z mrozącą nie-dbałością uprzedził mnie, iż pewnie nie przeżyję tej próby. Po tym, co stało się z moim pierwszym „Mistrzem”, doskonale wiedziałem, o czym myślał.

Przebrnąłem przez te wszystkie nonsensowne rytuały i przywołałem demona. Nie był to bardzo duży demon, ale dla mnie wystarczający. Cały sekret z demonami polega na tym, aby nadać im kształty wymyślone przez siebie, a nie ich naturalne postaci. Dopóki będą uwięzione w wyobrażonych przez nas kształtach, muszą być nam posłuszne. Jeśli uda im się wyrwać z więzów i wrócić do swej prawdziwej postaci, wpadniemy w kłopoty.

Stanowczo odradzam wam wypróbowywanie tego.

* * *

W każdym razie udało mi się trzymać swego średnich rozmiarów demona pod kontrolą, więc nie mógł zwrócić się przeciwko mnie. Zmusiłem piekielnego stwora do wykonania kilku prostych sztuczek - zamiany wody w krew, podpalenia skały, wysuszenia akra trawy - wiecie, o jakich sztuczkach mówię - a potem, ponieważ byłem już zmęczony polowaniem w celu zdobycia pożywienia, wysłałem demona z poleceniem przyniesienia kilku wołów piżmowych. Pierchnął wyjąc i warcząc, by wrócić po półgodzinie z zapasem mięsa wystarczającym mnie i mojemu „Mistrzowi” na miesiąc. Potem odesłałem go z powrotem do Piekieł.

Podziękowałem mu na koniec, co sprawiło demona w nie-małe zakłopotanie.

Na starym czarowniku zrobiło to duże wrażenie, ale wkrótce potem rozchorował się. Pielęgnowałem go w czasie choroby najlepiej, jak potrafiłem, a gdy umarł, sprawilem „Mistrzowi” przyzwoity pogrzeb. Wówczas uznałem, że dowiedziałem się już, ile trzeba o Morindimach. Pozbyłem się więc swego przebrania i wróciłem do domu.

W drodze powrotnej do Doliny natknąłem się w zagajniku ogromnych drzew w pobliżu małej rzeczki na domek pokryty strzechą. Stał na północnym krańcu Doliny, którą przechodziłem już wielokrotnie. Mógłbym przysiąc, że nigdy przedtem nie było tam żadnego domu. Co więcej, z całą pewnością wiedziałem, że poza mieszkańcami wież w samej Dolinie, w promieniu pięciuset lig nie było ludzkiej siedziby. Ciekawiło mnie, kto mógł zbudować chatę w tak odludnym miejscu, więc skierowałem się ku jej wejściu, by dowiedzieć się, kim byli owi twardzi pionierzy.

W domku mieszkała jedna osoba - młoda kobieta, choć może tylko na taką wyglądała. Miała brązowe włosy i oczy w niezwykłym złotym kolorze. Dziwne, nie nosiła żadnych butów. Zwróciłem uwagę na jej śliczne stopy.

Stała w wejściu, jakby się mnie spodziewała. Przedstawiłem się, informując, że jesteśmy sąsiadami. Wydawało się, iż nie zrobiło to na niej wielkiego wrażenia. Wzruszyłem ramionami, myśląc, że być może kobieta należy do tych ludzi, którzy wolą samotność. Miałem zamiar się pożegnać, gdy zaprosiła mnie na kolację. Dziwna rzecz, zbliżając się do chaty nie byłem szczególnie głodny, ale kiedy tylko wspomniła o jedzeniu, natychmiast poczułem wilczy apetyt.

Wnętrze domku było czyste i przytulne, pełne owych drobiazgów, po których od razu można poznać siedzibę zamieszkaną przez kobietę, w odróżnieniu od pełnych nieładu chat mężczyzn. Pomieszczenie było znacznie większe, niż sugerowałoby określenie „chata”, i choć nie powinno mnie to obchodzić, zastanawiałem się, po co jej tyle miejsca.

W oknach wisiały zasłonki, a na parapetach i błyszczącym dębowym stole stały gliniane dzbany pełne polnych kwiatów. Ogień wesoło płonął w palenisku, na którym bulgotał spory kociołek. Z kociołka i od bochenków świeżo upieczonego chleba rozchodziły się cudowne zapachy.

- Ktoś jest ciekaw, czy nie chciałbyś umyć się przed jedzeniem — zapytała delikatnie.

Jeśli mam być szczery, nawet o tym nie pomyślałem.

Kobieta zaś moje wahanie wzięła za zgodę. Napełniła mi cebrzyk ciepłą wodą, dała płócienny ręcznik i kostkę brązowego, wiejskiego mydła.

- Tam - powiedziała, wskazując na drzwi.

Wyszedłem na zewnątrz, ustawiłem cebrzyk przy drzwiach i umyłem sobie twarz i ręce. Pod wpływem impulsu zdjąłem tunikę i umyłem również tułów. Wytarłem się ręcznikiem, naciągnąłem tunikę i ponownie wszedłem do środka.

- O wiele lepiej - powiedziała z aprobatą. Potem wskazała stół. — Usiądź, przyniosę ci jedzenie.

Zdjęła glinianą misę z półki, stąpając cicho bosymi stopami po wyszorowanej do czysta podłodze. Potem przyklękła przy palenisku, napełniła naczynie i podała mi jedzenie, jakiego od lat już nie jadłem.

Jej bezceremonialne zachowanie wydawało się nieco dziwne, ale jak myślę, można je było położyć na karb skrepowania, jakie wszyscy czujemy przy spotkaniu z nieznanym.

Gdy zjadłem, pewnie więcej niż powinienem, rozmawialiśmy i stwierdziłem, że owa brązowowłosa kobieta jest niespotykane rozsądna. To znaczy, przeważnie zgadzała się z moim zdaniem.

* * *

Czy zwróciliście na to kiedykolwiek uwagę? Ocenę inteligencji innych opieramy niemal całkowicie na tym, w jakim stopniu

ich sposób myślenia jest zgodny z naszym. Mam pewność, że są ludzie, którzy w znacznym stopniu nie zgadzają się ze mną w większości spraw, i jestem na tyle tolerancyjny, by przyznać, że być może nie są kompletnymi idiotami; ale o wiele bardziej wolę towarzystwo ludzi, którzy są tego samego co ja zdania.

* * *

Jej towarzystwo sprawiało mi przyjemność. Wynajdywałem więc wymówki, by jeszcze nie odejść. Była zdumiewająco przystojną kobietą i rozsiewała wokół siebie woń, która przyprawiała mnie o zawrót głowy. Powiedziała, że nazywa się Poledra i spodobało mi się brzmienie jej imienia. Stwierdziłem, że niemal wszystko mi się w niej podoba.

- Ktoś jest ciekaw, jak tobie jest na imię - powiedziała, gdy sama się przedstawiła.

- Belgarath - odparłem - i jestem pierwszym uczniem Boga Aldura.

-Jakie to niezwykle - zauważyła, a potem roześmiała się, trącając mnie w ramię, jakbyśmy znali się od lat.

Zamarudziłem w jej chatce kilka dni, po czym z żalem powiedziałem, że muszę wracać do Doliny, by złożyć sprawozdanie memu Mistrzowi z tego, co dzieje się na północy.

- Pójdę z tobą - rzekła. - Z tego, co mówisz, w twojej Dolinie dzieją się zdumiewające rzeczy, a ja zawsze byłam ciekawa.

Poledra zamknęła drzwi swej chaty i wróciła ze mną do Doliny.

Dziwne, mój Mistrz czekał na nas i powitał uprzejmie Pole-drę. Nie mam pewności, ale zdawało mi się, że wymienili tajemnicze spojrzenie, jakby znali się i dzielili jakiś sekret.

W porządku. Nie jestem głupi. Naturalnie miałem pewne podejrzenia, ale z czasem stawały się one coraz mniej ważne i w końcu całkiem wyrzuciłem je z myśli.

* * *

Poledra wprowadziła się do mojej wieży. Nigdy tego nie omawialiśmy; po prostu zamieszkała za mną. Zdziwiło to nieco moich braci, ale gotów byłem walczyć z każdym, kto okazałby się na tyle nieokrzesany, aby sugerować, iż było w tym coś niewłaściwego. Muszę jednak przyznać, że wystawiło to moją wolę na poważną próbę, ale wytrzymałem. To zawsze z jakiegoś powodu zdawało się Poledrę bawić.

Tej zimy sporo myślałem o naszej sytuacji i ostatecznie podjąłem decyzję - decyzję, którą Poledra najwyraźniej podjęła dawno temu. Na wiosnę pobraliśmy się. Mistrz osobiście, pomimo obowiązków, jakie na nim spoczywały, pobłogosławił ten związek.

Nasze małżeństwo było szczęśliwe, pełne czułości i dodające otuchy. Nigdy nie myślałem o rzeczach, które roztropnie usunąłem ze swego umysłu, więc nic nie zaciemniało horyzontu. Ale to już jest oczywiście inna historia.

* * *

Nie poganiajcie mnie. Dojdziemy do tego - wszystko w swoim czasie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jestem pewny, że zrozumiecie, iż w owym czasie nade wszystko pragnąłem pokoju na świecie. Mężczyzna świeżo po ślubie ma lepsze rzeczy do robienia niż studzenie wojowniczości innych. Niestety nie minęło kilka lat od mojego ożenku, gdy wybuchła wojna pomiędzy klanami Alornów. Aldur wezwał do swej wieży bliźniaków i mnie, gdy tylko dotarła do nas wieść o tym idiotyzmie.

- Musicie się tam udać - powiedział tonem, który nie zachęcał do sprzeciwu. Mistrz rzadko nam rozkazywał, więc gdy to już czynił, słuchaliśmy go uważnie. - Sprawą zasadniczej wagi jest, aby obecny ród rządzący Alornią pozostał przy władzy. Z tej linii będzie wywodzić się ktoś o żywotnym znaczeniu dla naszej sprawy.

Perspektywa pozostawienia Poledry nie była zbyt porywająca, ale nie miałem zamiaru zabierać jej na wojnę.

- Czy zaopiekujesz się moją żoną, Mistrzu? - zapytałem. To było głupie pytanie, oczywiście. Naturalnie, że otoczy ją opieką, ale pragnąłem, aby zrozumiał, jak niechętnie wyruszam do Alornii i z jakiego powodu.

- Będzie ze mną bezpieczna — zapewnił mnie.

Bezpieczna, być może, ale nie szczęśliwa. Początkowo sprzeczała się ze mną o to, ale dałem jej do zrozumienia, że to polecenie Aldura, co nie było tak do końca kłamstwem, prawda?

—To nie potrwa zbyt długo — obiecałem jej.

—Oby - odparła. — Ktoś chce, byś zrozumiał, że ktoś jest z te go powodu niezadowolony.

Następnego ranka opuściliśmy z bliźniakami Dolinę i ruszyliśmy na północ. Przy domku, w którym spotkałem Poledrę, czekała wilczyca. Belkira i Beltira wydawali się tym nieco zaskoczeni. Ja chyba nie.

—Kolejne z tych zadań? - zapytała.

—Tak - odparłem obojętnie — i ktoś nie potrzebuje towarzysztwa.

—Twoje potrzeby mnie nie obchodzą - odrzekła równie obojętnym tonem. - Pójdę z tobą, czy będziesz sobie tego życzył, czy nie.

—Jak chcesz — poddałem się. Dawno temu nauczyłem się, że nie ma co jej rozkazywać.

We czworo dotarliśmy do granicy Alorn ii i zaczęliśmy rozglądać się za Belarem. Sądzę, że nas unikał. Nie potrafiliśmy go znaleźć. Oczywiście w każdej chwili mógł przerwać wojnę klanów, ale był straszliwym uparciuchem. Absolutnie nie chciał opowiadać się po żadnej ze stron, gdy jego Alornowie wszczynali waśnie. Bezstronność jest pewnie dobrą cechą u Boga, ale w tym wypadku to był absurd. W końcu zrezygnowaliśmy z poszukiwań i udaliśmy się do ujścia rzeki, która nosiła imię naszego Mistrza. Przed nami rozciągała się zatoka nazwana później Zatoką Cherek. Dostrzegliśmy statki na jej wodach. Nie wyglądały na pełnomorskie. Płaskodenne łodzie ze ściętym dziobem nie pasowały mi do wyobrażenia o pirackich okrętach prujących fale. Po dyskusji postanowiliśmy zmienić postaci i przelecieć nad zatoką, aby uniknąć spotkania z tymi ciekącymi baliami.

— Ktoś zauważył, że nadal nie nauczyłeś się dobrze latać — stwierdziła śnieżnobiała sowa frunąca u mego boku.

—Poradzę sobie — powiedziałem, bijąc skrzydłami powietrze.

—Ale niezbyt dobrze.

Zawsze musiała mieć ostatnie słowo, więc nie zaprzętałem sobie głowy odpowiedzią. Miałem tego skoncentrowałem się na utrzymaniu piór w ogniu z dala od wody.

Lot zdawał się trwać wiecznie. W końcu dotarliśmy do prymitywnego portu, który znajdował się w miejscu, gdzie dziś wznosi się Val Alorn, i wyruszyliśmy na poszukiwania potomka w prostej linii króla Chaggata, króla Uvara. Znaleźliśmy go rąbiącego drewno na podwórzu za swoim długim domem. Ran Vordue IV, panujący wówczas imperator Tolnedry, miał siedzibę w pałacu. Uvar władał imperium przynajmniej kilkanaście razy większym od Tolnedry, ale mieszkał w długiej chacie z ciekącym dachem i chyba nawet nie przyszło mu na myśl, by rozkazać jednemu ze swych niewolników narąbać drewna na opał. Niewolnictwo w rzeczywistości nie zdało egzaminu, jako że z Alornów marni niewolnicy. Nigdy nie zostało też zniesione. Po prostu poszło w zapomnienie. W każdym razie Uvar, rozebrany do pasa, spocony jak myś, z zapamiętaniem rąbał drewno.

- Witaj, Belgaracie - pozdrowił mnie, wbijając siekierę w pień i ocierając pot z brodatej twarzy. Pozostawałem w kontakcie z kolejnymi królami Alornii, więc znał mnie z widzenia.

- Witaj, Uvarze - odparłem. - Co tu się dzieje?

- Rąbię drewno - oświadczył z bardzo poważną miną.

- Tak - rzekłem - zauważyłem to, ale nie o to pytałem. Słyszeliśmy, że pod twoim nosem toczy się wojna.

Uvar miał małe świńskie oczka. Spojrzał na mnie zezem z za swego wielkiego, złamanego nosa.

- Ach, o to chodzi — powiedział. - To żadna wojna. Poradzę sobie z tym.

- Uvar - odezwałem się z całą cierpliwością, na jaką mogłem się zdobyć — jeśli masz zamiar zrobić z tym porządek, to nie są dzisz, że czas by było zacząć? To już trwa od półtora roku.

- Byłem trochę zajęty, Belgaracie — odparł tonem usprawie-

dliwienia. - Musiałem załatać dach i nadciąga zima, więc należy zgromadzić drewno na opał.

Czy dacie wiarę, że ten człowiek był w prostej linii przodkiem króla Anhega?

Aby ukryć swe rozdrażnienie, przedstawiłem mu bliźniaków.

- Wejdźmy do środka — zaproponował. — Mam beczułkę nie złego ale i jestem już trochę zmęczony tym rąbaniem drewna'.

Belkira i Beltira skryli uśmiech, który pojawił im się na twarzach. Weszliśmy do „pałacu” Uvara, koślawej chaty z brudną podłogą i najprymitywniejszymi meblami, jakie można sobie wyobrazić.

- Co było przyczyną tej wojny, Uvarze? - zapytałem króla Alornii, gdy przysunęliśmy sobie krzesła do chwiejnego stołu i skosztowaliśmy jego ale.

- Religia, Belgaracie - odparł. - Czyż nie jest ona przyczyną wszystkich wojen?

- Nie zawsze, ale o tym możemy porozmawiać innym razem. Jak religia mogła wywołać wojnę w Alornii? Przecież wy wszyscy czcicie Belara.

- Niektórzy bardziej od innych — powiedział z kwaśną miną. — Pomysł Belara, by dopaść Angaraków, jest pewnie bardzo do bry, ale nie możemy się do nich dostać, ponieważ stoi nam na drodze ocean. Na wschodzie jest pewien tępotłowy kapłan.

I to mówi Uvar? Aż wzdrygnąłem się na myśl, jak głupi musiał być ów kapłan, że Uvar to zauważył!

- W każdym razie - ciągnął dalej - ten kapłan zebrał coś w rodzaju armii i chce uderzyć na królestwa południa.

- Dlaczego?

Uvar wzruszył ramionami.

- Pewnie dlatego, że tam są. Gdyby ich tam nie było, nie chciałby na nie najechać, prawda?

Przewyciężyłem w sobie chęć pochwycenia Uvara i potrząśnięcia nim.

—Czy jakoś go obrazili? - zapytałem.

—Nic o tym nie słyszałem. Widzisz, Belara nie ma już od dość dawna. Czasami nachodzi go tęsknota za minionym, więc zabrał kilka dziewcząt, grupę wojowników, parę beczulek piwa i poszedł pobiwakować sobie w lesie. Upłynęło już kilka lat, od kąd zniknął. W każdym razie ów kapłan postanowił, iż południe we królestwa powinny przyłączyć się do nas, gdy ruszymy na wojnę z Angarakami i że pewnie będzie wygodniej, gdybyśmy wszyscy oddawali cześć temu samemu Bogu. Przyszedł do mnie z tym szalonym pomysłem, a ja rozkazałem kapłanowi o tym zapomnieć. On jednakże mnie nie posłuchał i zaczął głosić swe poglądy w innych klanach. Potrafił przekonać połowę z nich, by przyłączyli się do niego, ale reszta pozostała mi wierna. Walczą z sobą gdzieś tam - machnął ręką na wschód. - Myślę, że klany, które zwerbował, bardziej są zainteresowane splądrowaniem południowych królestw niż religią. Naprawdę religijni sformowali coś, co nazywają kultem niedźwiedzia. To ma chyba jakiś związek z Belarem - tylko, że Belar nic o tym nie wie.

Osuszył swój kufel i poszedł do spiżarki po więcej ale.

— On nie ma zamiaru się ruszyć, dopóki nie skończy rąbania drewna - powiedział cicho Belkira.

Kiwnąłem posepnie głową.

—Zobaczcie, czy nie dałoby się tego przyspieszyć - zasugerowałem.

—Czy to nie jest małe szachrajstwo? - zapytał Beltira.

—Być może, ale musimy sprawić, by się ruszył przed nadejściem zimy.

Blizniacy skinęli głowami i wyszli.

Uvar był nieco zaskoczony tym, jak urosła jego sterta drewna, gdy ponownie wyszedł na dwór.

— No cóż — powiedział - skoro to już załatwione, teraz pewnie wypada zrobić porządek z tą wojną.

W ciągu następnych kilku miesięcy bliźniacy i ja okrutnie naoszukiwaliśmy i wkrótce goniliśmy już zbuntowane klany. Do- szło do całkiem sporej bitwy na wschodniej równinie, tam gdzie teraz jest Gar og Nadrak. Uvar może nie był zbyt lotny, ale jako dobry taktyk znał korzyści płynące z zajęcia i utrzymania pozycji na wzniesieniu oraz ukrycia przed wrogiem pełnych rozmiarów swych sił. W nocy po cichu zajęliśmy wzgórze. Oddziały Uvora pokryły zbocze zaostrozonymi palikami, tak że wy- glądało jak jeż. Tyły swej armii schował po drugiej stronie wznie- sienia.

Zbuntowane klany i wyznawcy kultu niedźwiedzia obozowali na równinie. Następnego ranka stwierdzili, że mają na karku Uvara. Ponieważ zaś byli Alornami, zaatakowali.

Większość ludzi nie pojmowała celu rozmieszczenia tych ostrych palików. Ich zadaniem nie było przebijanie wrogów. Miały spowolnić nieprzyjaciół na tyle, by stanowili wygodny cel. Tego ranka łucznicy Uvara mieli pełne ręce roboty. Potem, gdy rebelianci byli w połowie zbocza, Uvar zadał w swój róg i oddziały tylnej straży uderzyły dwoma szerokimi skrzydłami na tyły wroga.

Ta taktyka całkiem dobrze zdała egzamin. Wojownicy klanów i wyznawcy kultu nie mieli wyboru, więc nadal parli w górę zbocza, tnąc paliki mieczami i siekierami. Założyciel kultu niedźwiedzia, potężny facet o złym spojrzeniu, zbliżył się do nas, wycinając sobie drogę. Zdaje mi się, że ten biedny diabeł wpadł w szał. W każdym razie, gdy już przedarł się przez wszystkie paliki, miał pianę na ustach.

Uvar czekał na niego. Jak się okazało, miesiące spędzone przez króla Alornii na rąbaniu drewna nie poszły na marne. Nie zmieniając nawet wyrazu twarzy, uniósł swą siekiere i rozłupał zbuntowanego kapłana Belara jednym potężnym cięciem od głowy po pępek. Po tym zajściu opór załamał się i kult niedźwiedzia

stał się potajemny. Zbuntowane klany zaś nagle polubiły bardzo swego króla i ponownie złożyły mu hołd.

* * *

Widzicie teraz, czemu wojny mnie denerwują? Zawsze jest tak samo. Wielu ludzi ginie, a w końcu cała sprawa zostaje załatwiona przy stole obrad. Myśl, by najpierw zacząć od prób porozumienia, nie przychodzi nikomu do głowy.

Zmroziła mnie uwaga wilczycy.

- Ktoś jest ciekaw, co oni mają zamiar począć z tym całym mięsem - powiedziała. Włos zjeżył mi się na karku, ale dostrzegłem sposób położenia kresu wojnom. Gdyby zwycięska armia musiała zjeść pokonanych, wojna stałaby się o wiele mniej atrakcyjna. Wystarczająco długo byłem wilkiem, aby wiedzieć, że smak mięsa zależy od diety, a zwiędzłe piwo nie jest najlepszą przyprawą.

* * *

Uvar w pełni przejął kontrolę, więc bliźnięta, wilczyca i ja wróciliśmy do Doliny. Wilczyca, oczywiście, opuściła nas, gdy dotarliśmy do chatki Poledry. Moja żona zaś oczekiwała mnie w wieży, i wydawało się, że cały czas tam była.

Belmakor wrócił podczas naszej nieobecności, ale zamknął się w swej wieży i nie odpowiadał na wezwania. Mistrz oznajmił, że nasz brat z jakiejś przyczyny wpadł w głęboką depresję. Zналиśmy Belmakora na tyle, by wiedzieć, że nie uznaje żadnych prób pocieszenia go. Depresja Belmakora zawsze budziła we mnie pewne podejrzenia. Gdybym kiedykolwiek mógł je potwierdzić, to wróciłbym tam, gdzie teraz jest Belzedar, i umieścił go w o wiele mniej przyjemnym miejscu.

To bolesny epizod, więc nie będę się nad nim rozwodził. Po kilku latach melancholijnego dumania nad beznadziejnością na-

szych nie kończących się zadań, Belmakor poddał się i postanowił pójść w ślady Belsambara.

Myślę, że jedynie obecność Poledry powstrzymywała mnie przed popadnięciem w obłęd. Moi bracia odchodzili i nic nie mogłem zrobić, by temu zapobiec.

Oczywiście Aldur wezwał z powrotem do Doliny Belzedara i Beldina. Beldin był w Nyissie, pilnując poczynań Wężowego Ludu, Belzedar zaś, jak uznaliśmy, nadal znajdował się w Mallorei, choć przybycie nie zajęło mu wiele czasu. Wydawało się, że dziwnie niechętnie dzielił z nami smutek i z tego powodu nie spodziewałem się po nim zbyt wiele. Z biegiem lat Belzedar zmienił się. Nadal nie chciał wyjawić nam żadnego szczegółu swego planu odzyskania Globu - choć prawdę powiedziawszy nie mieliśmy zbyt wielu okazji do porozmawiania z Belzedarem o tym, gdyż wyraźnie nas unikał. Miał osobliwie nawiedzony wyraz twarzy, który moim zdaniem nie był w ogóle powiązany z naszym smutkiem. Wydawało się, że jest w tym coś zbyt osobistego. Po tygodniu poprosił Aldura, żeby mu pozwolił odejść, po czym wrócił do Mallorei.

- Ktoś zauważył, że twój brat jest zaniepokojony — powiedziała Poledra po tym, jak nas opuścił. - Wydaje się, że próbuje iść naraz dwiema ścieżkami. Jego umysł jest podzielony i nie wie, która ścieżka jest tą właściwą.

- Belzedar zawsze był nieco dziwny - przyznałem.

- Ktoś sugeruje, że nie powinieneś zanadto mu ufać. Nie mówi ci wszystkiego.

- On nie mówi mi niczego - odparowałem. - Nigdy nie był wobec nas całkowicie szczery, odkąd Torak ukradł Mistrzowi Glob. Je śli ja mam być szczery, ukochana, nie przepadałem za Belzedarem na tyle, aby teraz nie spać po nocach dlatego, że nas unika.

- Powtórz to - rzekła z ciepłym uśmiechem.

- Co mam powtórzyć?

- Ukochana. To mile słowo, a ty nie używasz go zbyt często.

- Przecież wiesz, co do ciebie czuję, moja droga.

- Ktoś lubi, gdy mu to mówić.

- Zrobię wszystko, co cię uszczęśliwia, ukochana.

Nigdy nie zrozumiem kobiet.

Zastanawialiśmy się jakiś czas z Beldinem nad powściągliwością Belzedara, ale ostatecznie uznaliśmy, że niewiele możemy na to poradzić.

Potem Beldin poruszył bardziej palący problem.

- W Maragorze są niepokoje - powiedział.

-Tak?

- Usłyszałem o tym w drodze powrotnej z Nyissy. Spieszyłem się, więc nie miałem czasu, aby się temu bliżej przyjrzeć.

- O co chodzi?

- Jakiś dureń błędnie odczytał jeden z ich świętych tekstów. Mara musiał chyba przysnąć, gdy je dyktował. A może skryba, który notował, źle go zrozumiał. Chodzi o słowo „przyjmować”. Z tego, co zdołałem pojąć, Maragowie traktują to dosłownie. Robią wypadki za granicę. Chwytają Tolnedran lub Nyissan i zabierają ich do Mar Amon. Urządzają wielką religijną ceremonię i zabijają pojmanych. Potem Maragowie ich jedzą.

- Co robią?

- Słyszałeś, Belgaracie. Maragowie praktykują rytualny kani balizm.

- Czemu Mara tego nie przerwie?

- Skąd mam wiedzieć? Wrócę tam, gdy tylko Mistrz mi na to pozwoli. Myślę, że jeden z nas powinien rozmówić się z Marą. Będą kłopoty, jeśli wieści o tym dotrą do Nedry lub Issy.

- Co jeszcze złego może się wydarzyć? - wybuchnąłem rozdrażniony.

- Wiele rzeczy. Nikt nigdy nie obiecywał ci chyba, że życie będzie łatwe, prawda? Udam się do Mar Amon i zobaczę, co się da zrobić. Przyślę po ciebie, jeśli będę potrzebował pomocy.

- Informuj mnie.

-Jeśli znajdę coś godnego uwagi. A jak sobie radzisz z Poledrą?

Uśmiechnąłem się z przymusem.

- To obrzydliwe, Belgaracie. Zachowujesz się jak młokos.

- Wiem i cieszę się każdą minutą.

- Zamierzam wpaść do bliźniaków. Jestem pewny, że mają pod ręką beczułkę dobrego ale. Ostatnie kilka dziesięcioleci spędziłem w Nyissie, a Nyissanie nie gustują w piwie. Kosztują innych rozrywek.

—Jakich?

- Pewne liście, jagody i korzenie czynią ich tak szczęśliwymi. Większość Nyissan żyje w wiecznym zamroczeniu. Pójdiesz ze mną do bliźniaków?

- Chyba nie, Beldinie. Poledra nie lubi, gdy mój oddech pachnie piwem.

- Pantoflarz z ciebie, Belgaracie.

- Nie przeszkadza mi to ani trochę, bracie - powiedziałem, uśmiechając się głupkowato. Beldin odszedł mrużąc coś pod nosem.

W ciągu następnych stuleci wojny między klanami Alornów wybuchały jeszcze kilkakrotnie. Wyznawcy kultu niedźwiedzia nadal prowadzili agitację wśród klanów, ale królowie Alornii panowali nad sytuacją. Zwykle atakowali twierdze kultu i po prostu wdeptywali jego wyznawców w ziemię. Alornowie ze swoistym urokiem rozwiązują swe problemy.

Chyba gdzieś w połowie dziewiętnastego wieku otrzymałem pilne wezwanie od Beldina. Nyissanie zapuszczali się po niewolników do Maragoru, a Maragowie w odpowiedzi najechali ziemię Wężowego Ludu. Przeprowadziłem długą rozmowę z Poledrą i stanowczo powiedziałem jej, że chcę, aby została w Dolinie podczas mojej nieobecności. Domagałem się uznania minimum wła-

dzy należnego przywódcy sfory i ona zdawała się to akceptować - chociaż z Poledrą nigdy nie można być zupełnie tego pewnym. Oczywiście dąsała się. Poledra potrafi dąsać się w zachwycający sposób. Garion raczej to zrozumie, ale wątpię, czy ktoś jeszcze.

Ucałowałem żonę i ruszyłem do Maragoru - choć nie byłem pewny, co wedle Beldina mogłem zdziałać. Próby podtrzymania ducha w wodzach Maragów można by nazwać daremnym wysiłkiem. Mężczyźni Maragów byli atletami o kurzych mózdzkach. A ich kobiety zdawały się z tego całkowicie zadowolone. Pragnęły wigoru, nie inteligencji.

✱ fy fy

Dobrze, Polgaro, nie tup. Lubię Maragów. Mieli swoje dziwactwa, ale potrafili cieszyć się życiem.

*

Najazd Maragów na Nyisę okazał się kompletną katastrofą. Nyissanie, podobnie jak węże, które tak adorowali, po prostu zniknęli w dżungli, ale zostawili kilka niespodzianek najeźdźcom. W Nyisie farmakologia jest rodzajem sztuki. Nie po wszystkich jagodach i liściach rosnących w ich lasach ludzie czują się dobrze. Wiele z nich ma wręcz przeciwne działanie - choć trudno mieć co do tego pewność. Całkiem możliwe, że tysiące zeszyw-niałych Maragów dostało konwulsji i umarło z powodu spożycia zdawałoby się niegroźnych roślinek.

Z ponurym uporem Maragowie parli dalej, co jakiś czas zatrzymując się, by upiec i zjeść kilku więźniów. Dotarli do Sthiss Tor, stolicy Nyissy, ale królowa Salmissara i wszyscy mieszkańcy miasta zdążyli już rozpląnąć się w dżungli, zostawiając składy pełne pożywienia. Tępogłowi Maragowie zabrali się za ucztowanie, co okazało się fatalnym w skutkach błędem.

Czemu otaczają mnie ludzie niezdolni wyciągnąć nauki z doświadczenia? Nie musiałbym oglądać tylu zmarłych na „niestraw-

ność", by obudziło to we mnie podejrzenia co do źródła pożywienia. Wyobraźcie sobie, że Nyissanie nawet zatruli swe bydło w tak subtelny sposób, że wyglądało ono na całkowicie zdrowe, ale gdy Marag zjadł stek lub pieczeń z takiego zwierzęcia, to natychmiast robił się czarny na twarzy i konał z pianą na ustach. Ponad połowa wszystkich mężczyzn Maragów zmarła w czasie tej nieszczęsnej inwazji.

Sprawy zaczynały wymykać się z rąk. Mara nie będzie patrzył spokojnie, jak Nyissanie wyniszczają jego dzieci, lada moment mógł zdecydować się na interwencję. A gdy to uczyni, śpiący Issa będzie zmuszony się obudzić i odpowiedzieć. Issa był dziwny. Po pęknięciu świata po prostu przekazał sprawowanie rządów nad Wężowym Ludem swej najwyższej kapłance, Salmissarze, a sam zapadł w sen. Zdaje się, że nie przyszło mu na myśl, by w jakiś sposób przedłużyć kapłance życie, więc z czasem umarła. Wężowy Lud nie kłopotał się obudzeniem Issy po jej śmierci. Po prostu wybrali następczynię Salmissary.

Wyruszyliśmy z Beldinem na poszukiwanie ówczesnej królowej, aby zaproponować jej mediacje w sprawie wycofania Maragów. W końcu znaleźliśmy Salmissarę głęboko w dżungli. Siedziba królowej była niemal identyczna jak pałac w Sthiss Tor. Prawdopodobnie po całej Nyissie miała porzucane swoje siedziby.

Przedstawiliśmy się jej eunuchom, a ci zaprowadzili nas do sali tronowej, gdzie na pół leżąc podziwiała swe odbicie w lustrze. Salmissara - jak wszystkie Salmissary - pełna była absolutnego uwielbienia dla siebie.

- Zdaje się, że masz problem, wasza wysokość - powiedziałem bez ogródek, gdy wprowadzono nas przed jej oblicze. — Czy chcesz, abym z mym bratem spróbował zakończyć tę wojnę?

Wężowa kobieta nie wydawała się tym szczególnie zainteresowana.

- Nie marnuj swej energii, prastary Belgaracie - odparła, ziewając. Wszystkie Salmissary były całkowicie takie same jak pierwsza. Wybierano je przez wzgląd na ich podobieństwo do kapłanki i ćwiczone od wczesnego dzieciństwa, by były równie chłodne i obojętne. W ten sposób łatwiej było sobie z nimi rażać. Salmissara jest zawsze taką samą osobą, więc nie trzeba każdorazowo dopasowywać do niej swego myślenia.

Beldinowi jednakże udało się zwrócić uwagę węzowej kobiety.

- W porządku — rzekł równie obojętnie jak ona - jest sucha pora. Podpalimy z Belgarathem twoją cuchnącą dżunglę. Wypalimy Nysisę do samej ziemi. Potem Maragowie będą musieli pójść do domu.

Jedyny raz widziałem, by jakakolwiek Salmissara okazała jakies uczucie poza czysto zwierzęcą żądzą. Jej jasne oczy rozszerzyły się, a kredowobiała skóra zrobiła się jeszcze bielsza.

- Nie uczyniłbyś tego! - krzyknęła.

Beldin wzruszył ramionami.

- Czemu nie? To położyłoby kres tej wojnie, a jeśli pozbędziemy się wszystkich narkotyków, to być może nauczycie się robić coś produktywnego. Nie igraj ze mną, węzowa kobieto, bo przekonasz się, że potrafię być grubiański. Pozwól Maragom wrócić do domu albo wypalę Nysisę od gór po morze. Nie zostanie ani jedna jagoda czy listek — nawet te, które przedłużają ci młodość. Niemal na tychmiast zrobisz się stara, Salmissaro, wówczas wszyscy ci ładni chłopcy, których tak lubisz, stracą zainteresowanie tobą.

Spojrzała na Beldina z wściekłością, po czym jej pozbawione koloru oczy poczęły łagodnieć.

- Interesujesz mnie, paskudo — powiedziała. — Nigdy nie współżyłam z małpą.

- Daj spokój - warknął. - Lubię kobiety grube i ciepłokrwiste. Ty jesteś dla mnie za zimna, Salmissaro - oświadczył. Oto cały mój brat. Nigdy nie dał się zapędzić w koziego róg. - A zatem do-

sześliśmy do porozumienia? — naciskał. -Jeśli pozwolisz Maragom wrócić do domu, ja nie wypalę twoich cuchnących mokradel.

- Przyjdzie czas, że tego pożałujesz, uczniu Aldura.

- Moja ty słodka - odparł z tym paskudnym akcentem Wacite. - W swym długasnym życiu wielu już rzeczy żałowałem, ale rzeknę ci jedno, skarbie. Parzenie się z wężem do nich nie należy. - Potem jego oblicze przybrało twardy wyraz. — Pytam cię po raz ostatni, Salmissaro. Pozwolisz Maragom odejść, czy mam za cząć zapalać pochodnie?

I to mniej więcej był koniec wojny.

- Pięknie ją poskromiłeś, stary — pogratulowałem Beldinowi, gdy opuściliśmy kryjówkę Salmissary. — Myślałem, że jej oczy wyjdą na wierzch, gdy zaproponowałeś, że podpalisz dżunglę.

- W końcu do niej trafiło - Beldin westchnął. - To mogłoby być bardzo interesujące - powiedział tęsknie.

- Co mogłoby być?

- Nieważne.

Odprowadziliśmy kolumnę osłabionych Maragów do ich granicy. Za nami, na cuchnących mokradłach, pozostały tysiące zmarłych. Potem wróciliśmy z Beldinem do Doliny.

Gdy tylko tam dotarliśmy, Mistrz wysłał mnie do Alornii.

- Królowa Alornii jest przy nadziei — rzekł. - Ten, na którego czekaliśmy, wkrótce przyjdzie na świat. Chcę, abyś był obecny przy narodzinach i miał pieczę nad jego młodością.

— Jesteś pewny, że to ten właściwy, Mistrzu? — zapytałem.

Aldur skinął głową.

- Wszystkie znaki były obecne. Gdy go ujrzysz, poznasz od razu. Dlatego udaj się do Val Alorn. Potwierdź jego tożsamość, a potem wróć.

W ten oto sposób byłem obecny przy narodzinach Chereka o Niedźwiedzich Barach. Gdy jedna z akuserek wyniosła czerwonego, wrzeszczącego noworodka z sypiali królowej, od razu wie-

działem, że Mistrz miał rację. Nie pytajcie, skąd wiedziałem, po prostu wiedziałem. Cherek i ja byliśmy związani od początku czasu i rozpoznałem go, od pierwszego wejrzenia. Pogratulowałem ojcu Chereka i wróciłem do Doliny, aby zdać relację Mistrzowi. Miałem nadzieję spędzić nieco czasu ze swą żoną.

Kiedy Cherek był dzieckiem, wiele razy odwiedzałem Alor-nię i poznaliśmy się całkiem dobrze. Jako dziesięcioletek miał wzrost dorosłego mężczyzny i dalej rósł. Gdy wstąpił na tron w wieku lat dziewiętnastu miał ponad siedem stóp wzrostu. Poczekalem, aż przyzwyczai się do korony, a potem wróciłem do Val Alorn i zaaranżowałem jego małżeństwo. Nie pamiętam imienia dziewczyny, ale zrobiła, co do niej należało. Cherek miał około dwudziestu trzech lat, gdy na świat przyszedł jego pierwszy syn, Dras. Dwadzieścia pięć, kiedy urodził się Algar. Gdy król Alornii miał dwadzieścia siedem lat, został ojcem trzeciego syna, Rivy. Mistrz był zadowolony. Wszystko szło tak, jak powinno.

Trzej synowie Chereka rośli równie szybko jak on. Alornowie są dużymi ludźmi, ale Dras, Algar i Riva nawet wśród nich uchodzili za nieprzeciętnie wysokich. W komnacie, w której znajdowali się Cherek i jego synowie, człowiek czuł się jak w zagajniku. Czasami nadużywamy określenia „olbrzym”, ale nie było ono przesadą w odniesieniu do tej czwórki.

Jak kilkakrotnie wspominałem, Mistrz posiadał pewną wiedzę o przyszłości, ale bardzo skromnie się nią z nami dzielił. Wiedziałem, że Cherek, jego synowie i ja mieliśmy coś do zrobienia, lecz Mistrz nie chciał mi powiedzieć dokładnie co, rozumując pewnie, że gdybym wiedział zbyt dużo na ten temat, mógłbym w jakiś sposób na to wpłynąć i sprawić, że nie powiodłoby się.

Udałem się do Alornii latem, gdy Riva dobiegł osiemnastki. To była bardzo ważna rocznica w życiu młodego Alorna, ponieważ wówczas zyskiwał przydomek pasujący do jego wyglądu. Cztery lata wcześniej starszy brat Rivy został Drasem o Niedźwie-

dzim Karku, dwa lata później Algar zyskał przydomek - o Chyżych Stopach. Rivę, który miał ogromne ręce, nazwano Rivą o Żelaznej Dłoni. Szczerze wierzyłem, że potrafiły w nich skruszyć skały.

Kiedy wróciłem do Doliny, Poledra miała dla mnie małą niespodziankę.

- Ktoś zastanawia się, czy skończyłeś na jakiś czas z tymi zadaniami - powiedziała, gdy zjawiłem się w wieży.

- Ktoś ma nadzieję - odparłem. Nie rozmawialiśmy ze sobą w wilczej mowie, ale gdy byliśmy sami, wyrażałem się bardzo podobnie. - Mistrz jednak o tym zadecyduje — dodałem.

- Ktoś porozmawia z Mistrzem — rzekła. — Właściwe jest, abyś został tu jakiś czas.

- Dlaczego?

- To zwyczaj, a zwyczajów należy przestrzegać.

-Jaki to zwyczaj?

- Ten, który mówi, że ojciec powinien być obecny przy narodzinach swych młodych.

Spojrzałem na nią zaskoczony.

- Czemu mi nie powiedziałaś? - dopytywałem się.

- Właśnie to zrobiłam. Co chciałbyś na kolację?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Poledra nie przejmowała się swoim stanem.

- To naturalny proces - powiedziała ze wzruszeniem ramion.

- Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Nie zrezygnowała z wykonywania tego, co uważała za swe obowiązki, nawet wówczas gdy wyraźnie pogrubiła, a jej ruchy zaczęły być niezdarne. Żadnym słowem czy czynem nie mogłem nakłonić żony, by zmieniła swój rozkład zajęć.

W ciągu stuleci Poledra wprowadziła zasadnicze zmiany w wyglądzie mej wieży. Jak już pewnie słyszeliście, nie należą do najbardziej dbałych o porządek ludzi, ale nigdy mi to zbyt nie przeszkadzało. Odrobina bałaganu sprawia, że miejsce wygląda na zamieszkane. Po naszym ślubie wszystko uległo zmianie. W mojej wieży nie było żadnych wewnętrznych ścian, głównie dlatego, że lubiłem wyglądać przez okna w czasie pracy. Pomieszczenie urządziłem w dość przypadkowy sposób - to miejsce było przeznaczone do gotowania i jedzenia, tam pracowałem, a tu spałem. Dopóki byłem sam, taki układ świetnie zdawał egzamin. To, co robiłem, zależało od miejsca, w którym się właśnie znajdowałem.

Poledrze nie podobało się takie rozwiązanie. Myślę, że potrzebowała wyraźniejszego zaznaczenia swojej obecności. Zaczęło przybywać stołów, sof, jaskrawych zasłonek. Z jakiejś przyczyny

bardzo lubiła ostre kolory. Dywaniki, które porozkładała na kamiennej posadzce, przysparzały mi trochę kłopotów — zawsze się o nie potykałem. Jej poczynania sprawiły w końcu, iż surowe wnętrze wieży nabrało przytulności. Zdaje się, że samice wszystkich gatunków lubią przytulne siedliska. Podejrzewam, iż nawet samica węża ozdabia swe legowisko kilkoma dekoracyjnymi drobiazgami. Byłem tolerancyjny wobec tych osobliwości, ale jedno doprowadzało mnie do szału. Poledra ciągle wszystko odkładała na miejsce - i zwykle nie mogłem niczego potem znaleźć. Lubię trzymać rzeczy pod ręką, ale ledwie zdążyłem coś odłożyć, ona zaraz chowała to na półkę. Zdaje się, że zawieszenie tych półek było błędem, ale Poledra nalegała, a w początkowych latach naszego małżeństwa z ochotą spełniałem wszystkie jej zachcianki.

W sprawie zasłonek nie obyło się jednak bez ostrych dyskusji. Co kobiety w nich widzą? Jedyne zawadzają. Nie zatrzymują w zimie ciepła ani nie chronią przed upałem latem, a poza tym przeszkadzają przy wyglądaniu przez okno. Z jakiegoś powodu jednakże kobiety uważają pokój bez zasłonek za niekompletny.

Być może Poledra przechodziła okres porannych nudności, które dokuczają większości kobiet w ciąży, ale jeśli nawet, to nic mi o tym nie powiedziała. Zawsze była na nogach o pierwszym brzasku. Ja lubiłem późno wstawać, jeżeli nie miałem nic ważnego do zrobienia. Jednakże nie było to, jak może sądzić moja córka, objawem lenistwa. Po prostu lubiłem rozmawiać, a wieczory są właśnie porą rozmów. Zwykle więc kładłem się późno i wstawałem późno. Nie sypiałem dłużej niż moja żona, robiliśmy to jedynie w innych porach. W każdym razie Poledra, nawet jeśli cierpiała na te poranne przypadłości, to nie zdradziła się z tym. Nachodziły ją jednakże owe osobliwe apetyty. Początkowo, gdy poprosiła o dziwne rzeczy do jedzenia, przetrząsałem w ich poszukiwaniu całą Dolinę. Wkrótce zdałem sobie jednak sprawę, że ona

je tylko kilka kęsów. Zacząłem więc oszukiwać. Nie miałem zamiaru fundować sobie skrzydeł i lecieć nad pobliski ocean tylko dlatego, że nagle nachodził ją apetyt na ostrygi. Tworzyłem ostrygi, które smakowały niemal jak prawdziwe, więc Poledra udawała, że nie zauważa mego szachrajstwa.

Potem, gdy była w piątym miesiącu, doszliśmy do sprawy kołysek. Trochę mnie zabolalo, gdy poprosiła o ich zrobienie Belti-rę i Belkirę zamiast mnie. Zaprotestowałem, ale powiedziała mi bez ogródek:

- Nie radzisz sobie zbyt dobrze z narzędziaini. - Po czym położyła dłoń na mym ulubionym krześle i potrząsnęła nim. Przyznam, że trochę się chwiało, ale nie rozleciało się pode mną przez tysiąc lat, które na nim przesiedziałem. Więc chyba było wystarczająco solidne, prawda?

Beltira i Belkira z pasją zabrali się do robienia kołysek. Kołyśka to po prostu łóżeczko na biegunach. Jednakże te wykonane przez bliźnięta miały zawile poskręcane bieguny i misternie rzeźbione szczyty.

- Czemu dwie? - zapytałem żonę, gdy Beltira i Belkira z dumą przynieśli swe dzieła do wieży.

- Nie zawadzi być przygotowanym na każdą ewentualność — odparła. - Nie należy do wyjątku przyjście na świat kilku młodych jednocześnie — położyła dłoń na swym nabrzmiałym brzuchu. - Wkrótce będę mogła policzyć, ile serc bije. Wówczas się dowiem, czy dwie kołyśki wystarczą.

Rozważyłem znaczenie tego, co powiedziała, i postanowiłem nie drażnić dalej owego tematu. Istniały pewne sprawy, o których nie chciałem nawet myśleć, a tym bardziej mówić.

Być może ciąża Poledry dla niej samej nie była niczym nadzwyczajnym, ale z całą pewnością nie dla mnie. Tak bardzo przepełniała mnie duma, że pewnie byłem dla otoczenia nie do zniesienia. Mistrz przyjmował moją chełpliwość z pełną czułego roz-

bawienia wyrozumiałością, a Beltira i Belkira byli równie zachwyceni jak ja. Pasterzy zawsze wprawiał w radosny nastrój czas koce-
nia się owiec, więc myślę, że ich reakcja była całkiem naturalna. Beldin jednakże wkrótce dość miał mego towarzystwa i udał się do Tolnedry, by czuwać nad drugą dynastią Honethite. Tolnedranie nawiązali stosunki z Arendami i Nyissanami, ale Honeci zawsze byli zachłanni. Zdecydowanie nie chcieliśmy, aby wpadli na pomysł zagarnięcia cudzych ziem. Jedna wojna pomiędzy Bogami była całkowicie wystarczająca.

Tego roku zima przyszła wcześniej i wydawała się bardziej surowa niż zwykle. Na dalekiej północy drzewa pękały od mrozu, a śnieg tworzył ogromne zasy. Pewnego wyjątkowo mroźnego dnia, gdy z nieba sypały śnieżne grudki twarde jak kamienie, przybyło do Doliny czterech Alornów opatulonych po uszy w futra. Rozpoznałem naszych gości ze znacznej odległości, dzięki ich rozmiarom.

- Dobrze cię widzieć, prastary Belgaracie - powitał mnie Cherek o Niedźwiedzich Barach.

Chciałbym, aby ludzie mnie tak nie nazywali.

— Zawędrowałeś daleko od domu, Chereku - zauważyłem. — Czyżby były jakieś kłopoty?

- Wręcz przeciwnie, przenajświętszy - zagrzmiał Dras o By czym Karku. Dras był większy nawet od swego ojca i z jego piersi wydobywał się donośny głos. - Moi bracia znaleźli sposób na do-tarcie do Mallorei.

Spojrzałem szybko na Rivę o Żelaznej Dłoni i Algara o Chy-
zych Stopach. Riva niemal dorównywał wzrostem Drasowi, ale był od niego szczuplejszy. Miał bujną czarną brodę, a jego błękitne oczy spoglądały wyjątkowo przenikliwie. Algar, milczący brat, był gładko ogolony i miał długie nogi chyżego psa.

— Byliśmy na polowaniu — wyjaśnił Riva. - Na dalekiej półno-
cy są białe niedźwiedzie, a na wiosnę przypadają urodziny mamy.

Chcieliśmy z Algarem podarować jej narzutę z białego futra. Lubi takie, prawda? - Rivę cechowała dziwnie chłopięca niewinność. Co nie oznaczało głupoty. On po prostu był pełen entuzjazmu i gotowości, by sprawić przyjemność innym. Czasami zdawał się kipieć entuzjazmem.

Algar, oczywiście, nic nie powiedział. Prawie nigdy tego nie robił. Był najbardziej małowómnym człowiekiem, jakiego znałem.

- Słyszałem o tych białych niedźwiedziach - rzekłem. - Czy polowanie na te zwierzęta nie jest trochę niebezpieczne?

Riva wzruszył ramionami.

- Było nas dwóch - odparł, jakby to robiło jakąś różnicę niedźwiedziowi wzrostu czternastu stóp i wadze niemal tony. - W każdym razie tego roku lód był bardzo gruby na północnych rubieżach Morza Wschodniego. Zraniliśmy jednego niedźwie dzia, a on próbował przed nami uciec. Goniliśmy zwierza i wtedy znaleźliśmy przejście lądowe.

-Jakie przejście?

- To, po którym można przejść do Mallorei - wyjaśnił nie dbałym tonem, jakby odkrycie czegoś, co Alornowie usiłowali znaleźć od dwóch tysięcy lat, nie było niczym istotnym.

- Może tak powiedzielibyście coś więcej na temat tego przejścia? - zaproponowałem.

- Właśnie do tego zmierzałem. W Morindlandzie jest punkt wysunięty bardzo na wschód, a naprzeciwko niego, na ziemiach Karandów w Mallorei, punkt wysunięty na zachód. Łączy je ciąg skalistych wysepek. Niedźwiedziowi udało się jakimś sposobem nam umknąć. Tego dnia było wyjątkowo mgliście, a białego niedź wiedzia trudno wypatrzeć we mgle. Ogarnęła jednak nas z Algarem ciekawość, więc przeszliśmy lód po owym ciągu wysepek. Wczesnym popołudniem zerwał się wietrzyk i rozwiął mgłę. Rozej rzeliśmy się, a to już była Mallorea. Postanowiliśmy jednak nie za puszczać się dalej. Nie potrzebowaliśmy chyba zawiadamiać Tora-

ka, że odkryliśmy przejście, prawda? Zawróciliśmy więc. Po drodze natknęliśmy się na plemię Morindimów. Powiedzieli nam, że od wieków używali tego przejścia, by odwiedzić Karandów. Morind odda wszystko za sznur szklanych paciorków i kupcy karandyjscy chyba o tym wiedzieli. Morindimowie wymieniali kły morsów i bezcenne skóry wydr morskich oraz skóry białych niedźwiedzi za sznury szklanych koralików, jakie można kupić na każdym targowisku - oczy mu się zwężyły. - Nienawidzę, gdy ludzie oszukują innych, a ty? - Riva zdecydowanie miał własne zdanie.

Cherek uśmiechnął się ponuro.

- Mogliśmy to odkryć już dawno temu, gdybyśmy zadali sobie nieco trudu i spędzili trochę czasu z Morindimami. Przez dwa tysiące lat przetrząsaliśmy północ wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu sposobu dotarcia do Mallorei i wznowienia wojny z Angarakami, a Morindimowie przez cały ten czas znali drogę. Musimy z większą uwagą traktować naszych sąsiadów.

* * *

O ile sobie przypominam, tak mniej więcej przebiegała nasza rozmowa. Ci z was, którzy czytali „Księgę Alornu”, zauważą, że kapłan Belara, który napisał początkowe rozdziały, pozwolił sobie na bardzo dowolne potraktowanie tego materiału. To pokazuje, że nigdy nie powinniście wierzyć, że kapłani są całkowicie wierni faktom.

* * *

Spojrzałem surowo na Chereka o Niedźwiedzich Barach. Wiedziałem, do czego wszystko zmierzało.

- To bardzo interesujące, Chereku, ale dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

- Pomyśleliśmy, że chciałbyś o tym wiedzieć, Belgaracie - odparł z mistrzowsko udaną niewinnością. Cherek posiadał wiele sprytu, ale czasami potrafił być przeraźliwie szczery.

- Nie owijaj w bawełnę, Chereku - rzekłem. - Powiedz, co ci chodzi po głowie?

- To nie takie skomplikowane, Belgaracie. Pomyśleliśmy so bie z chłopcami, że moglibyśmy przepawić się do Mallorei i wy kraść Glob twego Mistrza Torakowi Jednookiemu - oświadczył to tak, jakby proponował przechadzkę po parku. - Potem przyszło nam do głowy, że może chciałbyś wybrać się razem z nami, więc postanowiliśmy przyjść tu i zaprosić cię.

- Absolutnie wykluczone - warknąłem. - Moja żona spodzie wa się dziecka i nie mam zamiaru zostawić jej samej.

- Gratulacje - mruknął Algar. To były jedyne słowa, jakie wy powiedział w ciągu całego popołudnia.

- Dziękuję - odparłem, po czym odwróciłem się do jego oj ca. — W porządku, Chereku. Wiemy, że ten twój most tam jest i będzie tam za rok. Być może wówczas zechcę dyskutować o wa szej wyprawie, ale nie teraz.

- Z tym może być problem, Belgaracie - rzekł z powagą. - Gdy moi synowie opowiedzieli mi o tym, co znaleźli, udałem się do kapłanów Belara i wypytałem ich o wróżby. To jest czas odpow iedni na wyprawę. Łód przez całe lata nie będzie już taki gruby. Potem mi powróżyli. Z przepowiedni wynika, że to może być naj- pomyślniejszy rok w całym mym życiu.

- Ty naprawdę wierzysz w te bzdury? - zapytałem. - Jesteś tak naiwny, aby myśleć, że ktoś może przewidzieć przyszłość ba wiąc się stertą owczych flaków?

Cherek wyglądał na lekko urażonego.

- To miało duże znaczenie, Belgaracie. Z całą pewnością nie wierzyłbym w tym wypadku owczym wnętrznościom.

- Cieszę się to słysząc.

- Posłużyliśmy się koniem. Wnętrzności konia nigdy nie kła mią.

Alornowie!

- Życzę wam powodzenia, Chereku - odezwałem się — ale nie idę z wami.

Jego masywna, brodata twarz przybrała bolesny wyraz.

-Jest jeszcze pewien problem, Belgaracie. Wróżby jasno powiedziały, że nie powiecie się nam, jeśli z nami nie wyruszysz.

- Możesz nawet wypatroszyć smoka, Chereku, aleja tu zosta je. Zabierz bliźniaków albo poślę po Beldina.

- To nie będzie to samo, Belgaracie. To musisz być ty. Nawet gwiazdy tak mówią.

- Astrologia również? Rozwijacie się, nieprawdą? Czy kapła ni Belara posypali gwiazdami wnętrzości?

- Belgaracie! - zawołał zszokowany Cherek. - To święto kradztwo!

- Powiedz - spytałem z sarkazmem w głosie - czy wasi kapła ni próbowali już kryształowej kuli lub herbacianych fusów?

- *Dobrze, Belgaracie, wystarczy.*

To był jeden z tych nielicznych razów, kiedy usłyszałem ten głos. Garion słyszał go od dzieciństwa, ale do mnie rzadko przemawiał. Nie trzeba dodawać, że byłem zaskoczony. Rozejrzałem się nawet dokoła, aby sprawdzić, skąd dobiega, ale nie zauważyłem nikogo. Ten głos był w mojej głowie.

- *Gotów jesteś mnie wysłuchać?* - zapytał.

- *Kim jesteś?*

- *Wiesz, kim jestem. Przestań się klócić. Wyruszysz do Mallorei i to wyruszysz teraz. To jedna z tych rzeczy, które muszą się wydarzyć. Lepiej idź porozmawiać z Aldurem.*

Potem uczucie obecności głosu w moim umyśle zniknęło. Te odwiedziny wstrząsnęły mną do głębi. Usiłowałem temu zaprzeczyć, ale rzeczywiście wiedziałem, kto do mnie mówił.

- Zaczekajcie tu - powiedziałem do króla Alornów i jego synów. - Muszę porozmawiać z Aldurem.

- Widzę, żeś zatroškany, synu — rzeki Mistrz, gdy wszedłem do jego wieży.

- Cherek o Niedźwiedzich Barach i jego przerośnięci syno wie tam są - oznajmiłem. - Znaleźli sposób na dostanie się do Mallorei i chcą, abym z nimi wyruszył. To dla mnie bardzo nieodpowiedni czas, Mistrzu. Poledra urodzi w ciągu najbliższych miesięcy i powinienem tu być. Cherek bardzo nalega, ale powiedziałem, aby jechali beze mnie.

- I? - Mistrz wiedział, że było coś więcej.

- Miałem gościa. Powiedział, że powinienem wyruszyć z nimi.

- To wielka rzadkość, synu. Cel nieczęsto zwraca się do nas bezpośrednio.

- Obawiałem się, że tak do tego podejdziesz — przyznałem ponuro. - Czy nie można odłożyć wyprawy?

- Nie, synu. CZAS jest częścią ZDARZENIA. Raz przegapiony nie wróci, a jeśli stracimy okazję, wszystko może nam się nie powieść. To wymaga od ciebie wielkiego poświęcenia, synu - większego niż kiedykolwiek - ale to musi zostać uczynionym. Nie woli nas Konieczność, a Konieczność nie znosi sprzeciwu.

- Ktoś musi zostać z Poledrą, Mistrzu - zaprotestowałem.

- Być może jeden z braci zgodzi się nią opiekować. Twoje zadanie jednakowoż jest jasne. Jeśli głos Konieczności powiedział, byś ruszył, to z całą pewnością musisz iść.

- Nie podoba mi się to, Mistrzu - narzekałem.

- To nie jest konieczne, synu. Od ciebie wymaga się, byś szedł, a nie lubił chodzenie.

Bardzo mi pomógł, nie ma co. Mruczając pod nosem, wyszedłem na dwór i skierowałem swe myśli w stronę Tolnedry.

- *Potrzebuję cię!* - zawołałem do Beldina.

- *Nie -wrzeszcz!* - odkrzyknął. - *Przez ciebie rozlałem doskonałe ale.*

- *Przestań troszczyć się o swój brzuch i wracaj.*

—*Co się stało?*

—*Muszę odejść i kłós powinien opiekować się Poledrą.*

—*Nie jestem położną, Belgaracie. Poproś o to bliźniaków. Oni są fa chowcami w tych sprawach.*

—*U owiec, ty grzybie! Nie u ludzi! Wracaj tu zaraz!*

—*Dokąd się wybierasz?*

—*Do Mallorei. Synowie Chereka znaleźli sposób, aby się tam dostać bez hodowania piór. Ruszamy do Cthol Mishrak, by zabrać Glob.*

—*Czyś ty zwariował? Jeśli Torak was na tym przyłapie, to usmaży na wolnym ogniu.*

—*Nie mam zamiaru dać się złapać. Wracasz, czy nie?*

—*Dobra. Nie podniecaj się; wracam.*

—*Odejdę, zanim tu dotrzesz. Bez względu na to, co Poledra będzie mówić lub próbować robić, nie pozwól, by za mną poszła. Trzymaj ją w wieży. Przykuj moją żonę łańcuchami do ściany, jeśli będziesz musiał, ale zatrzymaj ją w domu.*

—*Zajmę się Poledrą. Pozdrów ode mnie Toraka.*

—*Bardzo zabawne, Beldinie. A teraz ruszaj.*

Jak pewnie zauważyliście, nie byłem w zbyt dobrym nastroju. Wróciłem do króla Alornii i jego synów, przytupujących na śniegu.

—W porządku - powiedziałem. - Oto, co zrobimy. Pójdziemy teraz do mojej wieży, ale żaden z was nie zdradzi się z tym szaleń czym pomysłem przed moją żoną. Musi uwierzyć, że po prostu przechodziliście tędy i wstąpiliście z kurtuazyjną wizytą. Nie chcę, aby wiedziała, co zamierzam zrobić, dopóki nie będziemy daleko stąd.

—Rozumiem, że zmieniłeś zdanie - zauważył uprzejmie Cherek.

—Nie kuś losu, Chereku - rzekłem. - Zdecydowano za mnie i wcale nie jestem z tego rad.

Nie mam pojęcia, ile naprawdę Poledra wiedziała, nie chce mi tego wyjawić po dzień dzisiejszy. Uprzejmie powitała Alornów

i oznajmiła, że kolacja właśnie się gotuje. To dobitnie świadczyło o tym, że została w coś wtajemniczona. Z wieży było widać miejsce naszego spotkania. Często zastanawiałem się, jak daleko sięgają „talenty” mojej żony. Fakt, iż żyła przez trzysta lat - o których wiedziałem - był jawnym dowodem na to, że nie można było nazwać jej zwyczajną. Jeśli w istocie posiadała to, co nazywamy „talentami”, nie zdarzyło się, by ujawniła się z nimi, gdy byłem w pobliżu. Myślę, że była to część naszej milczącej umowy. Nigdy nie zadawałem jej pewnych pytań, a Poledra nie zaskakiwała mnie robieniem niezwykłych rzeczy. Każde małżeństwo ma swoje małe sekrety. Jeśli małżonkowie wiedzieliby o sobie wszystko, życie by było okropnie nudne.

Chyba już wspominałem, że Cherek był najgorszym kłamczuchem, jakiego znałem. Zjadł tyle pieczonej wieprzowiny, że nasyciłby się tym cały regiment, a potem rozparł się wygodnie w fotelu.

- Mamy sprawę w Maragorze — powiedział mojej żonie. — Za trzymaliśmy się tutaj, aby zobaczyć, czy twój mąż nie zechciałby nam pokazać drogi.

Maragor? Ajakąż sprawę mogli mieć Alornowie w Maragorze?

- Rozumiem - odparła Poledra dyplomatycznie.

Teraz była kolej na mój udział w kłamstwie Chereka, więc musiałem to zrobić jak najlepiej.

- To naprawdę nie jest zbyt daleko, moja droga - oznajmiłem żonie. - Przeprowadzenie ich przez góry do Mar Amon nie powinno zająć mi więcej niż tydzień.

- Chyba że znowu zacznie padać śnieg - dodała. - To musi być bardzo ważne, skoro chcecie przejść przez te góry zimą.

- O tak, pani Poledro - zapewnił ją Dras o Byczym Karku. - To jest bardzo, bardzo ważne. Chodzi o handel.

Handel? Wiem, że to zabrzmiało nieprawdopodobnie, ale Dras był jeszcze gorszym kłamcą od swego ojca. Maragowie nie mieli dostępu do wybrzeża. Jak Arendowie mogliby dostać się do Mara-

goru, by z nimi handlować? Nie wspominając już o fakcie, że Maragowie nie są absolutnie zainteresowani jakimkolwiek handlem - a poza tym są kanibalami! Ależ osioł z tego najstarszego syna Che-reka! Wzdrygnąłem się. Ten dureń był następcą tronu Alornii!

- Dobiegły nas plotki, że strumienie w Maragorze wręcz płyną złotem - dodał Riva. Przynajmniej Riva miał trochę rozumu. Poledra znała Alornów na tyle dobrze, by wiedzieć, że słowo „złoto” rozpała ich dusze do białego.

- Spróbuję pertraktować w twoim imieniu, Chereku - powiedziałem, robiąc smutną minę - ale nie sądzę, aby się wam wielce poszczęściło z Maragami. Nie są zainteresowani złotem nawet na tyle, aby się po nie schylić. Moim zdaniem, nie macie im do zaoferowania niczego, co skłoniłoby Maragów do takiego trudu.

- Myślę, że wasza podróż potrwa dłużej niż tydzień - odezwała się Poledra. — Zabierz ciepłe rzeczy.

- Oczywiście - zapewniłem ją.

- Może powinnam pójść z tobą.

- Absolutnie nie — nie teraz, gdy rozwiązanie jest już tak blisko.

- Za bardzo się tym przejmujesz.

- Nie. Zostaniesz tutaj. Posłałem po Beldina. Wraca, by do trzymać ci towarzystwa.

- Musiałby się najpierw wykąpać.

- Przypomnę mu o tym.

- Kiedy ruszacie?

Rzuciłem fałszywie pytające spojrzenie Cherekowi.

- Jutro rano? - zapytałem.

Cherek wzruszył ramionami, przesadzając nieco.

- Może być - przystał. - Pogoda w górach nie ma zamiaru się poprawić. Czekaj nas wędrówka przez śnieg, więc lepiej nie zwlekajmy.

- Trzymajcie się drzew — poradziła Poledra. — Śnieg nie jest tak głęboki w gęstym lesie.

Jeśli rzeczywiście wiedziała, przyjmowała to bardzo spokojnie.

- Lepiej się trochę prześpijmy - rzuciłem, wstając gwałtownie. Nie potrzebowałem już więcej kłamstw na swe wytłumaczenie.

Tej nocy Poledra była bardzo cicha. Przytuliła się jednakże do mnie mocno i nad ranem odezwała się:

- Bądź bardzo ostrożny. Młode i ja będziemy na ciebie czekać, gdy wrócisz. - Potem powiedziała coś, co mówiła bardzo rzadko, pewnie dlatego, iż czuła, że mówienie o tym nie było konieczne. - Kocham cię.

Następnie pocałowała mnie, przewróciła się na bok i natychmiast zasnęła.

Alornowie i ja wyruszyliśmy następnego ranka, ostentacyjnie kierując się na południe, do Maragoru. Gdy oddaliliśmy się kilka mil od mojej wieży, zawróciliśmy i, trzymając się z dala, by nie było nas widać, podążyliśmy na północny wschód.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

To wszystko wydarzyło się około trzech tysięcy lat temu, na długo przedtem, nim Algarowie i Melceni rozpoczęli swoje doświadczenia z rozmnażaniem domowych zwierząt, więc ówczesne odpowiedniki koni były nieco większe od kucyków i na niewiele by się zdały grupie Alornów wysokich na siedem stóp. Podróżowaliśmy zatem piechotą. To znaczy, oni szli, ja biegłem. Jakiś czas usiłowałem dotrzymać Alornom kroku, w końcu zarządziłem postój.

- To na nic - powiedziałem. - Mam zamiar coś zrobić i nie chcę, byście zdenerwowali się z tego powodu.

- Co masz na myśli, Belgaracie? - zagrział Dras nieco za niepokojony. Cieszyłem się wówczas w Alornii niezgorszą reputacją, a Alornowie mieli przesadne wyobrażenie o tym, czego po trafiłem dokonać.

- Skoro muszę biec, aby dotrzymać wam kroku, to mam za miar biec na swych czterech łapach.

- Nie masz czterech nóg - zaprotestował.

- Zaraz to naprawię. Gdy to już zrobię, nie będę mógł z wami rozmawiać — a przynajmniej nie w języku, który byście rozu mieli -więc jeśli macie jakieś pytania, zadajcie je teraz.

- Nasz przyjaciel jest najpotężniejszym czarodziejem na świecie — powiedział do swych synów Cherek. - Nie ma rzeczy, której nie potrafiłby uczynić.

Myślę, że naprawdę w to wierzył.

- Żadnych pytań? - odezwałem się, spoglądając na towarzyszy. - W porządku - rzekłem - teraz wy będziecie musieli dotrzymać mi kroku.

Wyobraziłem sobie i przybrałem znajomą postać wilka. Robiłem to już tak często, że czyniłem to niemal automatycznie.

- Na Belara! - zawołał Dras, odskakując ode mnie.

Ja tymczasem odbiegłem sto jardów na północny wschód, po czym zatrzymałem się, odwróciłem i usiadłem, by na nich zaczekać. Nawet Alornowie potrafili zrozumieć, co to znaczy.

* * *

Kapłan Belara, który napisał początkowe rozdziały „Księgi Alornów”, w bardzo dowolny sposób potraktował prawdę o naszej podróży. Był pewnie zupełnie pijany, gdy to pisał, lub nie podszedł uczciwie do faktów. A może po prostu sądził, że to, co naprawdę się wydarzyło, było zbyt prozaiczne dla pisarza o jego talencie. Głosił, że Dras, Algar i Riva czekali na nas tysiąc lig na północ, co nie było zgodne z prawdą. Potem oznajmił, że moje włosy i broda pobieleły od mrozu tej ostrej zimy, co również było kłamstwem. Moje włosy i broda pobieleły na długo przedtem - głównie za sprawą obcowania z dziećmi Boga-Niedźwiedzia.

* * *

Nadal jednak nie byłem zbyt zadowolony z uczestnictwa w tej wyprawie i winę za to złożyłem na muskularne barki mych towarzyszy podróży. Dzień za dniem gnałem na swych czterech łapach do utraty tchu. Każdego wieczoru wracałem do własnej postaci i, nim nadeszli ślaniający się na nogach Alornowie, zwykle miałem dość czasu na rozpalenie ogniska i przygotowanie wieczerzy.

- Spieszmy się - przypominałem im z pewną złośliwością. — Długą drogę musimy przebyć, by dotrzeć do waszego przejścia,

a nie chcemy chyba znaleźć się tam, gdy lód zacznie już pękać, prawda?

Wędrowaliśmy dalej na północny wschód przez zaśnieżone równiny, które teraz są Algarią, aż dotarliśmy do wschodniej skarpy. Nie miałem zamiaru wspinać się na tę wysoką na milę skalną ścianę, więc skręciłem nieco i poprowadziłem mych zdyszanych towarzyszy na północ, na torfowiska obecnej wschodniej Drasni. Potem przecięliśmy góry, by wyjść na rozległe pustkowia, na których żyli Morindimowie.

Moje złośliwe wysiłki, by zagonić Chereka i jego synów na śmierć, doprowadziły do dwóch rzeczy. Dotarliśmy do Morindlandu w mniej niż miesiąc i moi przyjaciele byli we wspaniałej kondycji. Spróbujcie każdego dnia, przez miesiąc, biegać najszybciej jak potraficie i zobaczycie, co się z wami stanie. Zakładając, że nie padniecie pierwszego dnia, po jakimś czasie będziecie we wspaniałej kondycji. Jeśli na mych przyjaciółkach została gdzieś odrobina tłuszczu, to chyba tylko za paznokciami. Okazało się to dla nich bardzo korzystne.

Zeszliśmy z północnego łańcucha gór, który znaczy południowe granice Morindlandu. Ponownie przybrałem własną postać i zarządziłem postój. Zima była w pełni i rozległą arktyczną równinę, na której żyli Morindimowie, pokrywał śnieg i spowijały ciemności. Zaczęła się długa północna noc, choć na szczęście, gdy dotarliśmy do Morindlandu, nisko nad horyzontem wisiał jeszcze półksiężyc, zapewniając nam wystarczająco dużo światła, by wędrowka była nadal możliwa — nieprzyjemna, ale możliwa.

- Nie wiem, czy powinniśmy tam iść — powiedziałem swym otulonym w futra przyjaciołom, wskazując na zamrożone równiny. - Nie ma chyba zbytnej potrzeby wdawać się w dyskusje z każdą grupą napotkanych Morindimów?

— Nie - przyznał Cherek, krzywiąc się. - Nie dbam o Morin-

dimów. Przez tygodnie potrafią opowiadać swoje sny, a my rzeczywiście nie mamy na to czasu.

- Gdy wracaliśmy z Algarem od tego przejścia, trzymaliśmy się podnóża tamtych wzgórz - odezwał się Riva. - Morindimowie nie lubią wzgórz, więc nie widzieliśmy ich zbyt wielu.

- To pewnie najlepszy sposób — zgodziłem się. - Poradziłbym sobie z przypadkowo napotkaną grupą, ale to tylko strata czasu. Wiesz, jak zrobić znaki kłątwy i znaki marzyciela?

Riva posępnie skinął głową.

- Kombinacja tych dwóch znaków powinna ich trzymać na dystans, prawda?

- Nie rozumiem - zadudnił Dras, spoglądając na nas nie pewnie.

- Rozumiałbyś, gdybyś co jakiś czas opuszczał tawerny Val Alorn - powiedział Algar.

- Jestem najstarszy - bronił się Dras. - Na mnie spoczywa odpowiedzialność.

- Oczywiście - mruknął ironicznie Riva. - Spróbuję ci to wytłumaczyć. Morindimowie żyją w innym świecie - i nie mam tu na myśli jedynie śniegu. Sny są dla nich ważniejsze niż rzeczywisty świat i kłątwy mają bardzo istotne znaczenie. Belgarath za proponował właśnie, abyśmy nosili znak marzyciela, dając tym Morindimom do zrozumienia, że wypełniamy polecenie otrzymane we śnie. Będziemy również nosić znak kłątwy, który mówi, że każdy, kto nam przeszkodzi, będzie miał do czynienia z demonom.

- Nie ma czegoś takiego jak demony - prychnął Dras.

- Nie ręczyłbym za to swoją głową, Drasie — ostrzegłem go.

- Widziałeś jakiegoś?

- Przywoływałem, Drasie. Aldur wysłał mnie tutaj, bym do wiedział się wszystkiego o tych ludziach. Zgodziłem się na ucznia do jednego z ich czarowników i nauczyłem się wielu sztuczek. Ri-

va nie myli się. Znaki marzyciela i wyklętego sprawią, że Morindimowie będą nas unikać.

- Znaki zarazy? — zaproponował Algar, który nigdy nie używał więcej słów niż to było absolutnie konieczne. Dotychczas nie zrozumiałem, po co w ogóle je mówił.

Zastanowiłem się nad tym.

- Nie — zdecydowałem. - Morindimowie mogliby uznać, że najlepszym sposobem na zarazę jest zasypianie zarażonych ludzi gradem strzał.

- Kłopotliwe - mruknął Algar.

- I tak nie spotkamy zbyt wielu Morindimów tak daleko na południu - powiedziałem - a znaki powinny trzymać ich na dystans.

Mylłem się w tym względzie, jak się okazało. Sporządziliśmy z Rivą znaki i ruszyliśmy na wschód, trzymając się podgórze. Wędrowaliśmy zaledwie od dwóch dni - a raczej nocy, skoro księżyc był na niebie - gdy nagle wokół nas pojawili się Morindimowie. Znaki trzymały ich na dystans. Było jednak zaledwie kwestią czasu, gdy jakiś czarownik wyjdzie podjąć wyzwanie.

Nie sypiałem za dobrze w czasie naszej wędrowki tym podgórzem. Północne zbocza gór podziurawione były jaskiniami. W jednej z nich ukryłem Alornów, po czym sam wyruszyłem na zwiady. Niemal odmroziłem sobie łapy. Boże, ależ było zimno!

Nie uszedłem daleko, gdy zacząłem natykać się na znaki odwracające kłątwe. Obecność tych odczyniających znaków mówiła mi wyraźniej niż słowa, że czarownicy zaczynają skupiać się wokół nas. To było intrygujące, ponieważ czarownicy są o siebie szaleńczo zazdrośni i prawie nigdy nie współpracują. Ponieważ zaś sprawują kontrolę nad wszystkimi aspektami życia swych klanów, takie ich zgromadzenie było praktycznie niemożliwe.

Księżyc, oczywiście, nie zważał na nas i w swym nieuchronnym cyklu przemian z nocy na noc stawał się coraz większy, aż

w końcu osiągnął miesięczną pełnię. Cherek i jego synowie nie mogli pojąć, dlaczego księżyc wschodził, choć słońce tego nie czyniło. Próbowałem im to wyjaśnić, ale gdy doszedłem do prawdziwej orbity Księżyca i widomej orbity Słońca, stracili wątek. W końcu powiedziałem im po prostu:

- Poruszają się po różnych ścieżkach. -1 dałem spokój.

Wystarczyło, aby wiedzieli, że księżyc będzie na arktycznym niebie przez około dwa tygodnie każdego miesiąca zimą. Obszerniejsze wyjaśnienia jedynie zamąciłyby im w głowach. Prawdę rzekłszy, wolałbym, aby wzbierające brzuszysko księżycy skryło się za horyzontem. Po dojściu do pełni zrobiło się jasno jak w dzień. Księżyc w pełni nad zaśnieżoną równiną rzeczywiście daje bardzo dużo światła. Było to okropnie niewygodne. Zdaje się, że właśnie na to czekali Morindimowie.

Zostawiłem Chereka i chłopców w jaskini tuż przed zachodem księżycy i wyszedłem się rozejrzeć. O milę na wschód od naszej kryjówki zobaczyłem Morindimów — całe ich tysiące.

Przypadłem do ziemi i zacząłem kłać. Niezwykle zgromadzenie wszystkich chyba klanów Morindlandu zupełnie nas zablokowało. Byliśmy w poważnych kłopotach.

Skończyłem w końcu przeklinać, zawróciłem, pogałem do jaskini i przybrałem swą właściwą postać. Alornowie spali.

- Lepiej się obudźcie - powiedziałem.

- O co chodzi? - zawołał Gherek, odrzucając okrycie.

- O milę stąd, na naszej drodze, rozłożyli się chyba wszyscy Morindimowie.

- Oni tego nie robią — zaprotestował Riva. - Klany nigdy nie zbierają się razem w tym samym miejscu.

- Najwyraźniej zasady się zmieniły.

- Co zrobimy? - zapytał Dras.

- Nie możemy prześliznąć się obok nich? - zastanawiał się Cherek.

—Trudno by było — powiedziałem. - Rozłożyli się na prze-
strzeni wielu mil.

—Co zrobimy? — zapytał ponownie Dras, który miał zwyczaj
powtarzania się w chwilach podniecenia.

—Pracuje nad tym.

Zacząłem bardzo szybko myśleć. Jedno było pewne. Ktoś ma-
nipulował Morindimami. Riva miał rację; klany nigdy nie współ-
pracowały. Ktoś musiał znaleźć sposób, by to zmienić, i myślę, że to
nie był żaden z nich. Wysilałem umysł, ale nie potrafiłem wymyślić
sposobu na wyplątanie się z tego. Każdy z klanów miał czarownika,
który posiadał własnego demona. Bardzo możliwe, że gdy księżyc
wезде, będę miał po uszy roboty ze stworami, które normalnie
zamieszkują Piekło. Zdecydowanie potrzebna mi była pomoc.

Nie mam pojęcia, skąd pojawiła się ta myśl...

Pozwólcie, że sprostuję. Teraz, gdy o tym myślę, wiem skąd
przyszła.

* * *

-Jesteś tam?— zapytałem w myślach.

—Oczywiście.

—Mam problem.

—Tak, zdaje się, że masz.

—Co powinienem zrobić?

—Nie wolno mi tego powiedzieć.

—W Dolinie zdawało się ci to nie przeszkadzać.

*—To było co innego. Pomyśl, Belgaracie. Znasz Morindimów i wiesz,
jak trudno zapanować nad ich demonami. Czarownik musi być bardzo
skoncentrowany, aby demon nie zioródl się przeciwko niemu. Czy coś ci to
sugeruje?*

—Mam w jakiś sposób przeszkodzić mu w koncentracji?

- *Czy to pytanie? Bo jeśli tak, to nie wolno mi odpowiadać.*

- *W porządku, to nie jest pytanie. Co sądzisz o tym pomysle - czy sto teoretycznie"? Czy wolno ci powiedzieć o danym pomysle, czy jest do bry, czy zły ?*

- *Jedynie teoretycznie? Myślę, że to dozwolone.*

- *To będzie trochę niewygodne, ale sądzę, ii sobie poradzimy.*

Proponowałem rozliczne rozwiązania, a ów głos w mej głowie odrzucał je jedno po drugim. Zaczynałem wymyślać coraz egzotyczniejsze sposoby. Ku memu przerażeniu, ten bezcielesny głos zdawał się uważać, że nawet moje najokropniejsze i najniebezpieczniejsze pomysły nie były całkowicie pozbawione szans. W takich sytuacjach lepiej powściągnąć swoją wyobraźnię.

- *Czyś ty oszalał?* - zawołał Riva, gdy opowiedziałem Alor-nom, co mam na myśli.

- *Miejmy nadzieję, że nie* - odparłem. - *Nie ma innego wyjścia, obawiam się. Będę musiał to zrobić, chyba że wolimy zawrócić do domu, choć nie sądzę, aby to było dozwolone.*

- *Kiedy zamierzasz tę rzecz uczynić?* — zapytał Cherek.

- *Gdy tylko wzejdzie księżyc. Muszę wybrać najlepszy czas i nie chcę, aby ubiegł mnie jakiś wytatuowany czarownik.*

- *Po co czekać?* - zapalił się Dras. - *Dlaczego nie zrobić tego teraz?*

- *Ponieważ potrzebuję światła, by narysować symbole na śniegu. Zdecydowanie nie chciałbym niczego pominąć. Spróbujcie się trochę przespać. Być może długo nie będziecie mieli do tego okazji.*

Potem wyszedłem na dwór trzymać straż.

To była nerwowa noc, a właściwie dzień, skoro dnie i noce zamieniły się miejscami w czasie arktycznej zimy. Proponując ten plan owemu głosowi Konieczności, który zadomowił się w mej głowie, wiedziałem, że był bardzo ryzykowny, gdyż nie miałem

pewności, czy potrafię go wcielić w życie. Nie ma co jednak martwić się na zapas.

Gdy oceniłem, że księżyc właśnie miał zamiar wzejść, wróciłem do jaskini i obudziłem przyjaciół.

- Nie chcę, żebyście trzymali się zbyt blisko mnie - poradziłem. - Nie ma powodu, byśmy wszyscy zginęli.

- Myślę, że wiesz, co robisz! — zaprotestował Dras. Był bardzo pobudliwy. Pomimo wysokiego wzrostu, jego normalnie tubalny głos zabrzmiał odrobinę piskliwie.

- Teoretycznie, tak - powiedziałem - ale nigdy tego po przednio nie próbowałem, więc może się nie udać. Będę musiał poczekać, aż czarownicy przywołają swe demony, nim cokolwiek uczynię, więc przez jakiś czas sytuacja może być krytyczna. Po prostu bądźcie gotowi do ucieczki. Ruszajmy.

Wyszliśmy z jaskini. Spojrzałem na wschód. Błada poświata na horyzoncie powiedziała mi, że księżyc niebawem wzejdzie, więc ruszyliśmy, kierując się ku czekającym Morindimom. Dotarliśmy na szczyt wzgórza w chwili, gdy zaczęli wybijać się ze snu. Budzący się w zimie Morindimowie przedstawiają niesamowity widok. Przypomina on ożywione nagle cmentarzysko, gdyż wedle zwyczaju zagrzebują się w śniegu przed zaśnięciem. Oczywiście śnieg jest zimny, ale powietrze na zewnątrz jeszcze zimniejsze. Podnoszą się ze swoich nór, jakby wygrzebywali się z grobów. To mrozący krew w żyłach widok.

Prawdopodobnie czarownicy nie spali więcej ode mnie. Musieli poczynić własne przygotowania. Każdy z nich wydeptał w śniegu symbole i zajął miejsce wewnątrz owych ochronnych znaków. Mruczeli już pod nosami zaklęcia, gdy weszliśmy na wzgórze. A muszę wam powiedzieć, że owi czarownicy bardzo uważają, aby nie wymawiać zbyt wyraźnie zaklęć przywołujących demony. Te magiczne zwroty to rodzaj zawodowych sekretów i czarownicy strzegą ich bardzo zazdrośnie.

Nie cierpiałem, gdy tak do mnie mówiono.

* # #

Nie trudziłem się mamrotaniem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie próbowałby powtórzyć tego, czego zamierzałem dokonać. Wymówiłem zaklęcie bardzo dokładnie. To nie był odpowiedni czas na pomyłki. Skoncentrowałem się całkowicie na tym, co robiłem, i moja iluzja zafalowała, po czym zniknęła. Pozostał mi jedynie księżyc.

Powietrze znowu zamigotało, o wiele za blisko, bym czuł się spokojny- to migotanie jarzyło się krwistą czerwienią. Potem poczęło krzepnąć i zestalać się. Postanowiłem nie silić się na oryginalność. Czarownicy Morindimów wykazują się dużą pomysłowością, gdy przychodzi do określania kształtów, w których zamierzają uwięzić swe demony. Ja nie zawracałem sobie głowy mackami, łuskami czy tym podobnymi bzdurami. Wybrałem postać ludzką, której dodałem jedynie rogi. Szczególnie skupiłem się na tych rogach, jako że od nich zależało moje życie.

Demon przez chwilę był niezdecydowany. Nie zdawałem sobie sprawy, że będzie taki ogromny. To był Naczelny Demon i wielkość wyraźnie świadczyła o jego pozycji w hierarchii Piekieł.

Naturalnie chciał ruszyć przeciwko mnie. Na brodzie poczęły mi się tworzyć sople lodu ze spływającego strużkami po twarzy potu.

— Przestań! - rozkazałem z irytacją. — Rób, co ci każe, to potem odeślę cię z powrotem tam, gdzie jest ciepło.

Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałem!

O dziwo, być może to uratowało mi życie. Naczelny Demon parował na chłodzie. Spróbujcie wyskoczyć z piekła w sam środek arktycznej zimy i zobaczcie, jak wam się to spodoba. Mój demon gwałtownie siniał i szczał kłami.

- Zejdź i pozbądź się innych demonów - rozkazałem.

- Ty jesteś Belgarath, prawda? - rozległ się najokropniejszy głos, jaki słyszałem. Byłem nieco zaskoczony, że moja sława dotarła aż do Piekieł. Taka wiadomość mogła przewrócić człowiekowi w głowie.

- Tak - przyznałem skromnie.

- Powiedz swemu Mistrzowi, że mój Mistrz nie jest zadowolony z twoich poczynań.

- Przekażę. A teraz bierz się do roboty, nim ci rogi prze marzną.

Nie jestem pewny, dzięki czemu sztuczka się udała. Być może sprawił to mróz, albo Król Piekieł polecił Naczelnemu Demonowi współpracować ze mną, abym mógł zanieść jego wiadomość Aldurowi. A może obecność Konieczności onieśmieliła bestię. Lub też byłem wystarczająco silny, by zapanować nad tym ogromnym potworem — choć to wydawało się nieprawdopodobne. Bez względu jednak na powód, Naczelnny Demon urósł do pełnych rozmiarów - a był naprawdę wysoki - i zakrzyknął coś absolutnie niezrozumiałego. Inne demony natychmiast znikły, a czarownicy, którzy je przywołali, padli na śnieg w konwulsjach.

- Dobra robota — pochwaliłem Naczelnego Demona. - Teraz możesz wrócić do domu. Trzymaj się ciepło.

Wielokrotnie wyjaśniałem Garionowi, że te rzeczy powinno się robić z pewną klasą. Nauczyłem się tego od Belmakora.

Cherek i jego synowie stali w pewnej odległości, a gdy odsłałem Naczelnego Demona, zaczęli się odsuwać jeszcze dalej.

- Dajcie spokój! - warknąłem. — Wracajcie.

Niechętnie i z pewnym lękiem zbliżyli się do mnie.

- Muszę coś załatwić - powiedziałem im. - Idźcie dalej na wschód. Dogonię was.

- Co ci chodzi po głowie? - zapytał Cherek głosem pełnym nabożnego lęku.

— Riva miał rację - wyjaśniłem. - To małe zgromadzenie zupełnie nie pasuje do Morindimów. Ktoś musiał maczać w tym palce. Mam zamiar dowiedzieć się, kto to jest, i polecić, by przestał się mieszać. Wschód jest tam - dodałem wskazując właśnie weszły księżyc.

— Jak myślisz, ile ci to zajmie czasu? - zapytał Riva.

— Nie mam pojęcia. Po prostu idźcie dalej.

Potem przybrałem ponownie postać wilka i pognałem na południe. Od kilku dni czułem mrowienie, które zdawało się pochodzić z tego właśnie kierunku.

Gdy tylko wydostałem się poza zasięg umysłów swych towarzyszy i paplaninę ogarniętych paniką czarowników Morindimów, przystanąłem i bardzo ostrożnie wysłałem poszukującą myśl.

Wrażenie, które do mnie wróciło, było bardzo znajome. Wyglądało na to, że napotkałem Belzedara.

Natychmiast cofnąłem swą myśl. Co on robił? Najwyraźniej szedł naszym śladem, ale dlaczego? Czy przybywał nam z pomocą? Jeśli tak, to czemu po prostu nas nie dogonił i nie przyłączył się? Po co się skradać?

Od czasu, gdy Torak ukradł Glob, przestałem w pełni rozumieć Belzedara. Stawał się coraz bardziej wyobcowany i tajemniczy. Mogłem po prostu przesłać swój głos i zaprosić, by się do nas przyłączył, ale z jakiegoś powodu tego nie uczyniłem. Najpierw chciałem się przekonać, co robił. Zwykle nie jestem podejrzliwy, ale Belzedar zachowywał się dość dziwnie przez ostatnie dwa tysiące lat i uznałem, że lepiej postąpię, jeśli dowiem się, dlaczego to robił, nim dam Belzedarowi znać, że wiem o jego obecności.

Ustaliłem położenie swego brata i wspinałem się pędem po północnym łańcuchu gór, co jakiś czas wysyłając myśl, w poszukiwaniu śladów.

* sfc lj:

Spróbujcie to zapamiętać. Gdy kogoś szukacie swym umysłem i zbyt długo pozostajecie z nim w kontakcie, będzie wiedział o waszej obecności. Cała sztuka polega na tym, by jedynie muskać go myślą. Nie dawajcie temu komuś czasu na zorientowanie się, że jest poszukiwany. To wymaga sporo praktyki, ale jeśli nad tym popracujecie, to zrozumiecie, w czym rzecz.

Właśnie usiłowałem ustalić jego położenie, gdy zobaczyłem ognisko. Co za idiotyzm! Usiłuje skradać się za mną, a pali sygnalizacyjne ognie! Wywiesiłem z uciechy jęzor. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Przestałem biec i zacząłem się czołgać, centymetr po centymetrze zbliżając się na brzuchu do płomieni.

Zobaczyłem go. Stał przy tym swoim niedorzecznym ognisku. Nie był sam. Towarzyszył mu Morindim, starzec ubrany w futra, z laską zwieńczoną czaszkami, co obwieszczało, że był czarownikiem.

Podczołgałem się bliżej. Podejść kogoś w śniegu nie jest tak łatwo, jak się wydaje. Śnieg tłumi dźwięki, ale jeśli jest zimny, całe ciało paruje. Na szczęście trochę już zziębłem, więc futro zatrzymywało ciepło mego ciała, nie pozwalając wydostać się mu na powietrze. Z brzuchem przy ziemi, leżałem pod ośnieżonymi krzakami i nasłuchiwałem.

- On sprawił, że słońce weszło! — mówił czarownik do mego brata przerażonym głosem. — Potem przywołał Naczelnego Demona! Mój klan nie będzie dłużej w tym uczestniczył!

- Muszą! - nalegał Belzedar. - Belgarath nie może dotrzeć do Małlorei! Musimy go powstrzymać!

Co to miało znaczyć? Podczołgałem się bliżej.

- Nic nie mogę poradzić - powiedział twardo czarownik. - Mój klan rozproszył się. Nie potrafiłbym ich zebrać, nawet gdy bym spróbował. Belgarath jest zbyt potężny. Nie chcę ponownie stawić mu czoła.

- Pomyśl o tym, co tracisz, Etchąuaw - prosił Belzedar. — Pragniesz być niewolnikiem króla Piekieł przez resztę swego życia?

- Morindland jest zimny i mroczny, Zedarze - odparł czarownik. - Nie lękam się ogni piekielnych.

- Ale możesz mieć Boga! Mój Mistrz przyjmie cię, jeśli chcesz uczynić dla niego tylko tę jedną drobną rzecz! — zawołał z rozpaczą w głosie Belzedar.

Szczupły Morindim wyprostował się, na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

- To moje ostatnie słowo, Zedarze. Nie chcę mieć więcej do czynienia z tym Belgarathem. Przekaż swemu Mistrzowi, co postanowiłem. Powiedz Torakowi, żeby poszukał sobie kogoś innego do walki z twym bratem Belgarathem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Patrząc z perspektywy czasu, pewnie dobrze się stało, że dokonałem tego odkrycia w wilczej postaci. W ciągu minionego miesiąca tak bardzo zawładnęła mną osobowość wilka, że zmieniły się moje reakcje. Wilk jest niezdolny do nienawiści - do wściekłości tak; do nienawiści nie. Gdybym był w swej własnej postaci, pewnie zrobiłbym coś pochopnie.

A tak po prostu leżałem w śniegu nastawiając uszu, przysłuchując się, jak Zedar błagał czarownika. Miałem dość czasu, aby ochłonąć. Jak mogłem być tak ślepy? Zedar zdradzał się setki razy, odkąd Torak rozłupał świat, ale byłem zbyt nieuważny, aby to spostrzec... Wielce prawdopodobne, że straciłbym masę czasu na wymyślaniu sobie, lecz raz jeszcze natura wilka wzięła górę i porzuciłem ten bezużyteczny zamysł. Ale teraz, gdy znałem już prawdę o swym niegdyśszym bracie, co miałem z tym zrobić?

Oczywiście najprościej byłoby przycząić się, dopóki Morindim nie odejdzie, a potem wpaść na polanę i rozszarpać swymi zębami Zedarowi gardło. Bardzo mnie to kusiło; Bogowie wiedzą, jak strasznie mnie to kusiło. Ten pomysł stanowił odbicie wilczej praktyczności. To byłoby szybkie, łatwe, i raz na zawsze usunęłoby obecne niebezpieczeństwo.

Niestety pozostawiłoby jednocześnie całą masę pytań bez odpowiedzi, a ciekawość jest cechą wspólną wilków i ludzi. Wiedzia-

łem, co Zedar zrobił. Teraz chciałem wiedzieć dlaczego. Jednakże zdałem sobie sprawę z jednego. Straciłem właśnie kolejnego brata. Nawet nie myślałem już-o nim jak o Belzedarze.

Był jednak jeszcze jeden powód mojej powściągliwości. Do zgromadzenia Morindimów najwyraźniej doszło za namową Zedara. Pokonał ich niechęć do łączenia się, oferując im Boga. Według mnie nie było wielkiej różnicy pomiędzy Torakiem i królem Piekieł, ale najwyraźniej Morindimowie uważali inaczej. Zedar zaplanował tę pułapkę na mej drodze. Ile ich jeszcze było? To naprawdę musiałem wiedzieć. Raz zastawiona pułapka może czekać długo po śmierci człowieka, który ją przygotował. Sytuacja wymagała jednak podstępu, a ja zawsze byłem w tym niezły.

—Tylko marnujesz siły, Zedarze - mówił Morindim. — Nie mam zamiaru stawić czoła magowi tak potężnemu, jak twój brat. Jeśli chcesz z nim walczyć, to zrób to sam. Jestem pewny, że twój Mistrz ci pomoże.

—Nie mogę, Etchquawie. To jest zakazane. Muszę być narzędem Konieczności w czasie tego ZDARZENIA.

Co to miało znaczyć?

— Skoro jesteś narzędziem Konieczności, to dlaczego przybyłeś do nas?

Łatwo jest zbyć Morindima. Od czcicieli demonów nie oczekujemy zwykle inteligencji, ale ten Etchquaw był zaskakująco spostrzegawczy.

—Myślę, iż boisz się Belgaratha - ciągnął dalej - i sądzę, że obawiasz się jego Konieczności. Nie mam zamiaru wsadzać za ciebie ręki w ogień, Zedarze. Nauczyłem się żyć z demonami. Tak naprawdę niepotrzebny mi Bóg - szczególnie tak bezsilny, jak Torak. Mój demon potrafi zrobić wszystko, co mu powiem. Twój Torak zdaje się dość ograniczony w swych działaniach.

—Ograniczony? — zaprotestował Zedar. — On rozłupał świat durniu!

- I co mu z tego przyszło? - zapytał pogardliwie Morindim. - Jedynie ogień, Zedarze. Oto, co mu z tego przyszło. Jeśli pragnął bym tylko ognia, zaczekałbym, aż pójdę do Piekła.

Zedar zmrużył oczy.

- Nie musisz czekać tak długo, Etchquawie - powiedział sta nowczo.

Mogłem go powstrzymać. Czułem, jak zbierał Wolę, ale, mówiąc szczerze, nie wierzyłem, że to zrobi.

Ale zrobił. Byłem całkiem blisko, więc dźwięk Słowa uwalniającego Wolę był ogłuszający.

Etchquaw nagle zajął się ogniem.

* * *

Przepraszam, że otwieram stare rany, Garionie, ale nie ty pierwszy tak postąpiłeś. Choć była różnica. Ty miałeś pod dostatkiem powodów, aby zrobić to, co uczyniłeś w Lesie Driad. Jednakże Zedar podpalił Morindima z czystej złośliwości. Faktem również jest, że ty czułeś się winny, czego z pewnością nie mógłbym powiedzieć o Zedarze.

* * *

To wszystko działo się dla mnie nieco za szybko, więc odczołgałem się z tych ośnieżonych zarośli i zostawiłem Zedara jego rozrywkom.

W myślach nadal dźwięczał mi sposób, w jaki Zedar użył słowa „zdarzenie”. To był jeden z tych wypadków, przed którymi przestrzegał nas Mistrz. Byłem przekonany, że wydarzy się coś ważnego, ale myślałem, że stanie się to w Cthol Mishrak. Najwyraźniej się myliłem. Może później będzie inne zdarzenie, ale najpierw musimy przejść przez to. Postanowiłem, że czas znowu zasięgnąć rady.

- *Możemy porozmawiać?* - zapytałem obecność w mej głowie.

- *Coś się stało?*

Myślę, że to właśnie denerwowało mnie najbardziej u mego nieproszonego gościa - wydawało mu się, że jest zabawny. Nie miałem zamiaru się spierać. Biorąc pod uwagę jego umiejscowienie, zapewne już wiedział, jak się czuję.

—*To jedna z tych małych konfrontacji, które wciąż się zdarzają, prawda?*

—*Najwyraźniej.*

—*Ma jakieś znaczenie?*

—*Wszystkie mają znaczenie, Belgaracie.*

—*Zedar powiedział, że jest tym razem narzędziem innej Konieczności. Myślałem, że to był Torak.*

—*Był. To zmienia się co jakiś czas.*

—*Zatem Zedar mówił prawdę.*

—*Skoro postanowiłeś mu wierzyć, tak.*

—*Przestaniesz?* - podniosłem głos. Na szczęście, powiedziałem to na wilczy sposób, więc nikt nie mógł moich słów usłyszeć.

—*Jesteś dziś rozdrażniony.*

—*Nieważne. Skoro Zedar jest narzędziem innej Konieczności, kto jest twoim?*

Na długą chwilę zapadło milczenie, ale wyczuwałem u swego gościa rozbawienie.

—*Nie jesteś poważny!*

—*Zawsze miałem do ciebie zaufanie.*

—*Co mam zrobić?"*

—*Jestem pewny, że to samo do ciebie przyjdzie.*

—*Nie masz zamiaru mi powiedzieć?*

—*Oczywiście, że nie. Musimy trzymać się zasad.*

—*Potrzebuję pewnych wskazówek. Jeśli zrobię to po swojemu, to ręczę, że popełnię błędy.*

—*Wzięliśmy to pod uwagę. Poradzisz sobie.*

—*Mam zamiar zabić Zedara.*

To była próżna groźba. Gdy już trochę ochłonałem, moje mordercze zapędy ostygły. Zedar był mi bratem przez trzy tysiące lat, więc nie miałem zamiaru go zabić. Mógłbym podpalić mu brodę lub zawiązać jelita na wymyślny supeł, ale nie zabiłbym swego brata. Pomimo wszystko nadal bardzo kochałem Zedara.

—*Bądź poważny, Belgaracie - powiedział głos w mej głowie. - Nie jesteś zdolny zabić swego brata. Wystarczy, jeśli go wyłączysz. Nie daj się zwieść. Będziesz go jeszcze potrzebował.*

—*Nie masz zamiaru powiedzieć mi, co robić, prawda ?*

—*To nie jest tym razem dozwolone. Musicie sami z Zedarem dopracować szczegóły* - dodał głos i świadomość obcej obecności w mej głowie zniknęła.

Złorzeczyłem przez kilka minut. Potem pognałem z powrotem do miejsca, w którym Zedar grzał się przy zwęglonych szczątkach Morindima. Po drodze zacząłem układać sobie plan. Mogłem zaraz stanąć przed Zedarem i załatwić sprawę, ale ten pomysł posiadał wiele luk. Teraz, gdy wiedziałem, w czym rzecz, nie było sposobu, aby mnie zaskoczył, a bez elementu zaskoczenia nie miał ze mną szans. Mogłem załatwić go jedną ręką, ale problem pułapek nadal pozostałby nie rozwiązany. Uznałem, że najlepszym wyjściem będzie śledzić Zedara przez kilka dni, by sprawdzić, czy miał kontakt z innymi - Morindimami lub kimś jeszcze. Znałem *7,e&zza* wystarczająco dobrze i wiedziałem, że wołał, by inni wykonywali za niego brudną robotę.

Wtem zatrzymałem się i przywarłem do ziemi. Zedar był świadom, że moją ulubioną postacią zastępczą była postać wilka. Jeśli zobaczy wilka - czy choćby jego ślady na śniegu - natychmiast będzie wiedział, że buszowałem gdzieś w okolicy. Musiałem przybrać inną postać.

Biorąc pod uwagę zasady obowiązujące w tym szczególnym spotkaniu, myślę, że mogę w pełni przypisać sobie całą zasługę.

Mój gość powiedział, że nie wolno mu było niczego radzić, wiv< byłem zdany wyłącznie na siebie.

Przebiegłem w myślach ostatnie kilka tysięcy lat. Zedar niemal prawie cały ten czas spędził w Mallorei, więc o wielu sprawach, które wydarzyły się w Dolinie, nie miał pojęcia. Wiedział, że wilczyca przebywała ze mną w wieży, ale nie był świadom, jakie posiada umiejętności. Mógłby coś podejrzewać, gdyby wilk ruszył jego śladem, ale sowa? Nie sądzę - przynajmniej dopóki nie zobaczyłby, jak niewprawy byłem w lataniu.

Oczywiście pamiętałem sowę bardzo dobrze, więc nie było mi trudno stworzyć w myślach jej obrazu. Dopiero po przyjęciu tej postaci zdałem sobie sprawę / . pomyłki. To była samica!

Oczywiście tak naprawdę nie miało to żadnego znaczenia, ale w pierwszej chwili zmieszałem się. Jak kobietom udaje się nic mieć robaczywych myśli przy tych wszystkich dodatkowych organach wewnętrznych - i tych wszystkich substancjach krążących w ich krwi?

* * *

Myślę, że lepiej będzie nie rozwijać dalej tego tematu.

* ♦ %

Szczęśliwie dla mnie, biorąc pod uwagę mój irracjonalny lęk, gdy przychodzi do latania na zbyt dużych wysokościach, sowy nie mają powodu wzbijać się zbyt wysoko w powietrze. Sowa interesu je się tym, co jest na ziemi, nie pośród gwiazd. Pofrunąłem nisko nad ośnieżoną ziemią z powrotem do miejsca, w którym zostawi łem Zedara.

Macie pojęcie, jak sowy świetnie widzą w ciemności? Byłem zdumiony swym dobrym wzrokiem. Moje pióra były bard/ o miękkie i odkryłem, że potrafię lecieć w absolutnej ciszy. Skoncentrowałem się na tej czynności. Uwierzycie, że robiłem to co-

raz lepiej? Przestałem jak szalony machać skrzydłami i udało mi się nawet latać z pewnym wdziękiem.

Po Etchquawarze pozostała jedynie kupka dymiącego popiołu, a Zedar zniknął. Na szczęście jego ślady nie. Wiodły łukiem z powrotem w górę zbrocza na skraj karłowatych zimozielonych zarośli na linii drzew, a potem skręcały na wschód. To ułatwiło mi sprawę. Trudno śledzić kogoś niepostrzeżenie lecąc nad otwartym terenem. Jako sowa mogłem jednakże przemieszczać się cicho z drzewa na drzewo, dopóki go nie dogonię. Wyglądało na to, że kierował się na wschód, równoległe do kierunku marszu, jaki ustaliłem dla Chereka i jego synów. Zabawiałem się, latając zygzakiem wzdłuż szlaku Zedara, raz przed nim, raz za nim. Nietrudno było go śledzić, ponieważ wyczarował sobie zielonkawę światło do oświetlenia drogi - i odpędzania złych duchów. Mówiłem wam, że Zedar bał się ciemności? To nadaje inny wymiar jego obecnej sytuacji, prawda?

Był po uszy opatulony w futra i mruczał pod nosem, brnąc samotnie w śniegu. Zedar często do siebie mówił. Zawsze to robił.

Nie miałem pojęcia, co zamierzał. Jeśli sądził, że potrafi dotrzymać kroku długonogim Alornom, to się grubo mylił. Miałem pewność, że Cherek i jego chłopcy byli już przynajmniej dziesięć mil przed nim. Zedar nadal wspinał się szerokim łukiem i nim księżyc ponownie zaszedł, dotarł na grań północnego łańcucha gór. Wówczas zatrzymał się.

Przefrunąłem na pobliskie drzewo i obserwowałem go na sowi sposób.

Przepraszam. Nie mogłem się temu oprzeć.

* * *

- *Mistrzu!*

Jego myśl niemal strąciła mnie z konaru, na którym tkwiłem. Panie, ależ Zedar potrafił być niezdamy, gdy się zdenerwował.

— *Słyszę cię, synu.*

Poznałem ten głos. Z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że Torak był niemal tak niezdarny, jak Zedar. A przecież był Bogiem! Czyżby lepiej nie potrafił? Możliwe, że w tym tkwił problem. Może poczucie boskości dawało mu taką pewność siebie, że stał się nieostrożny.

— *Zawiodłem, Mistrzu* - cichy głos Zedara drżał. Torak nie na leżał do tych, którzy przyjmują ze spokojem wiadomość o porażce swych podwładnych.

— *Zawiodłeś*"? — urażony ton Boga sugerował całe mnóstwo nieprzyjemnych następstw. - *Nie przyjmuję tego do wiadomości, Zedarze. Ty nie możesz zawieść.*

— *Nasz plan miał wadę, Mistrzu. Belgarath jest o wiek potężniejszy, niż zakładaliśmy.*

-*Jakże mogło do tego dojść, Zedarze? Belgarath jest przecież twym bratem. Jak to się mogło stać, że nie byłeś świadom wzrostu jego mocy?*

— *Zdawał mi się jedynie głupcem, Mistrzu. Jego umysł nie jest lotny ani wzrok bystry. To jedynie zapijaczony rozpustnik o szczątkowej moralności i powadze.*

Rzadko słyszymy coś pochlebnego na swój temat, gdy pod słuchujemy. Zauważyliście to?

— *Jakże zatem udało mu się pokrzyżować ci szyki, synu ?* — w głosie Toraka słychać było srogie oskarżenie.

— *W jakiś nie znany mi sposób posiadał wiedzę o sposobach, w jakie czarownicy Mońdimów przywołują demony i panują nad tymi, które są ich niewolnikami. Prawdę powiadam ci, Mistrzu, on o wiele przewyższa w tym tych dzikusów.*

Oczywiście nie wiedział, jakim sposobem poznałem magię Morindimów. Był w Mallorei, gdy wyprawilem się do Morindlan-du na naukę.

— *Co on takiego uczynił, Zedarze?* — dopytywał się Torak. - *Mu-*

szę dokładnie wiedzieć, jak wielkie są jego umiejętności, nim poradzę się Konieczności, która nas prowadzi.

Dopiero po chwili dotarł do mnie sens tego, co usłyszałem. Inna Konieczność - przeciwieństwo tej, która zamieszkała w mej głowie — nie kontaktowała się bezpośrednio z Zedarem. Torak znajdował się pomiędzy nimi! Był zbyt zazdrosny, by pozwolić komukolwiek na dostęp do tego ducha - czy jak to nazwiecie. Tu cię mam! Mnie mówiono, jeśli popełniłem błąd; Zedarowi nie. Nagle miałem ochotę zatrzepotać skrzydłami i zapaść jak kogut.

Słuchałem bardzo uważnie, jak Zedar opisywał moje starcie z Morindimami i ich demonami. Trochę przesadzał. Zedar zawsze wyrażał się zbyt kwieciście, ale tym razem miał ku temu bardzo dobry powód. To, czy nadal pozostanie w dobrym zdrowiu, zależało od umiejętności przekonania Toraka, że byłem nieodgadniony.

Zedar zakończył barwny opis mojego Naczelnego Demona. Na długą chwilę zapadła cisza.

— *Rozważę to i zasięgnę rady Konieczności* — powiedział w końcu Torak. — *Idź tropem swego brata, ja tymczasem obmyślę nowe sposoby, by go opóźnić. Nie ma potrzeby Belgaratha niszczyć. CZAS ZDARZENIA jest równie ważny jak samo ZDARZENIE.*

Wnioski z tego były oczywiste. Nie istniały inne pułapki. Wszystko uzależnili od Morindimów. Miałem ochotę się uśmiechnąć, ale to trochę trudne, gdy ma się dziób. Nie było zatem potrzeby dłużej zwlekać; wiedziałem, co chciałem wiedzieć. Postanowiłem wyłączyć Zedara z działania tu i teraz. Mogłem przefrunąć na wierzchołek nad nim, zmienić postać i runąć na Zedara niczym walący się dach.

— *Jeszcze nie teraz* — powiedział głos. — *Jeszcze nie czas.*

— *Kiedy zatem?*

— *Za kilka minut może zechcesz ponownie rozważyć swój plan. Myślę, że ma pewne luki.*

Po chwili namysłu zdałem sobie sprawę, że głos miał rację. Spadnięcie Zedarowi na głowę nie było dobrym pomysłem. Równie dobrze mogłem sam stracić przytomność, co Zedara jej pozbawić. Poza tym chciałem z nim najpierw trochę porozmawiać.

Mgliste poczucie obecności Toraka zniknęło. Okaleczony Bóg z Cthol Mishrak zajęty był naradą z inną świadomością. Zedar zaczął schodzić ze wzgórza przez kosodrzewinę, kierując się z powrotem na szlak.

Podleciałem i wylądowałem na śniegu kilkaset jardów przed nim. Potem wróciłem do swej postaci i czekałem, oparty niedbale o drzewo.

Widziałem zielonkawe światełko Zedara migoczące pomiędzy drzewami, gdy szedł w moim kierunku. Wykorzystałem ten czas na opanowanie swego niebotycznego gniewu. Nie można pozwolić, by emocje wzięły górę w jakimkolwiek konflikcie.

W końcu Zedar wyszedł spośród drzew na drugim krańcu polany.

- Co cię zatrzymało? - zapytałem go spokojnym tonem.

- Belgarath! - krzyknął zdumiony.

- Chyba musiałeś przysypiać, Belzedarze. Nie czułeś mej obecności? Nie starałem się ukrywać.

- Dzięki Bogu, że jesteś - powiedział z udawanym entuzjazmem. Szybko się opanował, muszę mu to przyznać. - Nie słuchałeś? Próbowałem skontaktować się z tobą.

- Biegłem jako wilk. To musiało przytłumić moje zmysły. Co tu robisz?

- Próbowałem cię dogonić. Razem z Alornami niepotrzebnie się narażacie.

-Tak?

- Nie musicie iść do Mallorei. Jajuz odzyskałem Glob. Wasza niedorzeczna wyprawa jest po prostu stratą czasu.

- To zdumiewające. Niech go zobaczę.

- Nie uważałem za bezpieczne zabierać Globu ze sobą. Nie miałem pewności, czy zdołam cię dogonić, a nie chciałem go brać z powrotem do Mallorci, więc schowałem w bezpiecznym miejscu.

- Dobry pomysł. Jak udało ci się odebrać Glob Torakowi? - Pomyślałem, że pozwolę Zedarowi snuć te niestworzone opowieści, dopóki mu starczy pomysłowości.

- Zajmowałem się tym od dwóch tysięcy lat, Belgaracie. Przez cały ten czas pracowałem nad Urvonem. Nadal jest Grolimem, ale lęka się mocy klejnotu naszego Mistrza. Odwrócił uwagę Toraka, dzięki czemu mogłem wśliznąć się do tej żelaznej wieży w Cthol Mishrak i ukraść Glob.

- Gdzie go Torak trzymał? - Ta informacja mogła nam się później przydać.

- Był w pokoju przylegającym do komnaty, w której Torak spędza cały swój czas. Nie chciał tej żelaznej skrzyni w swoim pokoju. Pokusa, by ją otworzyć, mogłaby być zbyt wielka.

- No dobrze - powiedziałem dobrodusznie - to chyba wszystko załatwia. Cieszę się, że się spotkaliśmy, bracie. Nie miałem zbytnej ochoty wędrować do Mallorci. Dogonię Chereka i jego synów, a ty tymczasem pójdziesz po Glob. Potem możemy wszyscy wrócić do Doliny - dodałem. Pozwoliłem mu jeszcze trochę cieszyć się sukcesem. - Nie spodziewałeś się tego po zapijanym rozpustniku o szczątkowej moralności i powadze? - zapytałem, rzucając Zedarowi w twarz jego własne słowa. Potem westchnąłem z prawdziwym żalem. - Dlaczego, Belzedarze? Dlaczego go zdradziłeś naszego Mistrza?

Zedar spojrział na mnie z przerażeniem.

- Powinieneś być bardziej uważny, stary - rzekłem. - Przez ostatnie dziesięć godzin podążałem tuż za tobą. Uważasz, że na prawdę konieczne było podpalenie Etchquawa? - zapytałem. Przy-

znaje, że go prowokowałem. Nadal był moim bratem i nie chciałem pierwszy zadać ciosu. Naciskałem go dalej nieubłaganie. -Jesteś trzecim uczniem Toraka, prawda? Przeszedłeś na drugą stronę. Cóż ci takiego zaproponował, Zedarze? Co na świecie może warte być tego, co uczyniłeś? W tym momencie załamał się.

— Nie miałem wyboru, Belgaracie — szlochał. — Myślałem, że uda mi się zwieść Toraka, że będę mógł udawać, iż akceptuję go i służę mu, ale Torak położył rękę na mej duszy i wyrwał ją ze mnie. Jego dotknięcie, Belgaracie! Boże drogi, jego dotknięcie!

Zebrałem siły. Wiedziałem, co się stanie. Zedar zawsze był nadpobudliwy. To stanowiło jego wielką słabość.

Zaczął mi miotać ogniem w twarz. Pomiedzy jednym szlochaniem a drugim brał zamach, a potem rzucał kulą płomieni, która pojawiała się w jego dłoni.

Odrzucałem ogień niedbałym gestem.

- Nie dość dobre, bracie - powiedziałem. Potem powaliłem go na śnieg. To było rozsądne z taktycznego punktu widzenia. Czulem, jak moja Wola przybiera na sile i ten cios prosto w twarz przyniósł mi ogromną satysfakcję.

Wstał plując krwią i zębami. Usiłował odzyskać panowanie nad sobą. Nie dałem mu na to jednakże czasu. Przez następne kilka minut tańczył na śniegu, robiąc uniki przed piorunami, którymi w niego miotałem. Nadal nie chciałem Zedara zabić, więc przed każdym piorunem posyłałem mu ostrzeżenie. Nie pozwoliłem jednak, by odzyskał równowagę. Syczenie, z jakim błyskawice uderzały w śnieg, wyraźnie go denerwowało.

Zedar otoczył się chmurą absolutnych ciemności, usiłując się ukryć. Rozpędziłem jednak tę chmurę i dalej miotałem w niego błyskawicami. Naprawdę Zedarowi się to nie podobało. Mój brat lękał się wielu rzeczy, a błyskawice do nich należały. Trzaski moich piorunów, syczenie i para zdecydowanie go denerwowały.

Spróbował znowu użyć przeciwko mnie ognia, ale gasiłem jego płomienie, nim jeszcze na dobre zapłonęły. Mógłbym się z Zedarem tak bawić jeszcze dłużej, ale już zrozumiał, kto jest górą. Nie było potrzeby dalej go gnębić, więc skoczyłem na przemieszanie i dosłownie pocałem Zedara wbijać w ziemię gołymi rękoma. Mogłem to zrobić na setki innych sposobów, ale jego zdrada zdawała się wołać o fizyczne zadośćuczynienie. Okładałem go przez chwilę pięściami. Początkowo bronił się, jak mógł. Przez kilka minut szarpaliśmy się, ale dla mnie była to większa przyjemność niż dla niego. Nagromadziło się we mnie wiele gniewu i okładanie Zedara sprawiało mi wielką satysfakcję.

W końcu zdzieliłem zdrajcę solidnie w skroń. Oczy mu się zaszklily i osunął się nieprzytomny na śnieg.

- To cię nauczy - mruknąłem, stając nad jego nieprzytomnym ciałem. Nie było to najmądrzejsze zdanie, ale coś musiałem powiedzieć.

Pojawił się jednakże pewien problem. Co miałem z nim teraz zrobić? Nie chciałem Zedara zabić, a po ciosie, który mu zadałem, długo będzie nieprzytomny. Miałem pewność, że zasady tego spotkania zabraniają głosowi w mej głowie udzielania jakichkolwiek rad, więc byłem zdany jedynie na siebie.

Zamyśliłem się nad nieruchomym ciałem u mych stóp. W obecnym stanie Zedar nie przedstawiał dla nikogo zagrożenia. Wystarczyło, aby w tej kondycji pozostał. Wziąłem go pod pachy i zaciągnąłem pomiędzy drzewa. Przykryłem ciało gałęziami. Pomimo wszystko nie chciałem, aby zamarznął na śmierć lub zadusił się pod zwałami śniegu. Potem wsunąłem rękę pod gałęzie, odszukałem jego twarz i zebrałem Wolę.

- To wszystko musiało być dla ciebie wyczerpujące, Zedarze - powiedziałem. — Może byś się trochę przespał?

Następnie uwolniłem Wolę. Uśmiechnąłem się i wstałem. Starannie to skalkulowałem. Zedar prześpi przynajmniej sześć

miesiący, więc nie będzie nam deptał po piętach, gdy wraz z Alornami udamy się do Cthol Mishrak, by dokończyć to, co zaplanowaliśmy.

Byłem z siebie zadowolony. Przybrałem ponownie postać wilka.

Potem ruszyłem na poszukiwanie Chereka i jego chłopców.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Najwyraźniej wieść o moim Demonie już się rozniosła, ponieważ nie spotkaliśmy Morindimów w trakcie przejścia przez południowy skraj pasma gór. Księżyc oddalił się na południe, ale zorze polarne wystarczająco oświetlały niebo i poruszaliśmy się w dobrym tempie. Wkrótce dotarliśmy na wybrzeże Morza Toraka.

Na szczęście plaża upstrzona była ogromnymi stertami drewna wyrzuconego przez fale. W przeciwnym razie nie byłibyśmy w stanie powiedzieć, gdzie kończy się ziemia, a zaczyna woda. Teren plaży był niemal tak płaski, jak zamrożone morze, a wszystko pokrywała gruba warstwa śniegu.

- Pójdziemy na północ tą plażą - powiedział Riva. — Po jakimś czasie zakręca na wschód. Przejście jest w tamtym kierunku.

- Nie zbliżajmy się lepiej do twego przejścia - rzekłem.

-Co?

- Torak wie, że nadchodzimy. A do tej chwili dowiedział się już pewnie, że Zedar nie potrafił nas zatrzymać. Może przygotować dla nas kilka niespodzianek, jeśli skorzystamy z tego łańcucha wysepek. Lepiej pójdźmy lodem.

- Tam nie ma żadnych punktów orientacyjnych, Belgaracie - zaprotestował. - Nie możemy nawet kierować się słońcem. Zgubimy się.

- Nie, nie zgubimy się, Rivo. Mam bardzo dobre wyczucie kierunku.

- Nawet w ciemnościach?

- Tak. - Rozejrzałem się wokół, mrużąc oczy w mroźnych porывach wiatru z północnego zachodu. - Schowajmy się za tą stertą drewna - powiedziałem. - Rozpalimy ognisko, zjemy coś ciepłego i prześpimy się. Następne dni nie będą przyjemne.

Myślę, że przejście pola lodowego w samym środku zimy nie należy do najmilszych doświadczeń. Z dala od brzegu wiatr ma do ciebie swobodny dostęp, a polarne wichry wieją niemal nieprzerwanie. Oczywiście przy okazji oczyszczają lód ze śniegu, więc przynajmniej nie trzeba brnąć przez zasy. Jednakże i bez nich jest dość problemów. Gdy ludzie mówią o przejściu przez pole lodowe, zwykle mają na myśli zamrożone jezioro, które jest gładkie niczym stół. Morze, z powodu przyływów i odpływów, wygląda zupełnie inaczej. Nieustanne wznoszenie się i opadanie wody jesienią i wczesną zimą powoduje pęknięcie lodu, dopóki nie stanie się na tyle gruby, aby się temu oprzeć. To zaś sprawia, że powstają grzbiety i głębokie szczeliny, które czynią pokonanie zamrożonego morza równie trudnym, co przejście przez pasmo gór. Nie było to zbyt przyjemne.

Słońce dawno porzuciło północ i księżyc również odszedł, nie potrafię więc powiedzieć, ile czasu zajęło przejście przez morze - prawdopodobnie nie tak dużo, jak się nam wydawało, ponieważ przybrałem postać wilka i długo mogłem biec bez przystanku. Co więcej, moje wyścigi z Alornami poprawiły im na tyle kondycję, że potrafili prawie dotrzymać mi kroku.

W każdym razie w końcu dotarliśmy na wybrzeże Mallorei - akurat na czas, jak się potem okazało, ponieważ gdy tylko stanęliśmy na brzegu, rozszalała się trzydniowa śnieżycyca. Schroniliśmy się pod stertą drewna. Dras okazał się bardzo użyteczny. Swym toporem wyrębał nam bardzo przytulne legowisko w środku tej góry drewna. Rozpaliliśmy ognisko i stopniowo odtajaliśmy.

Podczas jednej ze swych wizyt w Dolinie Beldin naszkicował mi przybliżoną mapę Mallorei. Wiele czasu spędziłem pochylony nad nią, podczas gdy śnieżna zawierucha zajęta była usypywaniem kilkumetrowej zasy nad naszym schronieniem.

- Jak daleko od miejsca, w którym przebyliśmy morze, znajduje się przejście? - zapytałem Rive, gdy wichur zaczął słabnąć.

- Nie wiem. Pewnie jakieś pięćdziesiąt lig.

- Jesteś bardzo pomocny, Rivo - powiedziałem kwaśno. Znowu zacząłem się wpatrywać w mapę. Beldin nie wiedział nic o przejściu, oczywiście, więc go nie narysował. Nie zamieścił również skali, tak że mogłem jedynie zgadywać. - Wydaje mi się, że jesteśmy w przybliżeniu na zachód od Cthol Mishrak - oznajmiłem przyjaciółom.

- W przybliżeniu? - zdziwił się Cherek.

- Ta mapa nie jest zbyt dokładna. Pozwala mi w ogólności ustalić położenie miasta, ale to wszystko. Gdy wiatr jeszcze trochę ucichnie, rozejrzemy się. Cthol Mishrak leży nad rzeką, a na północ od niej rozciągają się mokradła. Jeśli znajdziemy mokradła, to będziemy wiedzieli, że jesteśmy dość blisko.

- A jeżeli nie znajdziemy?

- Wówczas będziemy musieli ich poszukać — lub rzeki.

Cherek spojrzał na mapę.

- Możemy być na północ od mokradeł, Belgaracie — zaprote stował. - Lub na południe od rzeki, na przykład. Możemy tak włączyć się po okolicy do lata.

- A masz coś lepszego do roboty?

- No cóż, nie, ale...

- Nie ma powodu do zmartwień, dopóki nie stwierdzimy, co jest w głębi ładu. Twoje wróżby mówią, że to twój szczęśliwy rok, więc może wyszliśmy na brzeg we właściwym miejscu.

- Ale ty nie wierzysz we wróżby.

- Nie, ale ty w nie wierzysz. Może o to w tym chodzi. Jeśli my ślisz, że masz szczęście, to pewnie je masz.

- Zdaje się, że o tym nie pomyślałem - powiedział, a jego twarz nagle rozpozodziła się. Alorna można przekonać niemal 0 wszystkim, jeśli tylko wystarczająco szybko mówić.

Zawinęliśmy się w nasze futra i zapadliśmy w sen. Naprawdę nie było co robić, chyba że przyglądać się jak Dras grał w kości. Drasnianie uwielbiają hazard, ale ja znajdowałem większą przyjemność, śniąc o swej żonie.

Nie jestem pewny, jak długo spałem, ale po jakimś czasie Ri-va obudził mnie.

- Lepiej nastaw swe wyczucie kierunku, Belgaracie - rzekł napastliwym tonem.

- O co chodzi?

- Byłem właśnie na dworze, aby zobaczyć, czy wichur przy cichł. Słońce wschodzi.

Usiadłem szybko.

- Dobrze - odparłem. - Obudź ojca i braci. Przez jakiś czas będziemy mieć trochę światła. Wykorzystajmy to na rozejrzenie się po lądzie. Powiedz, aby nie zwijali obozu. Rozejrzemy się tylko 1 wrócimy. Chcę, by znowu zapadły ciemności, nim ruszymy.

Za plażą ciągnęły się łagodne wzgórki. Podeszliśmy do nich. Dras uderzył siekierą w pokryte śniegiem zbocze.

- Piasek - oznajmił. To zabrzmiało obiecująco.

Wdrapaliśmy się na wydmy. Przed nami rozciągał się karłowaty las, który przypominał dżunglę poznaczoną tu i tam rozległymi polanami.

- Co o tym myślisz? - zapytał mnie Cherek. — Wygląda na pod mokły teren. Oczywiście jest zamrożony, pokryty śniegiem, ale jeśli to owo bagnisko, to polanki latem powinny być pod wodą.

- Rozejrzujemy się - powiedziałem, spoglądając nerwowo na gasnący „świt” wzdłuż południowego horyzontu. - Lepiej się po-

spieszmy, jeśli chcemy tam dotrzeć, nim znowu zapadną ciemności.

Zbiegliśmy z wydmy pomiędzy sękatę, karłowate drzewka. Oczyszcilem nogą ze śniegu kawałek ziemi.

- Łód - oświadczyłem z pewną satysfakcją. - Wyrąb w nim dziurę, Drasie. Muszę przyjrzeć się wodzie.

- Stępisz mój topór, Belgaracie — narzekał.

- Możesz go ponownie naostrzyć. Zaczynaj rąbać.

Dras rzucił pod nosem kilka przekleństw, wyprężył swe muskularne ramiona i wziął się do pracy.

- Mocniej, Drasie - ponaglałem go. - Chcę dostać się do wody, nim się ściemni.

Dras rąbał mocniej i szybciej, rozpryskując na wszystkie strony kawałki lodu. Po kilku minutach z dna otworu zaczęła się sączyć woda.

Z trudem powstrzymałem się, by nie zatańczyć z radości. Woda była brązowa.

- Wystarczy - powiedziałem. Przyklęknąłem, nabrałem w dłoń wody i posmakowałem. — Słonawa — oznajmiłem. — W porządku, to woda z bagniska. Wygląda na to, że twoje wróżby sprawdziły się, Chereku. To jest twój szczęśliwy rok. Wracajmy na plażę i zjedzmy śniadanie.

W drodze powrotnej Algar zajął miejsce u mego boku.

- Rzekłbym, że to również twój szczęśliwy rok, Belgaracie - mruknął cicho. - Ojciec nie miałby najlepszego humoru, gdybyśmy przegapili to bagnisko.

- W żaden sposób nie mogłem się zgubić, Algarze - odparłem wesoło. - Gdy wrócimy na plażę, pożyczę od twego brata kości i przez cały dzień będę wyrzucał same trafne.

- Nie gram w kości. O czym ty mówisz?

- To gra zwana hazardem - wyjaśniłem. — Podajesz liczbę, nim rzucisz kostką. Jeśli wypadnie, wygrałeś. Te liczby nazywamy trafnymi.

- A jeżeli nie wypadną, przegrałeś?
- To trochę bardziej skomplikowane. Niech ci Dras pokaże.
- Mam lepsze sposoby na wydawanie swych pieniędzy, Belga racie. Nasłuchałem się opowieści o kościach mego brata.
- Nie myślisz chyba, że oszukuje? Jesteś jego bratem.
- Gdy w grę wchodzi pieniądze, Dras okłamałby własną matkę. Rozumiecie teraz, co myślę o Drasnianach?

Wróciliśmy do naszej kryjówki. Riva przyrządził obfite śniadanie. Gotowanie jest robotą, której nikt nie lubi - z wyjątkiem mej córki, oczywiście - więc zwykle przypada ono w udziale najmłodszemu. O dziwo, Riva nie był złym kucharzem.

* * *

Nie wiedziałaś o tym, prawda, Poi?

* * *

- Rozpoznasz to miejsce, gdy je zobaczysz? - zagrzmiął Dras z ustami pełnymi bekonu.

- Nie powinno być z tym kłopotu — odparłem — jako że to je dyne miasto na północ od rzeki.

- Nie wiedziałem o tym - odparł.

- Można powiedzieć, że będzie się rzucało w oczy - mówiłem dalej. - Jest wiecznie spowite chmurami.

Dras zmarszczył brwi.

- Co jest tego przyczyną?

- Torak, sądząc z tego, co powiedział Beldin.

- Czemu to robi?

Wzruszyłem ramionami.

- Może nienawidzi słońca.

Nie chciałem się zbytnio rozwodzić. Drobiazgi wprawiaj;) Drasa w zakłopotanie. Wielkie sprawy mogłyby nadwerężyć mu mózg.

% %

Przepraszam cały naród Drasnian za tę ostatnią uwagę. Dras był odważny, silny i absolutnie lojalny, ale czasami trochę wolno myślał. Jego potomkowie świetnie się z tym uporali. Jeśli ktoś nie wierzy, niech spróbuje interesów z księciem Kheldarem.

* * *

Dobrze zatem - powiedziałem, gdy zjedliśmy. - Torak jest bardzo nieustępliwy. Gdy raz uczepi się jakiejś myśli, nie pozwoli się od niej odciągnąć. Prawie na pewno wie o przejściu - szczególnie od czasu, gdy Karandowie korzystają z niego, by handlować z Morindimami, a Karandowie czczą teraz Toraka. Choć prawdopodobnie używają tego przejścia jedynie latem, gdy nie ma lodu. Nie sądzę, aby Torak brał pod uwagę możliwość przeprawy po lodzie.

- Do czego zmierzamy? - zapytał Cherek.

- Jestem pewny, że Torak się nas spodziewa, ale oczekuje, iż nadejdziemy z północy - od strony przejścia. Jeśli wysłał ludzi, aby nas zatrzymali, tam właśnie będą.

Riva roześmiał się uradowany.

- Ale my nie nadejdziemy z północy, prawda? Zaskoczmy ich z zachodu.

- Słuszna uwaga - mruknął Ałgar z absolutnie poważną twarzą. Bardzo dobrze to ukrywał, ale Algar był o wiele lotniejszy niż jego bracia czy ojciec. Być może dlatego właśnie nie silił się na rozmowy z nimi.

- Potrafię sprawić, aby Angarakowie skierowali swą uwagę na północ - mówiłem dalej. - Teraz, gdy zamiecie już ucichły, ozdobię pokryty śniegiem brzeg w pobliżu przejścia śladami stóp, a w zaroślach rozpylę nasz zapach. To powinno zwieść chandimy.

- Chandimy? - Dras spojrział na mnie z zakłopotaniem.

- Psy Toraka. Będą próbowały nas wytropić. Pozostawię im dość śladów, aby skierować ich węższenie na północ. Jeśli będzie-

my w miarę ostrożni, powinniśmy dotrzeć do Cthol Mishrak nie zauważeni.

- Cały czas to wiedziałeś, prawda, Belgaracie? - zapytał Riva.
- To dlatego kazałeś nam iść po lodzie zamiast udać się do lądowego przejścia.

Wzruszyłem ramionami.

- Naturalnie - odparłem skromnie. To było oczywiście kłamstwo w żywe oczy; ja po prostu złożyłem wszystkie fakty do kupy. Ale opinia nieomylnie mądrego nie zawadzi, gdy masz do czynienia z Alornami. Już wkrótce może się zdarzyć, że przyjdzie mi po dejmować decyzje jedynie kierując się domysłami i nie będę miał czasu na dyskusje.

Ciemności zapadły ponownie, gdy wyczołgaliśmy się z naszego legowiska i ruszyliśmy przez śnieżne wydmy ku zamrożonym mokradłom na wschodzie. Wkrótce przekonaliśmy się, że nie wszystkie chandimy skierowały się na północ, by tam warować na nas, czekając. Od czasu do czasu natykaliśmy się na świeżym śniegu na ślady wielkości końskich kopyt i raz po raz słyszeliśmy ujadanie chandimów na bagnisku.

W tym miejscu muszę się do czegoś przyznać. Pomimo swych zastrzeżeń w tym względzie, manipulowałem jednak nieco przy pogodzie. Stworzyłem dla nas małą, podręczną zasłonę mgielną i bardzo posłuszną chmurkę śnieżną, która podążała za nami jak szczeniaczek, z radością zasypując nasze ślady świeżym śniegiem. Naprawdę nie trzeba dużo, by uszczęśliwić chmurkę. Cały czas jednak bacznie kontrolowałem poczynania chmurki i mgły, aby ich działania nie wpłynęły w znaczący sposób na pogodę. Ukryci pomiędzy nimi, byliśmy bezpieczni, a świeży śnieg tłumił odgłosy naszych kroków. Potem przywołałem chętną do współpracy rodzinę cybetów, by szła za nami. Cybety to miłe małe stworzonka spokrewnione ze skunksami, tyle że zamiast pasków mają kropki. Jednakże w podobny sposób radzą sobie ze stworzeniami, które

je zdenerwują - o czym mógł przekonać się jeden z psów Toraka, gdy podszedł zbyt blisko. Przez następne kilka tygodni inne chandimy będą raczej unikać jego towarzystwa.

Kilka dni przekradaliśmy się nie zauważeni przez zamarznięte bagniska, kryjąc się w gąszczu w ciągu krótkiego dnia i wędrując podczas długich polarnych nocy.

Pewnego ranka nasza mgła zaczęła opalizować. Pozwoliłem się jej rozproszyć. Chciałem się rozejrzeć, ale naprawdę nie było to konieczne. Wiedziałem, co rozświetlało mgłę. Słońce w końcu sięgnęło horyzontu. Zima mijała i czas było się spieszyć. Gdy mgła się przeczesała, zobaczyliśmy, że zbliżamy się do wschodniego krańca mokradel. Pasma niskich wzgórz wznosiło się kilka mil przed nami, a tuż za pagórkami rozciągała się atramentowoczarna zasłona z chmur.

— Oto jest - powiedziałem bardzo cicho do Chereka i jego chłopców.

- Co? - zapytał Dras.

—Cthol Mishrak. Mówiłem wam o chmurach, pamiętacie?

—Ach, tak. Zdaje się, że zapomniałem.

- Ukryjmy się i poczekajmy na zapadnięcie ciemności. Musimy być bardzo ostrożni.

Dobrnęliśmy do zarośli porastających niski wzgórek. Przesuwałem swą śnieżną chmurkę kilka razy tam i z powrotem nad naszymi śladami i odesłałem do domu z podziękowaniami. Po chwili namysłu zwolniłem też cybety.

- Masz plan? - zaniepokoił się Riva.

- Pracuję nad nim - odparłem krótko. Prawdę powiedziawszy nie miałem planu. Nie myślałem, że dojdziemy aż tak daleko. Uznałem, że to odpowiednia chwila, by uciąć sobie pogawędkę z przyjacielem z poddasza.

^*Jesteś tam jeszcze?*'- zapytałem na próbę.

— *Nie, wtórzę się gdzieś bezmyślnie. A gdzież indziej miałbym być, Belgaracie?*

—Zdaje się, że to głupie pytanie. Wolno ci opisać miasto?

—Nie, ale to zbyteczne. To, co opowiedział ci Beldin, powinno wystarczyć. Wiesz, iż Torak przebywa w żelaznej wieży i że Glob jest z nim.

—Czy mam być na coś przygotowany? To znaczy, czy dojdzie w Cthol Mishrak do kolejnego z tych spotkań? Myśl o zapasach z Torakiem nie zbyt mnie pociąga.

—Nie. Wszystko zostało załatwione, gdy spotkałeś się z Zedarem.

—To znaczy, że jedno spotkanie wygraliśmy?

—Wygraliśmy prawie połowę z nich. Jednakże nie rób się zbyt pewny siebie. Czysty przypadek może ci stanąć na drodze. Wiesz, co robić, gdy się już tam dostaniesz, prawda?

I nagle wiedziałem. Nie pytajcie skąd, po prostu wiedziałem.

—Może lepiej wyruszę sam na przeszpiegi — zasugerowałem.

—Absolutnie wykluczone. Nie marnuj czasu na bezcelowe włóczenie się. Bierz Alornów, rób, co do ciebie należy, i wynoś się.

—Czy jesteśmy zgodnie z planem?

—Tak, jeśli zrobisz to tej nocy. Później będziesz miał kłopoty. Nie próbuj ponownie ze mną rozmawiać, dopóki nie opuścisz miasta. Nie wolno mi będzie ci odpowiadać. Powodzenia — dodał i ponownie zniknął.

Jasno było przez około trzy godziny, które mnie wydawały się trzema latami. Gdy w końcu z ociąganiem zapadł zmierzch, byłem bardzo zdenerwowany.

— Ruszajmy - powiedziałem do Alornów. - Jeśli natkniemy się na Angaraków, załatwcie się z nimi krótko i nie róbcie więcej hałasu, niż to konieczne.

—Jaki mamy plan? — zapytał Cherek.

— Po drodze go opracuję — odparłem. Czemu tylko ja mam się denerwować?

Cherek z trudem przełknął ślinę.

— Oświetl drogę — rzekł. Mówcie o Alornach, co chcecie, ale nikt nie może odmówić im odwagi.

Wyczołgaliśmy się z zarośli i przebrnęliśmy przez śnieg na skraj mokradeł. Nie martwiłem się zbyt o nasze ślady, ponieważ Grolimowie patrolowali regularnie tę część bagnisk i ich ślady były wszędzie, co jakiś czas przemieszane z tropami psów. Kilka więcej nic nie znaczy.

Szczyście nam dopisywało. Z zachodu nadciągnęła śnieżycza i wyjący wicher oczyścił ze śniegu zbocza wzgórz przed nami. Nie minęła godzina, gdy dotarliśmy na szczyt i po raz pierwszy spojrzeliśmy na Miasto Wiecznej Nocy.

Oczywiście widziałem żelazną wieżę Toraka, ale nie ona mnie niepokoiła. Światło nie było najlepsze, ale wystarczająco dobre, by ujawnić fakt, że Cthol Mishrak otaczał mur. Zakląłem.

- O co chodzi? - zapytał Dras.

- Widzisz ten mur?

- Tak.

- To oznacza, że będziemy musieli przejść przez bramę, a wy nie wyglądacie za bardzo na Grolimów.

Dras wzruszył ramionami.

- Za bardzo się martwisz, Belgaracie - zagrzmiał. - Po prostu zabijemy strażników, a potem wejdziemy jak do siebie.

- Chyba moglibyśmy wymyślić coś lepszego - powiedział ci cho Algar. - Sprawdźmy, jak wysokie są te mury.

Jak już zapewne wspominałem, wicher zmiótł do czysta śnieg z zachodnich stoków i przesunął go na wschodnią stronę. Patrzyliśmy na wysokie zaspy. Nie wyglądało to wcale dobrze.

- Nie ma rady, Belgaracie - rzekł posępnie Cherek. - Będziemy musieli pójść tamtą drogą. - Wskazał na wąską ścieżkę, która wiała się w górę zbocza od bramy miasta.

- Chereku — odparłem ze smutkiem — ta ścieżka jest kręta jak wąż o przetrąconym grzbiecie, a śnieg po obu jej stronach leży tak wysoko, że nie będziemy widzieć, czy ktoś nie nadchodzi. Wpadniemy na niego, nim cokolwiek zobaczymy.

Cherek wzruszył ramionami.

- Ale będziemy się go spodziewać - powiedział. — Tyle prze wagi nam chyba wystarczy, prawda?

To była czysta głupota, oczywiście, ale nie potrafiłem wymyślić niczego lepszego poza brnięciem przez zasy, a na to nie mieliśmy czasu. Spieszyliśmy się do Cthol Mishrak na umówione spotkanie i nie chciałem się spóźnić.

- Spróbujmy - poddałem się.

Rzeczywiście spotkaliśmy jednego Grolima po drodze do miasta, ale Algar i Riva skoczyli na niego, nim zdążył krzyknąć i rozprawili się z napastnikiem szybko swymi sztyletami. Potem podnieśli go, zakręcili Grolimem kilka razy i przerzucili za śnieżny wał po lewej stronie, gdy tymczasem Dras zagarnął nogą śnieg na kałużę krwi.

- Moi synowie dobrze współpracują, prawda? - zauważył Cherek z ojcowską dumą.

- Bardzo dobrze - przyznałem. - Jak wydostaniemy się z tej ścieżki przed dotarciem do bramy?

- Podejźmy nieco bliżej, a potem wydrążymy tunel w śniegu. Ostatni zawali wejście. Nikt nigdy się nie dowie, że tu byliśmy.

- Sprytne. Czemu ja na to nie wpadłem?

- Pewnie dlatego, że nie nawykłeś do życia w krainie śniegu. Gdy miałem około piętnastu lat, w Val Alorn mieszkała pewna mężatka, która wpadła mi w oko. Jej mąż był stary i bardzo za zdrosny. Nim zima się skończyła, dookoła domu owej niewiasty miałem wydrążony tunel w śniegu.

- Twoja młodość była fascynująca. Ile miała lat?

~ Chyba około trzydziestu pięciu. Nauczyła mnie wielu rzeczy.

- Mogę sobie wyobrazić.

- Opowiem ci o tym, jeśli chcesz.

- Może innym razem. Teraz mam za dużo na głowie.

Mogę się założyć, że nigdy nie czytaliście o tej rozmowie w „Księdze Alornów”.

* * *

Algar poszedł przodem, ostrożnie wyglądając za każdy zakręt krętej ścieżki. Po chwili wrócił.

- Podeszliśmy dostatecznie blisko - powiedział krótko. - Bra my są za następnym zakrętem.

- Jak wysokie są mury? - zapytał ojciec.

- Nie jest źle - odparł Algar. — Gdzieś na dwanaście stóp.

- Dobrze - rzekł Cherek. — Poprowadzę. Wiecie, co robić, chłopcy.

Kiwnęli głowami. Nie wyglądali na urażonych nazwaniem ich „chłopcami”. Dziewięćdziesięcioletni Cherek nadal ich tak nazywał.

Kopanie tunelu w śniegu nie jest wcale takie trudne, szczególnie gdy ma się pomoc. Cherek pierwszy przekopywał się przez śnieg. Kierował się lekko ku górze, zmierając na lewo od bramy. Dras szedł za nim, prostując się co kilka kroków, aby sprasować śnieg nad sobą. Następny podążał Riva, rozpychając się na boki ramionami, by poszerzyć tunel w śniegu.

- Teraz ty - powiedział Algar. - Uklepuj brzuchem dno tunelu.

- Nie budujemy przecież tego tunelu na stałe, Algarze - za protestowałem.

- Ale chyba będziemy chcieli wydostać się z powrotem, co, Belgaracie?

- Zdaje się, że o tym nie pomyślałem.

Był na tyle grzeczny, aby tego nie komentować.

- Ja pójdę ostatni - powiedział. - Wiem jak zamknąć tunel, aby nikt nie zobaczył wejścia.

Chociaż musieliśmy się spieszyć, wiedziałem, że nadal mieliśmy przynajmniej piętnaście godzin, nim słońce ponownie poja-

wi się na krótko nad południowym horyzontem. Przez kilka godzin ryliśmy jak krety, aż w końcu wpadłem na stopy Rivy.

- Co się stało? - zapytałem. - Czemu się zatrzymaliśmy?

- Ojciec dotarł do muru - odparł. - Widzisz? Nie było tak źle.

—Gdzie się tego nauczyliście?

—Czasami tak polujemy i to dobry sposób na podejście nie przyjaciela.

-Jak przedostaniemy się przez mury?

- Stanę Drasowi na ramionach, a Algar ojcu. Wdrapiemy się na mury, a potem wciągniemy pozostałych. Nie byłoby to możliwe, gdybyśmy byli niżsi. Wpadliśmy na ten pomysł w czasie ostatniej wojny klanów - spojrział przed siebie. — Możemy ruszać. Ojciec wyszedł z tunelu.

Przesuwaliśmy się cał po calu i wkrótce stanęliśmy przy murze. Cherek i Dras zaparli się rękoma o kamienie, a Algar i Riva wspięli się po ich plecach, uchwycili szczytu muru i podciągnęli się.

— Najpierw Belgarath — szepnął Riva. — Podnieście go, abym mógł dosięgnąć jego ręki.

Dras schwycił mnie w pasie i podniósł. Wówczas to przekonałem się, jak silne były ręce Rivy. Miałem wrażenie, że z koniuszków palców tryśnie mi krew, gdy pochwycił mą wyciągniętą dłoń.

A potem znaleźliśmy się w mieście. Beldin opisał Cthol Mishrak jako przedmieście Piekła. Stwierdziłem, że jego opis pasował do tego, co zobaczyłem. Budynki stały stłoczone, a wąskie, kręte uliczki przesłonięte były nawisami drugich pięter, które stykały się nad głowami. Zapewniam was, że w mieście tak daleko wysuniętym na północ nie było to pozbawione sensu. Przynajmniej ulic nie zasypywał śnieg, ale zupełny brak okien w domach sprawiało, że przypominały przedsionki lochów. Dymiące smolście, z rzadka rozmieszczone pochodnie zapewniały nędzne oświetlenie. Wyglądało to przygnębiająco, ale ani ja, ani moi przyjaciele

nie tęskniliśmy za jasnymi bulwarami. Skradaliśmy się, a to czynność, którą najlepiej robić w ciemności.

Nie jestem pewny, czy te zadymione wąskie korytarze były wydłubione za sprawą porozumienia pomiędzy moim przyjacielem z poddasza i jego przeciwnością, czy też taki był zwyczaj w Mieście Wiecznej Nocy - nie bez przyczyny, skoro psy biegały wolne - ale zagłębiając się w samo serce Angaraku nie napotkaliśmy żywej duszy.

W końcu wyszliśmy na plac w środku miasta. Z wiecznego mroku wyłoniła się wieża. Była z żelaza - tak jak to opisał Beldin. Wysokością przewyższała nawet wieżę Aldura - co nie powinno specjalnie dziwić, biorąc pod uwagę charakter Toraka. Była ogromna i monumentalnie paskudna. *Żelazo* nie jest materiałem na bardzo piękne budowle. Oczywiście była czarna i nawet z oddali wyglądała dziobate. W końcu stała tam od dwóch tysięcy lat. Jednakże ani ja, ani Alornowie tak naprawdę nie patrzyliśmy na ów monumentalny pomnik ego Toraka. My spoglądaliśmy na parę ogromnych psów pilnujących nabijanych ćwiekami drzwi.

- Co teraz? — szepnął Algar.

- Nic prostszego - odrzekł z przekonaniem Dras. — Przejdę przez plac i wyluskam ich mózgi moją siekierą.

Musiałem natychmiast położyć temu kres. Alornowie gotowi jeszcze uznać za dobry ten absurdalny plan.

—Nie uda się — powiedziałem szybko. - Zaczną ujadać, gdy tyl ko cię zobaczą, a to postawi na nogi całe miasto.

—Dobrze, w takim razie, jak przejdziemy? - zapytał wojowniczo.

- Pracuję nad tym.

Myślałem bardzo szybko i nagle rozwiązanie samo przyszło mi do głowy. Wiedziałem, że się powiedzie, ponieważ już raz to zadziałało.

— Wycofajmy się do tego zaułka — mruknąłem. — Mam zamiar znowu zmienić postać.

- Jako wilk nie dorównujesz im wielkością, Belgaracie - za uważ)! Cherek.

- Nie mam zamiaru zmienić się w wilka — zapewniłem go. - Lepiej się trochę odsunąć. Dopóki nad nim nie zapanuję, może być trochę niebezpieczny.

Alornowie cofnęli się nerwowo.

Nie przemieniłem się w wilka ani w sowę, ani w orła, ani nawet w smoka.

Stałem się cybetem.

Alornowie odsunęli się jeszcze dalej.

Ten pomysł pewnie nie zdałby egzaminu, gdyby psy Toraka były prawdziwymi psami. Nawet najgłupszy pies wie, że należy unikać cybeta czy skunksa. Chandimy były jednak Grolirnami i na wszystkie dzikie zwierzęta patrzyły z pogardą. Zadarłem swój kropkowany ogon, machając nim ostrzegawczo i ruszyłem ku chandimom przez zaśnieżony plac. Gdy podszedłem na tyle blisko, aby mnie zobaczyły, jeden z nich warknął tak okropnym głosem, jakby przeżuwał słowa:

- Wynoś się.

Zignorowałem go i nadal szedłem w kierunku psów Toraka. Potem, gdy uznałem, że znalazły się już w moim zasięgu, odwróciłem się i skierowałem na chandimy swój niebezpieczny odwłok.

* * *

Chyba nie muszę wdawać się w szczegóły. To dość odrażające. Nie chciałbym urazić żadnej z pań, która będzie to czytać.

* * *

Prawdziwy pies po przygodzie ze skunksem lub cybetem będzie ujadął i wył, aby wszyscy wiedzieli, jak bardzo mu przykro, ale stwory przy drzwiach nie były prawdziwymi psami. Chandimy zaczęły machać łapami, tarzać się, chować nos w śniegu i trzeć łapami oczy.

Zerknąłem na nich przez ramię i posłałem następną porcję, tak dla pewności.

Gdy odwróciłem się ponownie, chandimy na oślep niezdarnie szły przez plac, zatrzymując się co kilka kroków, by znowu tarzać się w śniegu. Nie czekały ani nie wyły, ale zawzięcie skamlały.

Wróciłem do własnej postaci, przywołałem machnięciem ręki Chereka i chłopców, po czym przyłożyłem koniuszki palców do żelaznych drzwi. Wyczułem zamek. Nie należał do zbyt skomplikowanych, więc otworzyłem go pojedynczą myślą i cał po calu zacząłem powoli uchylać drzwi. Mimo to w ciszy panującej na placu bardzo hałasowały przy otwieraniu. Nie sądzę jednak, aby dźwięk niósł się zbyt daleko.

Cherek i jego synowie podeszli na pewną odległość i zatrzymali się.

—No, chodźcie - szepnąłem.

—W porządku, Belgaracie - odszepnął Cherek. - Idź przedem. Pójdziemy za tobą.

Wydawało mi się, że usiłuje wstrzymać oddech.

— Nie bądź durniem - warknąłem. — Ten zapach tutaj pozostawiał po psach. Ja nie zostałem ochlapany — w każdym razie nie w tej postaci.

Oni jednak nadal nie mieli ochoty podejść bliżej.

Mruknąłem pod nosem kilka przekleństw i wsunąłem się bokiem przez szparę w drzwiach. W środku panowała absolutna ciemność. Pogmerałem w sakiewce u pasa, wyciągnąłem ogarek i zapaliłem go dotknięciem kciuka.

* * *

Przyznaję, to było trochę ryzykowne. Wiedziałem jednak, że Torak nie powinien się mieszać. Wołałem się co do tego upewnić, nim pójdziemy dalej.

* * *

Alornowie wśliznęli się za mną i zaczęli się nerwowo rozglądać.

- Którędy? - szepnął Cherek.

- W górę, tędy, zdaje się — odparłem wskazując stalowe schody wijące się w ciemności. - Nie ma powodu budować wieży, jeśli nie planuje się mieszkać na jej szczycie. Rozejrzę się jednak najpierw na dole.

Osloniłem świeczkę i ruszyłem wzdłuż wewnętrznej ściany. Trafiłem na drzwi, których przedtem nie widziałem. Dotknąłem ich końcami palców i wyczułem z tyłu schody. Wiodły w dół. To była jedna z tych rzeczy, którą powinienem zrobić, po dostaniu się do wieży. Nie mam pojęcia dlaczego, ale musiałem wiedzieć, gdzie były te schody. Pamięć o ich położeniu nosiłem w głowie przez ponad trzy tysiące lat. Potem, gdy wróciłem do Cthol Mishrak z Garionem i Silkiem, w końcu zrozumiałem dlaczego.

Teraz jednak wróciłem do żelaznych schodów wiodących w górę.

- Chodźmy - zaproponowałem.

Cherek skinął głową, wziął ode mnie świeczkę, po czym wyciągnął swój miecz. Ruszył w górę schodów. Tuż za nim Riva i Algar, a ja z Drasem zamykałem pochód.

To była długa wspinaczka. Wieża Toraka była bardzo wysoka. Nie musiała być tak wielka, ale znacie Toraka. Prawdę powiedziawszy, jestem nieco zaskoczony, że jego wieża nie sięgała gwiazd.

W końcu dotarliśmy na szczyt. Tam były kolejne żelazne drzwi.

- Co teraz? - szepnął Cherek.

- Możesz je otworzyć - powiedziałem. — Torak przypuszczał nie nic nam nie będzie mógł zrobić, ale o tym przekonamy się, gdy wejdziemy. Starajcie się jednak cicho zachowywać.

Cherek wziął głęboki oddech, podał świecę Algarowi i położył dłoń na klamce.

- Powoli - ostrzegłem.

Skinął głową i nacisnął klamkę z przesadną ostrożnością.

Beldin nie mylił się. Torak rzeczywiście musiał coś zrobić, aby *żelazo* nie rdzewiało, gdyż drzwi zaskakująco mało hałasowały przy powolnym otwieraniu.

Cherek zająrzył do środka.

— Jest tam - szepnął do nas. — Myślę, że śpi.

— Dobrze - mruknąłem. — Ruszajmy. Noc nie będzie trwała wiecznie.

Weszliśmy ostrożnie do komnaty. Natychmiast spostrzegłem, że poza innymi swymi wadami, Torak był również plagiator. To pomieszczenie bardzo przypominało pokój mojego Mistrza na szczycie jego wieży - z tą różnicą, że w wieży Toraka wszystko było z żelaza. Pomieszczenie oświetlał przyćmiony blask bijący od ognia na kominku.

Bóg-smok rzucał się i wiercił na swym żelaznym łożu. Chyba nadal trawiły go płomienie. Swą zmasakrowaną twarz skrył pod stalową maską, która wiernie oddawała wygląd jego twarzy przed spaleniem. To była piękna robota. Jednakże sama maska, przez fakt, że jej repliki zdobiły każdą angarską świątynię, sprawiała złowieszcze wrażenie. W odróżnieniu od owych nieruchomych kopii, maska zakrywająca twarz Toraka poruszała się. Najwyraźniej Bóg cierpiał katusze. Być może to okrutne, ale nie było mi go żal. Jeden oczodół ział pustką. Lewe oko Toraka nadal widocznie płonęło.

Okaleczony Bóg wiercił się i obracał, pogrążony w bolesnej drzemce. Wydawało się, że jego palące oko śledzi nas i obserwuje, choć sam Torak był bezsilny wobec tego, co zamierzaliśmy zrobić.

Dras podszedł do łoża, ściskając swój bojowy topór.

- Mógłbym oszczędzić światu wielu kłopotów - zaproponował.

— Nie bądź niedorzeczny — powiedziałem. — Twój topór jedy nie odbiłby się od niego, co mogłoby Toraka po prostu obudzić.

- Rozejrzałem się po pokoju i dostrzegłem drzwi dokładnie na przeciwko tych, którymi weszliśmy. A ponieważ w pomieszczeniu było tylko dwoje drzwi, znacząco zawężyło to poszukiwania. - Chodźmy, panowie — rzekłem do swych towarzyszy. — Czas zrobić to, po co przyszliśmy.

Rzeczywiście nadeszła już pora. Nie pytajcie, skąd o tym wiedziałem, ale to zdecydowanie był odpowiedni czas. Przeszedłem przez pokój Toraka i otworzyłem drzwi. Płonące oko śledziło każdy mój krok.

Pomieszczenie za drzwiami nie było duże — niewiele większe od schowka. Dokładnie pośrodku stał żelazny stół wielkości nocnej szafki. Na owym stoliku leżała żelazna szkatułka. Wydawała się rozpalona, jakby dopiero co wyjęto ją z paleniska w kuźni, ale nie czerwieniła się jak rozżarzone żelazo.

Jarzyła się błękitnym blaskiem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Czemu ona się tak jarzy? - szepnął Dras.
- Może z radości na nasz widok - odparłem. Skąd miałem wiedzieć, dlaczego się świeciła?
- Czy nie jest niebezpieczna? - zapytał przezornie Algar.
- Nie jestem pewny - odparłem. - Glob jest groźny, ale czy szkatułka też, nie wiem.
- Jeden z nas musi ją otworzyć - powiedział Algar. - Torak mógł ją tu umieścić, aby nas zwieść. Może szkatułka jest pusta, a sam Glob znajduje się gdzie indziej.
- Cel sprawił, że wiedziałem, kto miał otworzyć skrzynkę i wyjąć Glob. Miałem również świadomość, że powinien to być ochotnik. Musiałem więc ich nieco ukierunkować.
- Glob cię zna, Belgaracie - rzeki Cherek. - Ty to zrób.
- Pokręciłem głową.
- Mnie nie wolno. Mam inne zadania. Ten, kto weźmie Glob, resztę swego życia poświęci na jego strzeżenie. Jeden z was, panowie, będzie musiał to zrobić.
- Ty zdecyduj, kto to ma być - powiedział Cherek.
- Nie wolno mi tego uczynić.
- To bardzo proste, Belgaracie - odezwał się Dras. - Po kolei będziemy próbowali otwierać szkatułkę. Ten, który przeżyje, będzie tym właściwym.

—Nie - odparłem stanowczo. — Na każdego z was czekają ja kieś zadania i śmierć tu, w Cthol Mishrak, nie jest nikomu pisana - spojrzałem na rozjarzoną szkrzynkę. - Chcę, panowie, abyście byli absolutnie szczerzy. Glob jest najpotężniejszą rzeczą na świecie. Ten z was, który go weźmie, będzie mógł wszystko. Glob jednak nie chce robić po prostu wszystkiego. Ma swoje własne za miary i nie będzie zadowolony, jeśli ktoś spróbuje wykorzystać Glob wbrew jego woli. Torak już to odkrył. Wejrzyjcie w swe serca, panowie. Potrzebny jest ktoś, kto nie jest ambitny. Potrzebny jest ktoś, kto dobrowolnie poświęci całe życie na strzeżenie Globu, nigdy nie próbując go użyć. Ten, kogo pociąga nieograniczona władza, nie jest osobą, której szukam.

—To mnie wyklucza — powiedział Cherek wzruszając lekko ramionami. -Jestem królem, a władcy powinni być ambitni. Gdy tylko się upiję, zaraz spróbuję go wykorzystać. - Spojrzał na swych synów. - To musi być jeden z was, chłopcy.

—Pewnie potrafiłbym utrzymać na wodzy swą ambicję - wyznał Dras - ale myślę, że powinien to być ktoś bardziej bystry ode mnie. Umiem pokierować bitwą, ale od zbytniego myślenia boli mnie głowa.

Brutalna szczerość tego wyznania zdecydowanie poprawiła moją opinię o Drasie.

Riva i Algar spojrzeli na siebie, po czym Riva wzruszył ramionami i uśmiechnął się rozbijająco.

—No dobrze - rzeki. -I tak nie mam nic lepszego do roboty. Otworzył szkatułkę i wyjął Glob.

—*Tak!* — zawołał głos w mej głowie.

— No to, skoro już to ustaliliśmy — powiedział niedbałym tonem Algar — możemy ruszać z powrotem.

* * H=

Oto, co naprawdę wydarzyło się w wieży Toraka. Cała ta czcza gadanina o „złych intencjach” w „Księdze Alornów” została wymyślona przez kogoś, kogo poniosła wyobraźnia. Mnie zdarza się to cały czas. Prawdziwy przebieg wydarzeń w różnych opowieściach zawsze wydawał mi się zbyt prozaiczny.

- Schowaj go gdzieś za pazuchą - powiedziałem Rivie. - Jest teraz nieco podniecony, a to jarzenie zbyt rzuci się w oczy.

- Czy ja również zacznę świecić? - zapytał z obawą Riva. - Tak jak ta szkatułka?

- Spróbuj i dowiedz się — poradziłem.

- Czy takie jarzenie boli? — zapytał.

- Nie sądzę. Nie martw się, Rivo. Glob bardzo cię lubi. Nie zrobi ci krzywdy.

- Belgaracie, to kamień. Jak on może cokolwiek lubić?

- To nie jest zwyczajny kamień. Po prostu go schowaj, Rivo, i wynośmy się stąd.

Riva przełknął ślinę i wsunął Glob pod futrzaną koszulę. Potem wyciągnął swe ogromne dłonie i przyjrzał się im uważnie. - Jeszcze nie świecę - zauważył.

- Widzisz? Musisz nabrać do mnie zaufania, chłopcze. Mamy razem długą drogę do przebycia i utrudni nam, jeśli będziesz za dawał głupie pytania przy każdej okazji.

- Głupie? - zaprotestował. - Po tym, co zrobił Torakowi, nie myślę, aby moje pytania były niemądre.

- Być może źle się wyraziłem. Ruszajmy.

W czasie wycofywania się z wieży przeżyłem ciężką chwilę. Torak krzyknął. To był okrzyk nieutulonego żalu; śpiący Bóg--smok wiedział, że zabieramy Glob. Był bezsilny, nie mógł nas powstrzymać, ale słysząc wrzask Toraka, oblałem się zimnym potem.

Nie lubiłem zaskoczeń, tym chyba można wytłumaczyć me późniejsze zachowanie.

- Śpij dalej, Toiaku - rzekłem, a potem odezwałem się jego własnymi słowami. - Dam ci radę, bracie mego Mistrza, w podzięce za pomoc, jaką mi dziś okazałeś. Nie szukaj Globu. Mój Mistrz jest bardzo delikatny. Ja nie. Jeśli zbliżysz się do Globu, zrobisz ciębie przekąskę.

Oczywiście to była czysta fanfaronada, ale musiałem coś mu powiedzieć. Moja złośliwość nie poszła na marne. Gdy Torak w końcu się obudził, był tak wściekły, że wiele czasu stracił na karanie Angaraków, którzy mieli nie dopuścić nas do wieży. Dzięki temu zyskaliśmy przewagę.

Ostrożnie zeszedliśmy ze schodów, nasłuchując cały czas, czy nie nadchodzą Grolimowie, ale towarzyszyła nam jedynie pełna grozy cisza. Gdy znaleźliśmy się na dole, wyjrzałem na zaśnieżony plac. Nadal był pusty. Szczęście nam dopisywało.

- Ruszajmy! - ponaglał niecierpliwie Dras. Kilka lat temu mieliśmy z księciem Kheldarem długą dyskusję. Powiedział mi, że na złodzieju czapka gore, co czyni ucieczkę niebezpieczniejszą od samego włamania. Naturalny instynkt nakazuje po kradzieży brać nogi za pas; ale jeśli nie chcesz być złapany, lepiej zapanuj nad tym instynktem.

Przy wejściu do wieży nadal panował okropny smród. Wstrzymaliśmy więc oddech, dopóki nie schroniliśmy się w ciemnym zaułku za placem.

-Jak sądzisz? - szepnął Cherek, gdy szliśmy krętą, zadymioną uliczką w kierunku murów. - Czy bezpiecznie będzie wracać tą samą drogą?

Właśnie nad tym myślałem i nie miałem jeszcze odpowiedzi. Musiały pozostać jakieś ślady naszego przejścia, bez względu na to jak byliśmy ostrożni w swej wędrówce z wybrzeża. Znałem Toraka. Byłem pewny, że nie pokieiuje osobiście poszukiwaniami.

Sceduje to na swych podwładnych, co oznacza Urvona lub Ctuchika. Mając w pamięci opis Beldina, specjalnie nie obawiałem się Urvona. Ctuchik był jednakże dla mnie niewiadomą. Nie wiedziałem, co potrafi drugi z uczniów Toraka i nie był to chyba najlepszy czas na sprawdzanie.

Wędrówka na północ oczywiście nie wchodziła w rachubę. Torak na pewno postawił swych ludzi przy przejściu. Nie miałem ochoty siłą torować sobie wśród nich drogi - zakładając, że bylibyśmy w stanie to uczynić. Ucieczka na zachód była zapewne równie niebezpieczna. Musiałem brać pod uwagę fakt, że Ctuchik potrafi to, co ja. Z pewnością byłby w stanie wyczuć ślady, o których wspominałem. Wędrówka na wschód w ogóle nie wchodziła w rachubę. Nie było sensu zapuszczać się dalej w głąb Mallorei, gdy musieliśmy podążać w innym kierunku.

Pozostawało więc jedynie południe.

- Co powiedzielibyście panowie na małą bójkę? - zapytałem Chereka i jego synów.

- Co masz na myśli? — zaciekawiał się Cherek.

- Może tak wszczęlibyśmy awanturę z wartownikami przy północnej bramie?

- Mógłbym podać kilkanaście powodów, dla których nie powinniśmy tego robić - powiedział z powątpiewaniem Riva.

- Ale ja potrafię podać lepszy, dlaczego powinniśmy. Nie wiemy, ile czasu minie, nim Torak się obudzi, a on nie podejdzie z filozoficznym spokojem do utraty Globu. Gdy tylko stanie na nogi, zaraz zacznie organizować pościg.

- To chyba zrozumiałe - przyznał Riva.

- Dobrze by było, aby ta pogoń udała się w złym kierunku. Ciała martwych Grolimów przy północnej bramie sugerowałyby, że tamtędy szliśmy, nieprawdaż?

—Ja bym pewnie tak pomyślał.

- A zatem zabijmy kilku Grolimów.

- Zaczekajcie chwilę - zaprotestował Cherek. - Jeśli mamy wrócić tą samą drogą, to lepiej nie przyciągać uwagi na tę bramę.

- Ale my nie wracamy tą samą drogą.

- Którędy więc pójdziemy?

- Na południe, a dokładniej na południowy zachód.

- Nie rozumiem.

- Zaufaj mi.

Cherek zaklął pod nosem. Najwyraźniej jego również drażniły takie uwagi.

Przy północnej bramie stało sześciu Grolimów w czarnych szatach. Szybko się z nimi rozprawiliśmy. Nie obyło się oczywiście bez stłumionych krzyków i przejmujących jęków, ale dzięki temu, że domy w Cthol Mishrak nie miały okien, ludzie w środku niczego nie słyszeli.

- W porządku - powiedział Dras ocierając swój zakrwawiony topór o szatę powalonego Grolima - co teraz?

- Wracajmy do tunelu.

- Belgaracie - zaprotestował - my chcemy uciec z miasta.

- Wyjdziemy przez bramę, przeczołgamy się przez tunel i obejdziemy miasto aż do rzeki na południu.

- Za murami biegnie szlak - zauważył Riva. - Po co iść tu nelem?

- Ponieważ psy by nas wywęszyły. Chcemy, aby myślały, że po szliśmy na północ. Potrzebujemy czasu, by zyskać nad nimi przewagę.

- Bardzo sprytnie - mruknął Algar.

- Nie rozumiem - odezwał się Dras.

- Rzeka jest prawdopodobnie zamrznięta, prawda? - zapytał Algar.

- Chyba tak.

- Czyż nie czyni to z niej gościńca - bez drzew czy wzgórz, które mogłyby spowalniać nasz marsz?

Dras zastanowił się nad tym. Po czym na jego twarzy powoli zaczęło świtać zrozumienie.

- Wiesz, Algarze - powiedział - myślę, że masz rację. Belgarath jest bardzo sprytnym starcem.

- Nie sądzicie, że lepiej będzie poczekać z gratulacjami na bardziej sprzyjający moment? — rzeki Riva. - To ja niosę łup i wołałbym być z dala od tego miejsca.

Postanowiłem wyjaśnić z Rivą pewne sprawy. „Łup” nie było właściwym określeniem na Glob Mistrza.

Pospiesznie opuściliśmy miasto, pozostawiając za sobą porzucane ciała strażników. Minęliśmy zakręt i ponownie zanurkowaliśmy w śnieżną zaspę po lewej stronie ścieżki. W niedługim czasie wydostaliśmy się na dróżkę wydeptaną przez patrole wzdłuż murów. Doszliśmy nią do wschodniego narożnika murów. Potem zakręciliśmy i skierowaliśmy się na południe przez zaspę, ku rzece. Wszystko razem, z dotarciem do brzegu rzeki, zajęło nam około dwóch godzin.

Moje przypuszczenia potwierdziły się. Zamarznięta rzeka nie była pokryta śniegiem. Wiła się niczym szeroka ciemna wstęga przez zaśnieżoną okolicę.

- Mamy szczęście - zauważył Dras. - Nie zostawimy śladów.

- O to mi właśnie chodziło - powiedziałem z zadowoloną miną.

- Skąd wiedziałeś, że lód nie będzie pokryty grubą warstwą śniegu? - zapytał.

- Wichura nadciągnęła z zachodu. Na rzece nie ma przeszkód, na których mógłby się gromadzić śnieg, więc wiatr zmiótł lód do czysta. Cały śnieg zatrzymał się pewnie na zboczach gór zachodniej Karandy.

- Ty myślisz o wszystkim, prawda, Belgaracie?

- Staram się. Ruszajmy na wybrzeże. Zaczynam tęsknić za domem.

Starannie zatarliśmy ślady zejścia na brzeg rzeki. Potem przepawiliśmy się lodem na drugą stronę. Chcieliśmy trzymać się poza zasięgiem światła rzucanego przez pochodnie rozmieszczone na szczycie murów. Ruszyliśmy szybko w dół rzeki.

To nie była jazda na łyżwach, ale nie obyło się bez ślizgania. Po trzech godzinach mroczne chmury na południowym horyzoncie zaczęły jaśnieć.

- Słońce wschodzi - zauważył Algar. - Czy to obudzi Toraka?

Nie byłem tego pewny.

- Upewnię się - odparłem. Pasażer podróżujący pomiędzy mymi uszami uprzedził mnie, abym nie próbował z nim rozmawiać, dopóki nie oddalimy się od miasta. Uszliśmy już kawał drogi, więc postanowiłem się z nim porozumieć.

— *Może zechciałbyś się obudzić!* - odezwałem się.

- *Nie obrażaj mnie.*

—*Nie robię tego celowo. Niepokojąca zaczyna być kwestia, czy ktoś się obudzi, czy nie. Zdobyliśmy to, po co przybyliśmy. Czy na tym, kończy się to ZDARZENIE?*- zapytałem.

—*Mniej więcej. Całkowicie zakończy się, gdy przejdziecie z powrotem Morze Wschodu.*

—*Czy możesz wyjawić mi, kiedy Torak się obudzi ?*

- *Nie. Będziesz wiedział, gdy to się stanie.*

—*Jakiś znak byłby jednak pomocny.*

- *Przykro mi, Belgaracie. Po prostu nie zatrzymuj się. Na razie idzie ci dobrze.*

- *Dzięki - nie powiedziałem tego zbyt uprzejmie.*

—*Spodobał mi się sposób, w jaki rozprawileś się z tymi dwoma psami. Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Jak wpadłeś na ten pomysł?*

—*Poniosłem porażkę w spotkaniu ze skunksem, gdy byłem chłopcem. Coś takiego się pamięta.*

- *Możę sobie wyobrazić. Nie zatrzymuj się i miej uszy otwarte* — do dał, po czym znowu zniknął.

Nie minęło piętnaście minut, gdy zrozumiałem, co miał na myśli mówiąc, abym miał uszy otwarte - choć nie sądzę, że prze-gapiłbym to, nawet gdybym spał. Jedna z wersji „Księgi Toraka” opisuje, co uczynił Bóg-smok po przebudzeniu. Najwyraźniej dłu-gość śpiączki Toraka była częścią układu pomiędzy głosem w mojej głowie i głosem w umyśle Toraka. Wschód słońca jest naturalnym przejściem i właśnie wówczas Jednooki w końcu się obudził. Zdążyliśmy już odejść jakieś dziesięć mil od miasta. Pomimo to wyraźnie słyszeliśmy jego wściekle krzyki, gdy obracał w gruzy całe miasto. Posunął się nawet do zburzenia własnej wieży. To był jeden z najbardziej spektakularnych napadów złego humoru w historii świata.

- *Może pobieglibyśmy jakiś czas?* — zaproponował Algar, gdy odgłosy niszczenia Cthol Mishrak strząsnęły śnieg z drzew wzdłuż brzegów rzeki.

- *My biegniemy* - powiedział Dras.

- *To może trochę przyspieszymy?*

Wtedy właśnie odkryłem, dlaczego Algar zwany był Chyżono-gim. Panie, ależ ten chłopak potrafił biec!

* * *

„Księga Alornów” opowiada o tym, co wydarzyło się w Mallo-rei. To bardzo dobra opowieść, pełna dramatyzmu, napięcia i mi-stycznego znaczenia. Sam przytaczałem ją przy wielu okazjach. Z tym, co naprawdę się wydarzyło, ma jednak raczej luźny związek, ale to nadal dobra historia. Gość, który ją napisał, był Alor-nem i przesadne znaczenie nadał lądowemu przejściu - podejrzewam, iż dlatego, że to Alornowie je odkryli. W rzeczywistości nawet nie widziałem lądowego przejścia podczas tamtej wyprawy, głównie dlatego, że zapewne kilkuset Angaraków czekało na nas

na każdej z tych skalnych wysepek. Do Mallorei dotarliśmy po zamarznętym Morzu Wschodu i wróciliśmy tą samą drogą.

* * *

Wybuch Toraka - za który po części jestem odpowiedzialny, z racji swej gadaniny przed opuszczeniem wieży - bez wątpienia doprowadził do kompletnego zamętu wśród Grolimów, chandimów i zwykłych Angaraków, którzy mieszkali w Cthol Mishrak. Beldin dowiedział się potem, że to Ctuchik w końcu przywrócił porządek - ze swą zwykłą brutalnością. Zajęło mu to i tak jednakże kilka godzin. Potem jeszcze dał się nabrać na nasz podstęp. Angarakowie znaleźli sześciu zarżniętych Grolimów przy północnej bramie i Ctuchik wysłał psy na północ i zachód nie biorąc pod uwagę możliwości podstępu.

Dzień w tamtych okolicach nie trwał zbyt długo, ale nadejście nocy nie spowolniło tempa naszej ucieczki. Podążaliśmy za Algarem w dół rzeki najszybciej, jak potrafiliśmy.

Następnego dnia, gdy na krótko pojawiło się słońce, psy wróciły do ruin Cthol Mishrak z niczym. Wówczas uczeń Toraka zmienił kierunek swych poszukiwań. Niechybnie któryś z psów o bardzo czułym węchu złapał nasz trop. Potem ruszył pościg. Ctuchik wtoczył kilkuset zwyczajnych Grolimów w psie skóry. Połowa z nich przyplącała to jednak ż)ciem, nim ujadająca sfera rzuciła się w pogoń za nami.

- Co zrobimy, Belgaracie? - wydyszał Cherek. - Zaczyna nam brakować tchu. Nie jestem pewny, jak długo jeszcze będziemy mogli biec.

- Mam zamiar coś wypróbować - powiedziałem. - Ziobimy postój. Odsapnijcie, a ja tymczasem opracuję szczegóły.

Pogrzeżyłem się w myślach. Riva miał schowaną za pazuchą nieograniczoną moc, ale nie mógł jej użyć. Jeśli jednak nie myliłem się, nie będzie musiał.

- W porządku — rzekłem — oto, co zrobimy. Riva, gdy psy pojawiają się w zasięgu wzroku, wyciągniesz Glob i podniesiesz, aby go zobaczyły.

- Sądziłem, że nie wolno mi tego robić.

- Nie powiedziałem, iż się nim posłużysz. Poleciałem jedynie, abyś go uniósł. Chcę, aby chandimy mogły zobaczyć Glob, i pragnę, aby magiczny kamień mógł je zobac/yć.

- I co z tego przyjdzie?

Nie byłem pewny, ale przeczuwałem, co się wydarzy.

- Wyjaśnienie zajęłoby zbyt wiele czasu. Czy myliłem się kie dykolwiek?

- No cóż... chyba nie.

- Zatem musisz mi zaufać, gdy mówię, że wiem, co robię.

Modliłem się żarliwie, aby w istocie tak było.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy pierwsze psy wybiegły zza zakrętu zamarzniętej rzeki.

- Dobrze, Riva - powiedziałem. - Już czas. Podnieś Glob.

Nie wydawaj mu rozkazów, po prostu unieś kamień. Nie ściskaj go. Wiem, jak silne masz ręce. Jeśli w rozgrózkowaniu go skruszysz, będziemy mieć kłopoty.

- Myślałem, że już je mamy - mruknął Cherek za mną.

- Słyszałem - rzuciłem mu przez ramię.

Riva westchnął, wyciągnął Glob i uniósł go nad głowę.

- Zegnaj, ojcie - powiedział posepnie.

Pędzące za nami psy, zatrzymały się gwałtownie, rysując pazurami lód, gdy tylko dostrzegły Glob błyszczący w dłoniach Rivy.

Wtem magiczny kamień przestał świecić. Zamigotał i po ciemniał.

Riva jęknął.

Nagle ponownie się obudził. Tym razem nie jarzył się błękitnym blaskiem. Rozbłysnął czysto białym światłem. Był trzykrotnie jaśniejszy od słońca.

Chandimy pierzchnęły, wyjąc z bólu, zataczając się i objijając jeden o drugiego, drapiąc pazurami lód.

Nie mam pojęcia, czy któryś z tych Grolimów kiedykolwiek odzyskał wzrok, ale wiem, że gdy uciekali rzeką, byli całkowicie oślepieni.

- No i co powiecie? - zapytałem z pewnym zdziwieniem. - Jednak działa. Czyż to nie zdumiewające!

- Belgaracie! - w głosie Chereka pobrzmiwała udręka. - Chcesz powiedzieć, że nie byłeś tego świadom?

- Teoretycznie - odparłem. - Ale każdą teorię trzeba sprawdzić w praktyce..

- Co się stało? - dopytywał się Dras.

Wzruszyłem ramionami.

- Rivie nie wolno posługiwać się Globem. Dlatego Glob pozwala mu się dotykać. Riva nie może nic zrobić, ale Glob może - i zrobił. Glob nie lubi Toraka ani Angaraków. Darzy jednak sympatią Rivę. Świadomie wystawiłem go na niebezpieczeństwo, a to zmusiło Glob do przejęcia sprawy w swe ręce. Poszło całkiem nie źle, nie sądzicie?

Spoglądali na mnie w przerażeniu.

- Przypomnij mi, abym nigdy nie grał z tobą w kości, Belgaracie — powiedział Dras drżącym głosem. - Grasz zbyt ryzykownie.

W niedługim czasie psy wróciły oraz spora cześć Grolimów popędzanych przez Ctuchika i Toraka. Za Grolimami jechali konni, odziani w hełmy, kolczugi i uzbrojeni. To byli pierwsi Murgowie, jakich widziałem. Nie spodobali mi się i z biegiem lat nie zmieniłem zdania. Konie mieli nieco większe od drobnych kucyków spotykanych po drugiej stronie Morza Wschodu, ale Murgowie i tak byli za wielcy dla swoich wierzchowców.

* * *

Będę wspominał od czasu do czasu o Murgach, Nadrakach i Thullach, więc powiem, czym się od siebie różnią. Trzy plemiona, które przywędrowały na zachodni kontynent po zniszczeniu Cthol Mishrak, faktycznie nie stanowiły wcale odrębnych plemion. Wszyscy byli Angarakami, ale po dwóch tysiącach lat zamieszkiwania Miasta Wiecznej Nocy zaszły w nich zmiany. Różnice pomiędzy nimi nie były typu rasowego czy plemiennego, lecz raczej klasowego. Słowo „Murgo” w starym języku Angaraków oznacza wojownika, „Nadrak” to mieszkaniec miasta, a „Thull” wieśniak. Murgowie wyglądali jak żołnierze - barczyści, wąscy w pasie i muskularni. Nadrakowie byli szczuplejsi. Thullowie budową przypominali woły. Torak tak był zajęty próbami podporządkowania sobie Globu, że nie zwracał uwagi na to, co działo się z mieszkańcami Cthol Mishrak. Po dwóch tysiącach lat selektywnego rozmnażania się zaszły w nich poważne zmiany. Sądził więc, że są różni, ponieważ pochodzą z odmiennych plemion. To jedna z przyczyn, dla których przeniesione na zachód społeczeństwo nie funkcjonowało najlepiej. Murgowie uważali, że praca była poniżej ich godności, Thullowie byli zbyt głupi na zorganizowanie choćby namiastki rządu, a Nadrakowie nie mieli kogo oszukiwać, okłamywali więc siebie nawzajem.

Zrozumieliście wszystko? Starajcie się to zapamiętać. Nie mam ochoty powtarzać tego raz jeszcze.

Psy, nauczone tym, co spotkało ich towarzyszy, trzymały się przeczornie z tyłu za atakującymi Murgami i Grolimami. Nie musiałem nawet mówić Rivie, co ma robić. Wyciągnął Glob i uniósł go nad głowę.

Glob ponownie zamigotał, przygasł i rozbłysnął ogniem. Jednakże tym razem o wiele silniej. Być może po raz pierwszy Cthol Mishrak było w pełni oświetlone. Zachodnie zbocza Gór Karan-

dy, Morze Wschodu aż po biegun i do wybrzeży Morindlandu, wszystko było skąpane w blasku tak jasnym jak ten, który rozbłysnął w Korimie trzy tysiące lat później.

Nacierający Murgowie i Grolimowie zostali natychmiast spopieleni. Przy tej okazji dowiedziałem się czegoś nowego o Globie. Nieobce mu było poczucie przyzwoitości. Ostrzegał ludzi, nim skierował przeciwko nim swą moc. Tym właśnie było oślepienie psów - znakiem. Aczkolwiek jedynym. Jeśli ludzie zlekceważyli pierwsze ostrzeżenie Globu, następnego już nie dostawali.

Byliśmy oszołomieni skalą tego, co się wydarzyło. Psy wykorzystały nasze chwilowe rozproszenie uwagi. Obeszły brzeg rzeki, by pojawić się na przedzie. Tym samym psom udało się spowolnić nasze tempo. Rozbłysk jaskrawego światła nas również na moment oślepił. Potykaliśmy się i objaliśmy potem jeden o drugiego w kompletnych ciemnościach. Z powodu chwilowej ślepoty i ataków psów, czołgaliśmy się powoli w dół rzeki.

-Jakjeszcze daleko do wybrzeża? - wydyszał Cherek.

- Nie mam pojęcia — przyznałem.

- Sprawy nie wyglądają dobrze, Belgaracie.

- Za dużo się martwisz - powiedziałem i skierowałem załza wione oczy na jego najmłodszego syna. - Trzymaj Glob w górze, Riva. Niech widzi, co się dzieje za nami.

Wędrowaliśmy dalej w dół rzeki, co jakiś czas oślepiani seriami błysków, po których słychać było jakby trzaski piorunów. To Glob niszczył psy, które nacierały na nas z brzegów rzeki.

- Naciągają z tyłu, Belgaracie! - zawołał Dras. - Torak jest z nimi!

Zakląłem. Tego się nie spodziewałem. Bogowie nie mieli zwyczaju mieszać się do takich potyczek.

- *Czy wolno mu to robić?* — skierowałem to pytanie do wnętrza swej rozbrzmiewającej echem wybuchów czaszki.

- *Nie, nie wolno!* — mój pasażer wydawał się naprawdę rozgniewany. — *On oszukuje!*

- *Czy to znaczy, że zasady przestały obowiązywać?*

- *Myślę, że tak. Jednak bądź ostrożny. Nie chcemy zniszczyć tej części wszechświata.*

Te słowa lekko mnie zszokowały.

- *Żądasz, abym to zrobił?*

- *Wykluczone! Jeśli dotkniesz Globu, on niechybnie na ciebie przeleje swe przywiązanie i nigdy nie będziesz mógł się od magicznego kamienia uwolnić. Musiałbyś zostać jego strażnikiem, a na to nie masz czasu. Powiedz Rivie, aby to zrobił. Bez względu na wszystko, nie pozwól mu jednak zniszczyć Toraka. Riva nie jest tym, który powinien to uczynić.*

- Chereku! - zawołałem. - Zabierz Drasa i Algara. Powstrzymaj tamtych, dopóki nie rozmówię się z Rivą!

Król Alornów kiwnął posępnie głową. Wraz z synami zajął pozycje na łodzie z bronią w pogotowiu. Przednia straż nacierających Angaraków szybko dostała lekcję pokory. Atakowanie potężnych Alornów, gdy czekają na ciebie gotowi do walki, nie jest dobrym pomysłem.

- Posłuchaj uważnie, Rivo - rzekłem. - Chcę, abyś skoncentrował się na swej dłoni.

- Co takiego? ,

- Nie musisz rozumieć. Po prostu patrz na Angaraków i myśl o tym, co pragnąłbyś z nimi zrobić, ale jednocześnie pamiętaj o swej dłoni. Glob jest bronią, lecz nie musisz nim wywijać. Po prostu bądź świadom tego, że trzymasz kamień w dłoni, a on zrobi to, co będziesz chciał.

- Byłem przekonany, że nie wolno mi tego czynić - zaprotestowałem.

- Zasady się zmieniły. Druga strona postępuje nieuczciwie, więc my też trochę pooszukujemy. Nie próbuj jednakże zranić Toraka. Zniszczysz cały świat, jeśli to uczynisz.

- Co takiego zrobię?

- Słyszałeś. Skup się na zniszczeniu Angaraków. Torak ostatecznie jest na tyle bystry, by to zrozumieć. Pewnie nie zechce już ponownie oszukiwać.

- Zrobię, co w mej mocy.

Riva nie powiedział tego zbyt pewnie. Uniósł jednak Glob. Poczułem, jak wzbiera jego Wola, gdy skupił się na nadciągających Angarakach.

Ale nic się nie stało.

- Musisz to uwolnić! — krzyknąłem.

- Co takiego?

- Zrozumiałeś, w czym rzecz, ale musisz to jeszcze uwolnić!

-Jak?

- Powiedz coś!

- Co powiedzieć?

-Wszystkojedno! Spróbuj „teraz”, lub „spal”, lub „zabij”! Po prostu coś powiedz!

- Ruszaj - rzekł z wahaniem.

Z pewnym trudem opanowałem się.

- Ty tu wydajesz rozkazy, Riva - oświadczyłem. - Nie mów tego tonem prośby.

- Ruszaj! — zagrzniał.

Nie było to Słowo, którego ja używałem, ale zadziałało. Angarakowie zaczęli wybuchać. Całe szeregi wylatywały w powietrze - jasny błysk i krótka detonacja rozbrzmiewały raz z jednej, raz z drugiej strony brzegu. Najmłodszy syn Chereka startł z powierzchni ziemi pierwszy szereg. Potem zabrał się za następny. Zniszczył go metodycznie, po czym skierował moc na trzeci.

- Nie możesz zgładzić od razu więcej? - zapytałem.

- Masz ochotę sam to zrobić? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Nie. Nie wolno mi.
- To może się zamkniesz i pozwolisz mi działać?

* * *

Teraz widzicie, po kim Garion jest taki wybuchowy. Riva należał do najbardziej zrównoważonych Alornów, ale lepiej było go nie złościć.

Riva zamienił kilka pierwszych szeregów Angaraków w smużki dymu, nim pozostali zrozumieli, w czym rzecz. Odwrócili się i uciekli, omijając z dala pieklące się Toraka.

Bóg-smok, pomimo wściekłości, zasłaniał zakutą w stal twarz swą jedyną ręką. Zdecydowanie nie chciał stracić drugiego oka. W końcu on również zawrócił i uciekł, wyjąc w furii.

- Możesz już przestać - powiedziałem do Rivy.

- Mogę ich ścigać - zaproponował ochoczo. - Potrafię do paść wszystkich Angaraków na całym kontynencie.

- Nawet o tym nie myśl — rzekłem. — Zrobiłeś, co do ciebie należało. Schowaj Glob.

Wrócili Cherek, Dras i Algar.

- Miła bitewka - zauważył król Alornów. - Ten Glob to po ręczna rzecz.

Alor nowie!

* * *

Zdaje się, że już to mówiłem. Pewnie zdążyliście się do tego przyzwyczaić. Wywraçałem oczy i wzdychałem „Alornowie!” od tak dawna, że nawet przestałem zauważać, iż to robię.

* * *

Dotarliśmy do ujścia rzeki i ruszyliśmy ślizgając się po lodzie. Psy trzymały się teraz w przyzwoitej odległości, ale nadal za nami szły.

- *Będą z nimi kłopoty?"* — zapytałem swego przyjaciela.

- *Me na długo. Zawrócą, gdy znajdziecie się w połowie drogi.*

- *Dlaczego ?*

- *To Grolimowie, Belgaracie. Nie posiadają mocy po twojej stronie Morza Wschodu.*

- *Zedar miał.*

- *Dlatego, że był uczniem. Inne zasady dotyczą uczniów. Ctuchik czy Urvon mogliby iść dalej, ale zwyczajni Grolimowie nie.*

- *Czemu?*

- *Beldin już ci to wyjaśniał, pamiętasz?*

- *Zdaje się, że tak. Grolimowie nie posiadają mocy na terenach, gdzie nie ma Angaraków?*

- *Zdumiewające. Jednak pamiętasz.*

- *Co teraz?*

- *Unieś jedną stopę i postaw przed drugą. Pozostawię twojej decyzji, którą. Postaraj się jednak nie podnosić obu na raz.*

- *Bardzo zabawne.*

Wędrowaliśmy po straszliwie nierównej powierzchni zamrożonego morza przez kilka następnych dni. Psy nadal trzymały się blisko nas.

Oczywiście nie było żadnej linii granicznej, ale wiedziałem, kiedy dotarliśmy do połowy drogi, ponieważ psy nagle przerwały swój pościg. Ustawiły się w szeregu i zaczęły wyć rozczarowane.

- *Nadal dopisuje nam szczęście - oznajmiłem Alornom.*

- *Jak to? - zapytał Cherek.*

- *Psy dalej nie mogą iść. Droga do domu wolna.*

Okazało się to trochę przedwczesną radością. Nagle pojawił się tuż przed nami ogromny pies - dwukrotnie większy od tych wyjących z tyłu. Wydawało się, że otacza go czerwonawa poświata.

- *Nie, bracie - powiedziałem Rivie, który sięgał już za swoją koszulę. - Ten pies jest tylko złudzeniem. W rzeczywistości go tu nie ma.*

- Nie myśl, że na tym koniec, Belgaracie — warknął do mnie monstrualny stwór, kłapiąc wielkimi kłami.

- Ty pewnie jesteś Urvonem - rzekłem spokojnie - a może Ctuchikiem.

- To twoje zmartwienie. Spotkamy się jeszcze, starcze, obiecuje ci to. Tym razem wygrałeś. Przy następnej potyczce nie będziesz miał tyle szczęścia.

A potem widmo zniknęło.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kilka dni później dotarliśmy do wybrzeża Morindlandu. Słońce wschodziło coraz wyżej i zostawało na niebie coraz dłużej każdego dnia. Przejmujący chłód powoli łagodniał. Nadchodziła wiosna.

Postanowiliśmy nie wracać tą samą drogą, to znaczy przez arktyczne pustkowia Morindlandu. Skierowaliśmy się na południe. Nie groziło nam teraz żadne niebezpieczeństwo. Wszyscy mieliśmy ochotę znaleźć się już w cieplejszym klimacie. Brzegiem morza dotarliśmy do dzisiejszego Gar og Nadrak. W owych czasach ziemie te leżały we wschodniej Alornii. Cherek był tam władcą, ale niewielu miał poddanych w tej części swego królestwa, jeśli nie liczyć jeleni. Wszyscy Alornowie, którzy tam mieszkali, i tak byli wyznawcami kultu niedźwiedzia, więc unikaliśmy spotkań z nimi. Wyznawcy kultu niedźwiedzia od początku założenia zakonu pragnęli zdobyć Glob. Nikt z nas zaś nie miał zbytnej ochoty więcej walczyć.

Po przejściu północnego pasma ponownie skręciliśmy na zachód. Przemierzyliśmy rozległe lasy, przekroczyliśmy góry i dobrnęliśmy do mokradeł Drasni. Tam skręciliśmy na południowy zachód, minęliśmy Jezioro Atun i w końcu, pewnego pogodnego wiosennego ranka, dotarliśmy do brzegów Rzeki Aldura.

Ktoś tam na nas czekał.

- No, no, chłopcze - zagadnął mnie dobroduszny staruszek na rozklekotanym wozie - widzę, że nadal podążasz na zachód.

- Zdaje się, że weszło mi to już w krew - odparłem wymijająco.
- Rozumiem, że się znacie — zauważył Cherek.
- Spotkaliśmy się kilka razy - odrzekłem. Uznałem, że Mistrz miał powody, aby zachować anonimowość, więc go nie zdradziłem.

- Jedliście już śniadanie? — zapytał staruszek.

- Jeśli można to tak nazwać — odezwał się Dras. — Kilka kęsów suchej wołowiny trudno nazwać śniadaniem.

- O milę stąd, w dole rzeki, mam obóz - powiedział starzec.

- Całą noc piekłem wołu. Zapraszam do towarzystwa, jeśli macie ochotę. Jesteście również spragnieni? W rzece przy obozowisku chłodzi się beczułka przedniego ale.

To oczywiście załatwiło sprawę. Alornowie ruszyli za wozem niczym szczenięta wabione smakołykami.

- Najpierw nakarmimy twoich przyjaciół - szepnął do mnie staruszek. - Potem porozmawiamy.

-Jak sobie życzysz - odparłem.

Cherek i jego synowie rzucili się na pieczonego wołu niczym wataha głodnych wilków, a do beczułka ale nurkowali jak ławica ryb. Po godzinie zrobili się senni i postanowili uciąć sobie drzemkę. Ja zaś ze staruszką poszedłem nad rzekę. Stanęliśmy nad wodą, spoglądając na drugi brzeg. W górach Tolnedry zaczęły się wiosenne roztopy. Rzeka pełna była brunatnej, mulistej wody.

- Czy jest jakiś szczególny powód twego przebrania? - zapytałem, przechodząc od razu do rzeczy.

- Chyba nie - odrzekł Mistrz. - Korzystam z niego przy okazji opuszczenia Doliny. Na tym wozie ludzie nie zwracają na mnie uwagi. Mieliśmy z braćmi spotkanie w grocie.

-Tak?

- Musimy odejść, Belgaracie.

- Odejść?

- Nie mamy wyboru. Jeśli zostaniemy, wcześniej czy później będziemy musieli stawić czoło Torakowi, a to zniszczyłoby świat. Ten świat zbyt wiele dla nas znaczy, nie możemy do tego dopuścić. Dziecko Światła będzie go potrzebować.

- Kim jest Dziecko Światła?

- To się zmienia. Ty nim byłeś, gdy w Morindlandzie starłeś się z Zedarem. Konieczności nie mogą spotkać się bezpośrednio, więc muszą działać przez swych agentów. Chyba już ci to wyjaśniałem.

Kiwnąłem posępnie głową. Nie cieszył mnie taki obrót spraw.

-Jednak przyjdzie na świat ostatnie Dziecko Światła - podjął dalej - i ostatnie Dziecko Ciemności. To one ustalą wszystko raz i na zawsze. Do ciebie należy przygotowanie wszystkiego na jego pojawienie się. Miej baczenie na Rivę. Dziecko będzie jego potomkiem.

- Czy zobaczę cię jeszcze kiedykolwiek?

Aldur uśmiechnął się słabo.

- Oczywiście. Zbyt wiele czasu poświęciłem na twoje wychowanie, aby cię porzucić. Uważnie śledź swoje sny, Belgaracie. Nie możliwym jest bym wrócił bezpośrednio, a przynajmniej nieczęsto, więc będę rozmawiał z tobą we śnie.

- To już coś. Czyli będziesz kierował nami za pośrednictwem snów?

- Konieczność będzie wami kierować. Druga Era, o której mówią Dalowie, już się kończy. Teraz nadchodzi Trzecia Era, Era Proroctwa. Konieczności obdarzą mocą przepowiadania przyszłości pewnych ludzi.

Natychmiast dostrzegłem wadę tego planu.

- Czy nie jest to trochę niebezpieczne? — zapytałem. — Takie informacje nie powinny dostać się w niepowołane ręce.

-Już się tym zajęto, synu. Pozostali ludzie nie rozumieją znaczenia przepowiedni. Będą na tyle tajemnicze, że większość

ludzi uznaje za brednie szaleńców. Powiedz swym Alornom, żeby w miarę możliwości wypatrywali takich nawiedzonych ludzi i spisywali, co mówią. W ich słowach będą ukryte przesiania.

- To niewygodny sposób załatwiania spraw, Mistrzu.

- Wiem, ale takie są zasady.

- Nie jestem pewien, czy zasady są nadal przestrzegane, Mistrzu. Druga strona zaczęła oszukiwać podczas naszego pobytu w Cthol Mishrak.

- To był Torak. Jego Konieczność przeprosiła za to. Torak został ukarany.

- Dobrze. Co mam teraz robić? Wiesz przecież, że naprawdę powinienem wrócić do Poledry.

Aldur westchnął.

- To będzie musiało poczekać, obawiam się. Przykro mi, Belgaracie - bardziej niż możesz sobie wyobrazić - ale jeszcze nie skończyłeś. Musisz dokonać podziału Alornii.

- Czego muszę dokonać?

Aldur wyjaśniał mi to jakiś czas.

* * *

To moja historia i przedstawię ją tak, jak chcę. Jeśli wam się to nie podoba, to opowiedzcie sobie sami.

* * *

Potem staruszek nakarmił konia i odjechał na południe. Zostałem w towarzystwie chrapiących Alornów. Nie budziłem ich, a druhowie spali bez przerwy do następnego ranka.

- Gdzie twój przjaciel? — zapytał Cherek, gdy w końcu się obudzili.

- Miał coś do załatwienia - odrzekłem.

- A zatem już po wszystkim, prawda? - odezwał się Dras. - Dobrze będzie wrócić do Val Alorn.

- Ty nie wracasz do Val Alorn, Dras — powiedziałem.

- Co takiego?

- Zawrócisz na mokradła.

- Po cóż miałbym to robić?

- Ponieważ ja ci to mówię - odparłem bez osłonek. Byłem w nie najlepszym humorze tego ranka. Spojrzałem na Chereka. - Przykro mi, Chereku — rzekłem do niego — ale będę zmuszony dokonać podziału twego królestwa. Angarakowie nie dadzą za wygraną, więc musimy być przygotowani na ich nadejście. Riva strzeże Globu, zatem pozostali z was muszą ochraniać Rivę. Rozdzielę was, aby ludzie Toraka nie mogli zniecka napaść na Rivę i wykraść mu Globu.

- Jak długo to potrwa? — zapytał Cherek. - Po jakim czasie będę mógł ponownie zjednoczyć swe królestwo?

- Obawiam się, że nie będziesz mógł tego uczynić. Alornia zostanie podzielona na stałe.

- Belgaracie! - zawołał płaczącym głosem Cherek, jak dziecko, któremu odebrano ulubioną zabawkę.

- To nie zależy ode mnie, Chereku. To ty wpadłeś na pomysł wykradzenia Globu. Teraz będziesz musiał ponieść tego konsekwencje. Dras założy własne królestwo na północnych mokradłach. Algar będzie miał swoje na tych trawiastych równinach. Ty wrócisz do Val Alorn. Twoim królestwem stanie się ten półwysep.

- Królestwo? - wybuchnął. — Ten półwysep nie jest większy od schowka na ubranie!

- Nie przejmuj się tym. Teraz twym królestwem będzie ocean. Zwołaj swych konstruktorów okrętów. Łodzie, które budowali do tej pory, już nie wystarczą. Naszkicuję ci plany. Król Oceanu będzie potrzebował okrętów wojennych, nie pływających balii.

Cherek przymrużył w zamyśleniu oczy.

- Król Oceanu - powtórzył w zadumie. - Brzmi całkiem nie-

źle. Czy naprawdę można prowadzić wojnę wykorzystując do tego okręty?

- O tak - zapewniłem go. - A najlepsze w tym wszystkim jest to, że nie trzeba iść na pole walki.

- A gdzie ja mam się udać, Belgaracie? - zapytał Riva.

- Sam ci wskażę. Wyruszę z tobą i pomogę się urządzić.

- Dzięki, ale dokąd pójdziemy?

- Na Wyspę Wiatrów.

- To przecież ledwie skała na środku Wielkiego Zachodniego Morza! - zaprotestował.

- Wiem, ale to twoja skała. Zabierzesz tam ze sobą sporą grupę Alornów. Zgodziłeś się na ochotnika wziąć Glob. Teraz za niego odpowiadasz. Po dotarciu na wyspę zbudujesz twierdzę i wraz ze swymi ludźmi spędzisz tam resztę życia, strzegąc Globu. Potem przekażesz odpowiedzialność chronienia Globu swym dzieciom i one przejmą twe obowiązki.

-Jak długo to potrwa?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - pewnie wieki, być może nawet tysiąclecia. Twój ojciec zbuduje okręty wojenne i nikogo nie dopuści w pobliże Wyspy Wiatrów.

- Nie tak to sobie wyobrażałem, gdy zaczynaliśmy, Belgaracie - narzekał Cherek.

- Życie pełne jest drobnych rozczarowań. Zabawa się skończyła, panowie. Czas dorosnąć. Mamy pracę do wykonania.

Pewnie nie musiałem obejść się z nimi tak ostro, ale Mistrz też nie potraktował mnie zbyt łagodnie. A poza tym miałem dość biadolenia Chereka i jego synów. Najważniejszą misję w historii swej rasy potraktowali jak rodzaj psoty. A teraz, gdy przychodzi im słono płacić za te igraszki, potrafią jedynie narzekać.

Alornowie są czasami strasznie dziecinni.

Nie siliłem się również na delikatność przy omawianiu szczegółów podziału. Nie dałem im czasu na rozczulanie się. Powie-

działem Cherekowi, ilu ludzi ma wysłać każdemu ze swych synów do pomocy przy zakładaniu nowych królestw. Sposepniał, gdy zdał sobie sprawę, że pozbawiam go ponad połowy poddanych. Za każdym razem, gdy zaczynał protestować, przypominałem Cherekowi z naciskiem, że po pierwsze, odzyskanie Globu było jego pomysłem, a po drugie, ja nie chciałem opuszczać swej brzemiennej żony, więc teraz wcale mi go nie żal.

- Tak właśnie postąpimy - podsumowałem. — Jakieś pytania?

- A co mamy robić, jak już się urządzimy? - zapytał ponuro

Dras. - Po prostu wyczekiwać na Angaraków?

- Dalsze instrukcje otrzymasz od Belara - odparłem. - Bogo wie też są w lo zamieszani.

- Belar mnie nie lubi — powiedział Dras. — Najczęściej prze grywał ze mną w kości.

- A zatem nie graj z nim w kości. Staraj się Belarowi nie narażać.

- To okropnie rozległa kraina - odezwał się Algar, spoglądając na rozciągające się po horyzont stepy. — Będę musiał się do brze nachodzić.

- Są tam dzikie konie. Schwytaj któregoś.

- Gdy dosiadam konia, szuram nogami po ziemi.

- Złap zatem większego.

- Nie ma większych.

- To je wyhoduj.

- Pogoda na Wyspie Wiatrów jest naprawdę paskudna - uskarżał się Riva.

- Zbuduj domy o grubych ścianach i solidnych dachach.

- Wiatr zdrmchnie słomiane poszycia domów.

- To pokryj dachy łupkiem i poprzybijaj go.

W końcu Cherek też miał tego dość.

- Dostaliście instrukcje - powiedział swym synom. - Teraz róbcie, co wam kazano. Możecie sobie być królami, ale nadal jesteście moimi synami. Nie przynieście mi wstydu.

To położyło kres całemu marudzeniu.

Pożegnanie następnego ranka nie obyło się jednak bez tego. Potem rozeszliśmy się, zostawiając Algara, stojącego samotnie nad brzegiem Rzeki Aldura.

Ja z Rivą poszedłem na zachód. Po dotarciu do gór skręciliśmy nieco na północny wschód, aby obejść północne rubieże Ulgolandu. Wystarczająco się już rozerwałem potyczkami z Algarkami. Nie miałem ochoty na zabawę z algrothami czy eldrakami.

Po zejściu z gór przeszliśmy przez urodzajne równiny obecnej Sendarii i dotarliśmy na wybrzeże Wielkiego Zachodniego Morza. Tam zatrzymaliśmy się, by czekać na wojowników, których obiecał nam przysłać Cherek - i ich kobiety, oczywiście. Zakładałem nowy kraj i potrzebny mi był początek nowej rasy.

Tak, wiem, że wyraziłem się bez ogródek i pewnie uraziłem tym Polgarę, ale trudno. Ona i tak zawsze znajdzie sobie powód do obrażania się.

* * *

Tym razem cię dostałem, co, Pol?

* * *

W czasie oczekiwania na przybycie z Val Alorn ludzi Rivy zabawiałem się drobnymi sztuczkami. W pobliżu plaży był duży las. Zrobiłem więc użytek ze swych talentów, powalając drzewa i tnąc je na deski. Riva widział już, jak robiłem różne rzeczy przy pomocy Woli i Słowa, ale widok kłody rozpadającej się na deski wyraźnie go denerwował. W końcu zupełnie zrezygnował z patrzenia. Siedział i utkwivszy wzrok w morzu mruczał - „nienaturalne” — zwykle na tyle głośno, bym słyszał. Próbowałem mu wytłumaczyć, że będziemy potrzebować łodzi na dotarcie do Wyspy Wiatrów, a do łodzi niezbędny jest budulec, ale Riva nie chciał mnie słuchać. Dopiero, gdy zaściliłem stosami desek ćwierć mili brzegu, zdobył się na sensowny sprzeciw.

-Jeśli zbudujesz łodzie z tych świeżych desek, to zatoną. Muszą schnąć przynajmniej przez rok.

- Nie tak długo - zaprotestowałem. Potem, aby pokazać mu, kto tu rządzi, utkwilem wzrok w stercie desek, skoncentrowałem się i powiedziałem: - Gorąco.

Stos desek zaczął natychmiast dymić. Riva drażnił mnie i posu-
nąłem się trochę za daleko. Zmniejszyłem gorąco i zamiast dymu
pojawiła się para, gdy świeże deski zaczęły wypacać swą wilgoć.

- Wyginają się - zauważył triumfalnie.

- Oczywiście - odparłem spokojnie. - Chcę, aby się wyginały.

— Powykrzywiane deski nie są dobre.

- To zależy, co się chce z nich zbudować - sprzeciwiłem się.

- My zamierzamy skonstruować okręty, a okręty mają zakrzywio-
ne burty. Barki posiadają proste burty, ale nie żeglują się na nich
zbyt dobrze.

— Masz na wszystko odpowiedź, Belgaracie. Nawet na swoje
pomyłki.

- Czemu się na mnie gniewasz, Rivo?

— Ponieważ przewróciłeś mi życie do góry nogami. Oderwałeś
od rodziny, zabierasz mnie do najpaskudniejszego miejsca na świecie,
bym spędził tam resztę swego życia. Trzymaj się ode mnie z da-
ła, Belgaracie. Niezbyt cię teraz lubię — dodał i odszedł plażą.

Ruszyłem za nim.

— *Zostaw go samego, Belgaracie* — to znowu był mój przyjaciel.

-*Jeśli mam z Rivą współpracować, to muszę się z nim pogodzić.*

— *Teraz jest nieco zdenerwowany. Uspokoi się. Nie osłabiaj swojej
pozycji idąc za nim. Spraw, by to Riva przyszedł do ciebie.*

- *A jeśli nie przyjdzie?*

— *Musi. Tylko ty możesz powiedzieć mu, co robić, i Rwa o tym wie.
Ten Alom ma ogromne poczucie odpowiedzialności. Dlatego go wybra-
łem. Dras jest większy, a Algar mądrzejszy, ale Rwa trzyma się tego, co
raz postanowi. Wróć do gotowania desek. To uspokoi twój umysł.*

Zawsze wiedział, jakimi słowami najbardziej mi dokuczy. Gotowanie desek! Nadal czerwienieją mi uszy, gdy sobie przypominam to wyrażenie.

Dwa dni później Riva przyszedł do mnie z przeprosinami.

—Wybacz, Belgaracie — powiedział ze skruchą.

—Co? Nie powiedziałeś niczego, co nie byłoby prawdą. Prze wróciłem twe życie do góry nogami, oderwałem cię od rodziny i zabiorę na Wyspę Wiatrów, byś spędził tam resztę swego życia. Po minąłeś jedynie fakt, że nic z tego nie było moim pomysłem. Jesteś teraz Stróżem Globu i ktoś musiał tobą pokierować. Ja jestem two im nauczycielem. Żaden z nas nie prosił się o to. Pozostało nam je dynie robić dobrą minę do złej gry. A teraz chodź, pokażę ci plany, które narysowałem dla twych łodzi.

—Okrętów - poprawił bezwiednie.

—Jak sobie życzysz, Strażniku Globu.

Alornowie zaczęli przybywać następnego popołudnia. Alornowie nie maszerują. Nawet nie trzymają się razem w czasie wędrówki. Jej kierunek też raczej trudno określić, ponieważ co i rusz jakaś grupka zbacza z kursu.

Riva natychmiast posyłał ich do budowy okrętów i wkrótce pusta plaża zmieniła się w ruchliwą stocznię. Nie obyło się bez dyskusji nad moimi projektami okrętów. Niektóre z wysuwanych przez Alornów zastrzeżeń miały nawet uzasadnienie. Jednakże większość z nich była głupia. Alornowie uwielbiają dyskusje, pewnie dlatego słowne potyczki poprzedzają u nich walkę.

Wędrowałem po plaży tam i z powrotem, korzystając z czarów, kiedy było potrzeba, i nie minęło sześć tygodni, gdy skończyliśmy dziesięć okrętów. Wówczas Riva przekazał dowództwo swemu kuzynowi, Anrakowi, i wyruszyliśmy z pierwszą grupą na Morze Wiatrów, ku wyspie.

Jeśli nie widzieliście Wyspy Wiatrów, moglibyście sądzić, że jej opisy są przesadzone. Możecie mi wierzyć, nie są. Po pierwsze,

wyspa ma tylko jedną plażę, wąski pasek żwiru długości około mili przy głęboko wciętej zatoce po wschodniej stronie wyspy. Resztę brzegu stanowiły urwiska. Wnętrze wyspy porastały lasy, ciemne, wiecznie zielone, jakie zwykle występują na północy. Górskie doliny wyściełały rozległe łąki. Pewnie nie byłoby tam wcale źle, gdyby nie wiejące cały czas wiatry i deszcze, które potrafiły padać nieprzerwanie przez sześć miesięcy. A gdy deszcz się zmęczył, zaczynał sypać śnieg.

Oplłynęliśmy wyspę dwukrotnie, ale nie znaleźliśmy drugiej plaży, więc dobiliśmy do tej, o której wspomniałem, i zeszedliśmy na brzeg.

- Gdzie mam zbudować twierdzę? - zapytał Riva, gdy stanęli śmy w końcu na stałym gruncie.

- To zależy od ciebie — odparłem. — Który teren najbardziej się do tego nadaje?

- Chyba tam. To jedyne miejsce, gdzie można wyjść na brzeg.

- Słusznie - powiedziałem. Przyjrzałem mu się uważnie. Oblicze Rivy zaczynało już tracić chłopięcą bez troskę. Odpowiedział noś, którą tak lekko wzięł na siebie w Cthol Mishrak, zaczynała mu już ciążyć.

Spojrzał na dolinę o stromych zboczach, zbiegającą z gór ku zatoce.

- Twierdza musi być nieco większa, niż myślałem — rzekł z zadumą. - Powiniennem zablokować nią wejście do tej doliny. Chyba muszę zbudować tam miasto.

- Pewnie. Na wyspie nie zostanie dużo do roboty, poza robbieniem dzieci, więc liczba mieszkańców wzrośnie. Będziesz potrzebował wielu domów.

Riva nagle zarumienił się.

- Wiesz, co się z tym wiąże? Mam na myśli robbienie dzieci.

- Oczywiście.

- Chciałem się tylko upewnić, że nie będziesz grzebał w kałuży czy gonił bociany w ich poszukiwaniu.

- Nie obrażaj mnie - ponownie spojrzął na dolinę. — Zdaje się, że nie ma dostatecznie dużo drzew na zbudowanie miasta.

- Nie ma - odparłem spokojnie. — Nie wznoszę drewnianego miasta. Tolnedranie wypróbowali już to w Tol Honeth. Nim skończyli je budować, spłonęło do fundamentów. Użyj kamienia.

- To zajmie wiele czasu, Belgaracie - zaprotestował.

- A masz coś lepszego do roboty? Załóż tymczasowy obóz tu, na plaży, i rozpal ogniska sygnalizacyjne na cyplach u wejścia do zatoki, by wskazać drogę reszcie twych ludzi. Potem poświęcimy nieco czasu na zaprojektowanie miasta. Nie chcę, aby rozrosło się niczym zielsko. Ma ochraniać Glob i wolę mieć pewność, że linia jego obrony będzie szczelna.

W ciągu następnych kilku tygodni przyplłynęły pozostałe okręty Rivy, po sześć lub osiem za każdym razem. Do tego czasu praca nad planem miasta dobiegła końca.

-Jak według ciebie powinienem je nazwać? Mam na myśli miasto — zapytał, gdy skończyliśmy.

- A jaka to różnica?

- Miasto powinno mieć nazwę, Belgaracie.

- Nazwij je, jak chcesz, choćby swym imieniem.

- Val Riva?

- Czy to nie nazbyt ostentacyjne? Niech będzie po prostu Riva.

- To nie brzmi jak nazwa miasta, Belgaracie.

- Będzie, gdy ludzie się przyzwyczają.

W końcu przybył Anrak.

- To już wszyscy, Rivo - zawołał, gdy wyszedł na brzeg. - Teraz jesteśmy tu w komplecie. Masz coś do picia?

Tej nocy na plaży hucznie się bawiono. Po kilku kuflach od hałasu zaczęła mnie boleć głowa, więc poszedłem w głąb stromej

doliny, by trochę pomyśleć. Czekają mnie jeszcze sporo pracy, nim będę mógł udać się w podróż do domu. Zastanawiałem się więc, jak najszybciej się z tym wszystkim uporać. Naprawdę chciałem wrócić do Doliny i do Poledry. Bez wątpienia byłem już ojcem i pragnąłem zobaczyć swego potomka.

Trochę po północy zerknąłem na plażę i zerwałem się na nogi, przeklinając. Wszystkie okręty stały w ogniu!

Zbiegłem na brzeg i odszukałem Rivę. Stał ze swym kuzynem nad wodą, śpiewając alornskie pijackie piosenki. Spojrzenie mieli tępe i kiwali się w przód i w tył, pijani w trupa.

- Co wy wyprawiacie? - wrzasnąłem.

- O jesteś, Belgaracie - powiedział Riva. - Wszędzie cię szukaliśmy - wskazał na płonące okręty. - Piękny pożar, co?

- Wspaniały. Po co go wznieciliście?

- Ten budulec, który dla nas przygotowaleś, jest bardzo do bry i suchy, więc dobrze się pali.

- Riva, czemu palisz okręty?

Spojrzał na swego kuzyna.

- Czemu palimy okręty, Anraku? Zapomniałem.

- Aby powstrzymać ludzi przed ucieczką - odparł Anrak.

- A tak. Teraz sobie przypominam. Czyż to nie dobry pomysł, Belgaracie?

- To pomysł do chrzanu!

- A co w nim złego?

- A jak ja mam teraz wrócić do domu?

- Och, nie pomyślałem o tym - rzekł, a oczy mu zabłyśły. - Chcesz się czegoś napić? — zapytał.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Belgaracie? - powiedział do mnie Riva któregoś ranka, kilka dni później. Staliśmy w górnym krańcu wąskiej doliny ciągnącej się do plaży. Przyglądaliśmy się, jak Alornowie oczyszczali jej tarasowate dno.

- Słucham, Rivo.

- Czy powinienem mieć miecz?

-Już jeden masz.

- Nie, chodzi mi o specjalny miecz.

- Tak - odparłem. Skąd się o tym dowiedział?

- Gdzie on w takim razie jest?

-Jeszcze nie istnieje. Masz go zrobić.

- Chyba to potrafię. Z czego mam go zrobić?

- O ile wiem, z gwiazd.

- A w jaki sposób się do nich dostanę?

- Spadną z nieba.

- A zatem to pewnie Belar rozmawiał ze mną zeszłej nocy.

- Nie rozumiem.

- Miałem sen, a przynajmniej zdawało mi się, że to był sen.

Odniosłem wrażenie, że słyszę głos Belara. Rozpoznałem go, ponieważ zwykłem przyglądać się, jak grywał w kości z Drasem. Przeklinał w czasie gry, gdyż Dras zawsze był górą. Czyż to nie dziwne? Wydałoby się, że Bóg może sprawić, aby kości wypadły jak zechce, ale

Belarowi nawet przez myśl nie przeszło, by oszukiwać. Dras jednak nie grał uczciwie. Potrafił jedną kostką wyrzucić dziesięć. Staralem się zachować spokój.

- Rivo, odbiegasz od tematu. Zacząłeś opowiadać mi o swoim śnie. Skoro Belar do ciebie przemówił, to może być ważne.

- Dużo tam było „winno” i „winieneś”.

- Bogowie tak mówią. Co powiedział?

- Nie jestem pewny, czy dobrze zrozumiałem początek. Śniłem właśnie o czymś innym, nie chciałem, aby mi przeszkadzano.

- A o czym to śniłeś?

Riva zarumienił się.

- To doprawdy nieważne — odparł wymijająco.

- Ze snami nigdy nie wiadomo. O czym on był?

Riva zaczerwienił się jeszcze bardziej.

- No cóż... było w nim o pewnej dziewczynie. To chyba nie ważne?

- Raczej nie. Czy Belarowi udało się w końcu zwrócić twoją uwagę?

- Musiał mówić do mnie dość głośno. Rzeczywiście byłem bardzo zainteresowany tą dziewczyną.

- Z pewnością.

- Nigdy jeszcze nie widziałem, by ktoś miał tak jasne włosy. Dasz wiarę, że nie miała nic na sobie?

- Riva! Daj spokój dziewczynie! Co powiedział Belar?

- Nie musisz się tak denerwować, Belgaracie — rzekł nieco urażonym tonem. - Właśnie do tego dochodzę - zmarszczył brwi.

- Niech pomyślę. Zdaje się, że powiedział coś takiego: „Strażniku Globu, oto sprawię, aby dwie gwiazdy spadły z nieba i wskażę ci, gdzie leżą, a ty winieneś podnieść obie gwiazdy i winieneś umieścić je w wielkim ogniu i przekuć. A jedna z nich winna być ostrzem, a druga rękojeścią i winien to być miecz, który strzec będzie Globu mego brata, Aldura”. Czy coś w tym rodzaju.

- Należy zatem wystawić wartowników w nocy.

- Po co?

- Aby obserwowali niebo oczywiście. Musimy wiedzieć, gdzie spadną gwiazdy.

- Jajuz wiem, Belgaracie. Belar wyprowadził mnie przed namiot i wskazał na niebo. Dwie gwiazdy spadły i widziałem, jak uderzały o ziemię. Potem Belar odszedł, a ja wróciłem do łóżka, aby sprawdzić, czy uda mi się znowu znaleźć tę dziewczynę.

- Dasz w końcu spokój z tą dziewczyną?

- Nie, nigdy nie dam. Była najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem.

- Pamiętasz może, gdzie spadły te gwiazdy?

- Tam. - Wskazał niedbale na pokryty śniegiem szczyt wznoszący się na drugim krańcu doliny.

- Chodźmy je podnieść.

- A nie powinienem tu zostać? Zdaje się, że jestem dowódcą? Czyż obowiązkiem dowódcy nie jest kierowanie pracami?

- Czy twój kuzyn jest trzeźwy?

- Anrak? Chyba tak, w każdym razie mniej więcej.

- Wezwij go i przekazaj Anrakowi dowodzenie. Lepiej będzie, jeśli pójdziemy odszukać te gwiazdy, nim śnieg je przykryje.

- Nadal będziemy mogli je znaleźć. Odrobina śniegu gwiazd nie skryje.

Spojrzałem na Rivę zdziwiony.

- To są gwiazdy, Belgaracie, a one błyszczą. Będziemy widzieć światło, nawet jeśli zupełnie przysypie je śnieg.

Rozumiecie teraz, co miałem na myśli, mówiąc o naiwności Rivy? Daleki był od łatwowierności, ale nie potrafił uwierzyć, że coś mogłoby się nie udać. Zakrzyknął na swego kuzyna, a potem ruszyliśmy w górę wąskiej doliny. Wszystko wskazywało na to, że kiedyś jej dnem płynął strumień lub rzeka, ponieważ leżało tam pełno zaokrąglonych głazów. Teraz po strumie-

niu nie było śladu. Pewnie zmienił bieg, gdy Torak rozłupał świat.

Podczas wspinaczki Riva zabawiał mnie opowieściami o dziewczynie ze swego snu. Najwyraźniej nie mógł myśleć o niczym innym.

Oczywiście wcale nie było trudno odnaleźć owe gwiazdy. Były rozpalone do białości. Wytopiły w śniegu ogromne kratery.

- To nie są gwiazdy, Belgaracie - zaprotestował Riva, gdy podniosłem je triumfalnie. - To jedynie bryłki żelaza.

- Śnieg je przygasił — powiedziałem. Rozminąłem się nieco z prawdą, ale tak było prościej, niż próbować mu to wyjaśnić.

- Nie można zgasić światła gwiazdy - rzekł drwiąco.

- To szczególne gwiazdy, Rivo - brnąłem dalej. Nie miałem ochoty się z nim sprzeczać.

- Tego nie wziąłem pod uwagę. Co teraz zrobimy?

- Postąpimy zgodnie z instrukcjami Belara. Rozpalmy ognisko.

- Tutaj? Na śniegu?

- Musisz zrobić coś jeszcze. Masz nadal przy sobie Glob, prawda?

- Oczywiście. Zawsze go ze sobą noszę. - Poklepał węzełek pod tuniką. - Czego użyjemy jako młota? A co z kowadłem?

-Ja się tym zajmę. Nie sądzę, aby zwykłe narzędzia zdały tu egzamin. Te gwiazdy wydają się twardsze od zwykłego żelaza.

W pobliskim zagajniku rozpałem ognisko. Oczywiście posłużyłem się czarami. Mokre drewno nie osiągnęłoby wystarczająco wysokiej temperatury.

- Wrzuć je do ognia, Rivo - poleciłem.

-Jak sobie życzysz - zgodził się i cisnął dwie grudki żelaza w płomień.

Potem skoncentrowałem swą Wolę i skonstruowałem młot, kowadło oraz szczypce. Pewnie nadal stoją na szczycie za dworem

rivańskiego króla. Były z tak gęstego tworzywa, że chyba jeszcze nie przerdzewiały. Riva ujął młot.

- Jest cięższy, niż na to wygląda — zauważył.
- Ponieważ jest magicznym młotem.

Taka odpowiedź była łatwiejsza, niż wdawanie się w rozważania nad względną gęstością.

- Tak sobie pomyślałem - powiedział zupełnie spokojnie.

Usiedliśmy na kłodzie przy huczącym ogniu, czekając aż grudki *żelaza* się rozgrzeją. Gdy były już rozpalone do białości, Riva wygrzebał je z żaru i zabrał się do pracy. Musiał gdzieś nauczyć się kowalstwa. Nie był tak dobrym fachowcem jak Durnik, ale znał się na rzeczy.

Po dziesięciu minutach przerwał kucie, przyjrzał się uważnie rozżarzonym grudkom.

- Co się stało? — zapytałem.
- To muszą być czarodziejskie gwiazdy, tak jak i ten młot.

Gdyby były zwykłymi kawałkami żelaza, już by ostygły.

* * *

Nie, Durniku, nie używałem czarów. Choć myślę, że uczynił to Belar.

* * *

W kilku wersjach „Księgi Alornów” podaje się, że przybrałem postać lisa, by doradzać Rivie przy wykuwaniu miecza. To wierutna bzdura, oczywiście. Nigdy w życiu nie zmieniłem się w lisa. Co skłania kapłanów do upiększania dobrej opowieści nieprawdopodobnymi szczegółami? Jeśli tak tęsknią do czarów, to czemu sami się ich nie nauczą? Mogliby wówczas bawić się nimi do woli.

Riva kuł dalej rozżarzone kawałki żelaza, dopóki nie zaczęły przypominać kształtem klingi i rękojeści. Wówczas zrobiłem mu pilnik i zaczął je wygładzać. Nagle przerwał i zaklął.

- O co chodzi? — zapytałem.
- Popełniłem błąd — powiedział z goryczą.
- Nie sędzę.
- Otrzymałem dwa kawałki, Belgaracie. Jak je połączyć?
- Dojdziemy do tego. Szlifuj dalej.

Po wygładzeniu klingi odłożył ją i zabrał się za masywną, dwuręczną rękojeść.

- Czy powinna mieć gałkę? - zainteresował się.
- Do tego też dojdziemy.

Riva pracował dalej. Twarz ociekała mu potem od gorąca bijącego z żelaza. W końcu odrzucił pilnik i za pomocą szczypców położył rękojeść na kowadle.

- Lepiej już chyba nie dam rady - rzekł. - Nie jestem złotnikiem. Co teraz?

Sprawiłem, że pojawiła się beczka z wodą.

- Ostudź je - odparłem.

Riva podniósł ogromną klingę szczypcami i zanurzył ją w wodzie. Nad beczką pojawiła się chmura pary. Potem wrzucił do wody rękojeść.

- Nadal nie sędzę, byśmy mogli je połączyć.
- Zaufaj mi.

Sporo czasu upłynęło, nim zanurzone w wodzie kawałki żelaza przestały się jarzyć. Musiałem dwukrotnie napełniać beczkę wodą, zanim zaczęły ciemnieć.

Riva spróbował ręką wody i dotknął ostrza.

- Chyba już ostygły.
- Wyjmij Glob — powiedziałem.

Riva rozejrzał się szybko.

- Nie widzę Angaraków - oznajmił.
- Nie, tym razem chodzi o coś innego.

Riva sięgnął pod tunikę i wyciągnął rozjarzony Glob. W jego masywnej dłoni wyglądał na bardzo mały.

- Teraz wyłów rękojeść - poleciłem.

Zanurzył ramię w beczce i wyciągnął ogromną rękojeść.

- Umieść Glob tam, gdzie powinna być gałka.

- Dlaczego?

- Po prostu zrób tak. Zobaczysz.

Riva ujął rękojeść jedną ręką i przyłożył Glob do jej końca.

Połączeniu towarzyszyło głośnie szczęknięcie. Rivie z wrażenia zaparło dech.

- Wszystko w porządku - powiedziałem. - Tak miało się stać.

Teraz podnieś klingę i przyłóż jej koniec do szczytu rękojeści.

Uczynił to.

- Co teraz?

- Pchnij.

- Pchnąć? Co przez to rzumiesz?

- Wiesz, co znaczy to słowo. Wepchnij klingę w rękojeść.

- To niedorzeczne, Belgaracie. Przecież są ze stali.

Westchnąłem.

- Po prostu spróbuj, Rivo. Nie pchaj jednak zbyt mocno, bo ostrze wyjdzie drugą stroną.

- Pijany jesteś?

- Zrób to, Rivo!

Klinga wydała dziwnie śpiewny odgłos, gdy powoli wsuwała się w rękojeść. Od tego dźwięku pospadał cały śnieg z pobliskich drzew. Gdy klinga weszła do końca, Riva ostrożnie spróbował poruszyć obiema częściami. Potem z całych sił starał się je rozdzielić.

- Zdumiewające! — powiedział. - Stanowią teraz całość!

- Naturalnie. Schwyć rękojeść i unieś miecz.

To była prawdziwa próba. Riva ujął oburącz rękojeść i uniósł ogromny miecz.

- Prawie nic nie waży! - zawołał.

- Glob przejął ciężar - wyjaśniłem. - Pamiętaj o tym, gdy bę-

dziesz musiał zdjąć Glob. Jeśli w takiej chwili trzymałbyś miecz jedną ręką, jego ciężar mógłby ci złamać nadgarstek. Unieś miecz, Rivo.

Młodzieniec z łatwością podniósł go nad głowę i tak, jak się spodziewałem, Glob rozbłysnął radośnie błękitnym ogniem, zdzierając nierówności i polerując miecz aż do połysku.

- Dobra robota - pogratulowałem mu, po czym zatańczyłem z radości, podśpiewując.

Riva gapił się na swój płonący miecz.

- Co się stało? - zapytał.

- Dobrze to zrobiłeś, chłopcze! - zawołałem.

- To znaczy, że to właśnie miało się zdarzyć?

- Za każdym razem, Rivo! Za każdym razem! Teraz miecz jest częścią Globu. Dlatego płonie. Za każdym razem, gdy go w ten sposób podniesiesz, zapłonie. O ile wiem, tak samo będzie, gdy podniesie go twój syn i jego syn, a także syn jego syna.

-Ja nie mam syna.

- Poczekaj trochę, a będziesz miał. Zabierz swój miecz. Musi my teraz pójść na szczyt.

W czasie wspinaczki Riva wywijał mieczem, tnąc powietrze. Muszę przyznać, że to robiło wrażenie, ale świst, jaki temu towarzyszył, po jakimś czasie zaczął mi działać na nerwy. Riva dobrze się jednak bawił, więc nic nie powiedziałem.

Na szczycie spoczywał głaz wielki jak dom. Przyjrzałem mu się i ogarnęły mnie pewne wątpliwości. To był paskudnie duży kamień.

- W porządku - powiedział Riva. - Co teraz?

- Schwyć mocno swój miecz i przetnij ten głaz.

- To wyszczerbi ostrze, Belgaracie.

- Nie powinno.

- Po co mam rozbijać głaz mieczem? Czy nie byłby do tego lepszy młot kowalski?

- Mógłbyś przez rok walić w ten kamień młotem i nawet go nie wyszczerbić.

- Znowu czary?

- Coś w tym rodzaju. Kiedyś tą doliną płynęła rzeka. Została zatamowana, gdy Torak rozłupał świat. Jednakże ona nadal tam jest - pod tym głazem. Twoja rodzina ma naprawić świat i to jest miejsce, od którego zaczniesz. Rozbij tę skałę, Rivo. Uwolnij rękę. Twojemu miastu i tak będzie potrzebna słodka woda.

Riva wzruszy! ramionami.

- Skoro tak twierdzisz, Belgaracie.

* * *

Garionie, chciałbym, abyś zauważył, jakie absolutne zaufanie miał do mnie ten chłopak. Pomyśl o tym, gdy następnym razem będziesz miał ochotę sprzeczać się ze mną.

* * *

Riva wzniosł ogromny płonący miecz i zadał cios, który mniejszy kamień roztrzaskałby pewnie w proch. Jestem pewny, że ten odgłos spłoszył wszystkie jelenie w Sendarii.

Głaz rozpadł się na połowę, a jego części z głuchym łoskotem potoczyły się na boki.

Rzeka wylała się spienioną falą.

Obaj z Rivą byliśmy przemoczeni. Wydostaliśmy się z wody i staliśmy, patrząc na naszą rzekę z poczuciem pewnego spełnienia.

- Ups - powiedział po chwili Riva.

- Co się stało? - zapytałem.

- Może powinienem ostrzec pracujących w dole ludzi - odparł. - Nie myślę, by byli tym bardzo uszczęśliwieni.

- Nie stoją w korycie rzeki, Rivo. Oni tam wrzucają ziemię i kamienie z oczyszczanych tarasów.

- Mam nadzieję, że masz rację. W przeciwnym razie pewnie

ich zmyje do morza i będą mi złorzeczyć jeszcze w tydzień po dopłynięciu z powrotem do brzegu.

Jak się potem okazało, uwolniona rzeka zaoszczędziła Alornom miesiący pracy. Pod nagromadzonymi przez lata rumowiskami, które usuwali, znajdowały się naturalne tarasy i pierwsza fala wody zmyła je do czysta. Alornowie, którzy zostali zepchnięci do morza, byli tak z tego radzi, że nie powiedzieli Rivie złego słowa, a przynajmniej niezbyt wiele.

Teraz, gdy Riva posiadał miecz, skończyłem to, co miałem do zrobienia na Wyspie Wiatrów. Nareszcie mogłem wracać do domu. Przez dzień udzielałem jeszcze instrukcji Rivie i jego kuzynowi, Anrakowi. Anrak trochę za bardzo lubił dobre ciemne ale, lecz był dobroduszny i cieszył się sympatią innych Alornów. Był doskonałym zastępcą. Niektóre z rozkazów, które Riva będzie musiał wydawać swym ludziom, nie przypadną im do gustu. Anrak, ze swym niesfornym, dobrodusznym śmiechem, mógł pomóc, aby nie zostały źle przyjęte. Naszkicowałem Rivie jego salę tronową i powiedziałem mu, jak przymocować miecz do ściany za tronem. Trochę trudno było mi utrzymać uwagę Rivy, gdyż ciągle chciał rozmawiać o dziewczynie ze swego snu. W końcu życzyłem mu powodzenia i odszedłem brzegiem. Wolałem ukryć się przed ciekawskimi spojrzeniami, aby nie drażnić ludzi Rivy bardziej, niż potrzeba.

Na czas powrotu na kontynent wybrałem postać albatrosa. Przeszło dwumetrowe skrzydła były wielką pomocą dla kogoś tak źle latającego, jak ja. Gdy wzbilem się odpowiednio wysoko, nauczyłem się rozpościerać ogromne skrzydła i po prostu szybować w powietrzu. Ależ to było przyjemne! Żadnego machania. Żadnego nieudolnego trzepotania. Żadnej paniki. Po pewnym czasie zaczęło mi się to nawet podobać. Myślę, że mógłbym tak szybować przez cały miesiąc. Po drodze uciąłem sobie jednak kilka krótkich drzemek.

Na widok wybrzeża obecnej Sendarii poczułem niemal żal.

Nie uwierzycie, jak inna była w tamtych czasach Sendaria. Tereny obecnych pól uprawnych zarastały dzikie lasy z ogromnymi drzewami, a jej jedyną zamieszkaną część, która rozciągała się wzdłuż północnego brzegu rzeki Camaar, zasiedlali Arendowie Wacite. Ponieważ spieszo mi było wrócić do Doliny, przybrałem znajomą postać wilka i pogałem przez las.

Tym razem nie musiałem przystawać, aby dogonili mnie Alornowie, co sprawiło, że miałem dobre tempo. Było lato, więc pogoda mi dopisywała. Przemierzyłem Sendarię, kierując się na południowy wschód i wkrótce dotarłem do gór.

Po chwili namysłu postanowiłem nie tracić czasu na okrężną drogę, ale przeciąć północy kraniec Ulgołandu. Nie sądziłem, aby groziły mi jakieś kłopoty ze strony dzikich bestii. One interesowały się ludźmi, nie wilkami; nawet algothry i hrulginy unikały wilków.

Przez chwilę myślałem zahaczyć o Prolgu, aby zdać relację obecnemu Gorimowi z wydarzeń w Mallorei, ale zarzuciłem ten pomysł. Mistrz wiedział o wszystkim i z pewnością powiadomił Ula, nim odszedł wraz z pozostałymi braćmi.

Nie chciałem o tym myśleć. Od czterech tysięcy lat moje życie koncentrowało się wokół Mistrza. Swym odejściem burzył mój obraz świata. Nie potrafiłem sobie wyobrazić Doliny bez Aldura.

Minąłem zatem Prolgu i zdążyłem dalej na południowy wschód ku Dolinie. Widziałem kilka algothów przemykających skrajem lasu, raz słyszałem nawet hrulginę, ale mądrze nie wchodziły mi w drogę. Spieszyłem się i nie życzyłem sobie, by mi przeszkadzano.

Przekroczyłem linię grzbietów i zbiegłem do rzecznej wąwozu. Skoro zaś wszystkie rzeki po tej stronie gór Ulgo spływały na wschód, by wpaść do Rzeki Aldura, najszybszym sposobem na dotarcie do Doliny było po prostu podążanie wzdłuż brzegu aż do równin Algarii.

Zauważcie, że już wówczas tak w myślach nazywałem te stepy.

Nie potrafię sobie przypomnieć, dlaczego właściwie postanowiłem wrócić do własnej postaci po dotarciu do rzeki. Prawdopodobnie pomyślałem, że potrzebna mi kąpiel. Byłem w podróży od sześciu miesięcy i wołałem nie zrazić Poledry, zjawiając się w wieży cuchnący niczym cap. Być może miałem ochotę na ciepły posiłek. W wilczej postaci zadowalała mnie dieta oparta na surowych królikach, jeleniach, a nawet myszach polnych. Ale nie byłem przecież wilkiem i czasami nachodził mnie apetyt na gorące danie.

Upolowałem w każdym razie jelenia, wróciłem do własnej postaci i zabrałem się za rozpalanie ogniska. Nadziałem udziec na szpikulec i zacząłem go piec nad ogniskiem. Potem poszedłem się wykapać w rzece.

Pewnie za bardzo się obżarłem. Wilk w czasie biegu nie jada zbyt wiele - zwykle kilka kęsów przed dalszą drogą - więc byłem dość wygłodniały.

W każdym razie po jedzeniu zdrzemnąłem się przy ognisku. Nie wiem, jak długo spałem. Obudziło mnie nagle wycie podobne do śmiechu. Przekląłem swą nieostrożność. Sforze skalnych wilków udało się zakraść w moje pobliże.

Określenie „skalne wilki” jest mylące. Te zwierzęta nie były w istocie wilkami. Są *raczej* bliżej spokrewnione z hienami. To padlinożercy i pewnie zwietrzyły zapach mego jelenia. Najprościej byłoby ponownie przybrać postać wilka i uciec im. Było mi jednak przyjemnie i nie miałem ochoty biegać z pełnym brzuchem. Byłem też w nieco wojowniczym nastroju. Rozdrażniło mnie wyrwanie ze smacznej drzemki. Podsyciłem ogień, usadowiłem się oparty o drzewo i czekałem na nie.

Zauważyłem, jak kilka z nich skradało się pomiędzy drzewami, ale bały się mego ognia i nie podchodziły bliżej. Tak minęła noc. Fakt, iż nie zaatakowały mnie ani nie odeszły w poszukiwa-

niu innego pożywienia, wydawał się nieco zastanawiający. To nie było normalne zachowanie skalnych wilków.

Świt właśnie zamajaczył na wschodnim horyzoncie, gdy przekonałem się, co było tego powodem.

Właśnie dokładałem drewna do ognia, gdy kątem oka dostrzegłem ruch na skraju lasu. Pomyślałem, że to kolejny skalny wilk, więc schwyciłem żagiew, odwróciłem się i zamierzyłem, aby rzucić płonącym polanem w bestię.

To nie był jednakże skalny wilk. Ujrzałem eldraka.

Oczywiście widywałem już eldraki, ale zawsze z daleka, więc nie zdawałem sobie sprawy, jakie były wielkie. Skarciłem się w myślach za to, że nie przybrałem postaci wilka, gdy jeszcze miałem szansę. Przeobrażanie się trochę trwa, a ten ogromny stwór nie stał zbyt daleko ode mnie. Jeśli był równie rozwścieczony jak hrulginy i algothy, nie miałbym dość czasu.

Eldrak był kosmaty i wysoki na osiem stóp. Beznosą twarz ozdabiały mu żółte kły, które niczym u dzika sterczały z wysuniętej dolnej szczęki. Miał małe świńskie oczka skryte głęboko pod grubymi łukami brwiowymi. Te oczka płonęły żądzą.

- Czemu ludzki stwór przybyć na teren Gula? - ryknął na mnie.

To była niespodzianka. Wiedziałem, iż eldraki były inteligentniejsze od algothów czy trollów, ale nie miałem pojęcia, że potrafiły mówić.

Szybko opanowałem się. Fakt, iż mogliśmy się porozumieć, stwarzał możliwość pokojowego załatwienia sprawy.

- Tylko przechodziłem - odparłem grzecznie. - Nie chciałem naruszyć twego terytorium, nie wiedziałem, że ten teren na leży do ciebie.

- Wszyscy wiedzieć. - Miał okropny głos. - Wszyscy wiedzieć to teren Gula.

- No cóż, chyba jednak nie wszyscy. Jestem tu obcy, a ty nie oznaczyłeś swego terytorium.

- Zjeść jelenia Grula — rzekł oskarżycielskim tonem. To nie wyglądało zbyt dobrze. Ostrożnie, by się nie zdradzić, wysunąłem swój długi sztylet z pochwy i ukryłem go w lewym rękawie, rękojeścią w dół.

- Nie zjadłem wszystkiego - odparłem. - Proszę, poczęstuj się resztą.

- Jak cię zwać?

- Nazywam się Belgarath - odpowiedziałem. Może coś obilo mu się o uszy. W końcu słyszał o mnie nawet Naczelny Demon w Morindlandzie. Jeśli moja reputacja dotarła aż do Piekieł, to mogła również dotrzeć do tych gór.

- Grat? - zapytał.

- Belgarath - poprawiłem.

- Grat - powtórzył z pewną stanowczością. Najwyraźniej kształt jego szczęk nie pozwalał eldrakowi na dokładniejszą wyprawę. - Dobrze, że Grul wie. Grul pamiętać imiona wszystkich ludzkich stworzeń, które zjeść - dzielił się pięścią po głowie. - Grat chce walczyć, nim Grul zjeść? - zapytał z nadzieją.

Miewałem już sympatyczniejsze propozycje. Wstałem.

- Odejdź, Grul — powiedziałem. - Nie mam czasu na zabawy z tobą.

Paskudny uśmiech wykrzywił jego kosmatą twarz.

- Nie spieszyć się, Grat. Najpierw zabawić się. Potem Grul zjeść.

To naprawdę przybierało zły obrót. Przyjrzałem się eldrakowi uważnie. Miał ogromne ręce, które zwisały mu do kolan. Zdecydowanie nie chciałem, aby mnie wziął w objęcia, więc ostrożnie oparłem się o drzewo.

- Popelniasz błąd, Grulo - rzekłem. - Zabierz jelenia i odejdź. Jeleń nie będzie walczył. Ja owszem.

To była czysta brawura, oczywiście. Nie miałem zbyt wielkich szans w walce wręcz z tym ogromnym potworem. Znajdował się

na tyle blisko, że każdy ruch był bardzo ryzykowny. Jakież to głupi sposób na zakończenie kariery człowieka takiego jak ja.

- Grat za mały, by walczyć z Grulem. Grat nie za mądry, jeśli tego nie widzieć. Grat odważny. Grul pamiętać odważny Grat, gdy Grul go zjeść.

- Jesteś zbyt uprzejmy - mruknąłem. - Chodź więc, Grulu. Skoro się przy tym upierasz, możemy zaczynać. Mam dziś ciekawsze rzeczy do robienia.

To była ryzykowna zagrywka. Fakt, że ten ogromny kosmaty potwór potrafił mówić, był znakiem, że umie również myśleć, choćby w minimalnym stopniu. Moja fanfaronada była obliczona na obudzenie ostrożności eldraka. Nie chciałem, aby po prostu rzucił się na mnie. Mógłbym mieć szansę, jeśli udałoby mi się zasiać w Grulu niepewność.

Moja widoczna chęć do stoczenia z nim walki przyniosła oczekiwany efekt. Grul nie był przyzwyczajony, by ludzie lekceważyli jego ogromne rozmiary, więc zbliżał się do mnie z pewną ostrożnością. Na to właśnie czekałem. Gdy wyciągnął swe olbrzymie ręce, aby mnie pochwycić, zanurkowałem pod nimi, zrobiłem krok do przodu i gładko wysunąłem swój nóż z rękawa. Potem, jednym szybkim pociągnięciem, rozciąłem eldrakowi brzuch. Nie byłem wystarczająco pewny jego anatomii, aby próbować przebić Grulowi serce. Przy jego wielkości, żebra mogły mieć grubość nadgarstka.

Grul utkwił we mnie kompletnie zaskoczony wzrok. Potem spojrzął na wnętrzości wylewające się z otwartej rany biegnącej przez cały brzuch.

- Zdaje się, że coś ci wypadło - zasugerowałem.

Grul schwytał swe wypadające wnętrzości w obie ręce. Na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji.

- Grat przeciąć brzuch Grula - powiedział. — Sprawić, że wnętrzości Grula wypaść.

- Tak, zauważyłem. Chcesz jeszcze walczyć? Myślę, że lepiej

spędzisz czas na zszywaniu się. Nie będziesz mógł poruszać się zbyt szybko z wnętrzościami płaczącymi ci się pod nogami.

- Grat nie być miły — zarzucił mi ponuro, po czym usiadł i złożył wnętrzości na kolanach.

Wydało mi się to ogromnie zabawne. Roześmiałem się, ale gdy dwie wielkie łyzy poczęły się toczyć po jego kosmatej twarzy, poczułem się trochę głupio. Wyciągnąłem rękę, zazyczyłem sobie dużą zakrzywioną igłę i nawlekłem ją jelenim ścięgnem. Podąłem ją eldrakowi.

- Masz - powiedziałem. - Zaszuj sobie brzuch i pamiętaj o tym, gdy znowu się spotkamy. Znajdź sobie coś innego do jedzenia, Grul. Ja jestem stary i żyłasty, więc naprawdę nie smakowałbym najlepiej i, myślę, że już zdążyłeś to odkryć, drogo trzeba za mnie zapłacić.

Rozaśniło się już na tyle, iż mogłem iść dalej. Zostawiłem go więc. Gdy odchodziłem, siedział przy ognisku i usiłował dociec, jak posłużyć się igłą, którą mu dałem.

Dziwne, ale to wydarzenie ogromnie poprawiło mi nastrój. Naprawdę mi się udało. Ależ to było zdumiewające! Delektowałem się jego ostatnią uwagą. Teraz pół świata sądzi tak samo. Grat zdecydowanie nie jest miły.

Dwa dni później dotarłem na zachodni kraniec Doliny. Było wczesne lato, jedna z najmilszych pór roku. Wiosenne deszcze już ustały, a duszne gorąco, które następowało później, jeszcze nie nadeszło. Pomimo nieobecności Mistrza, w Dolinie było pięknie jak nigdy dotąd. Trawa była soczyście zielona, a wiele z rosnących dziko drzew owocowych już zakwitowało. Pojawiły się jagody, choć jeszcze nie dojrzały. Lubilem ich cierpki smak. Niebo było bardzo błękitne, a pierzaste chmurki zdawały się tańczyć w powietrzu. Skłębione szare chmury i porywiste wiatry wczesnej wiosny są bardzo malownicze, ale rozpoczynające się lato jest bujne, ciepłe i pełne zapachu oraz pospiesznego wzrostu.

Miałem nadzwyczaj dobry nastrój. Wróciłem do domu. Nie wiem, czy kiedykolwiek czułem się szczęśliwszy.

To był szczególny nastrój. Spieszno mi było powitać Poledrę, ale z jakiegoś powodu cieszyło mnie oczekiwanie. Pozbyłem się swej podróźnej postaci i powolutku szedłem spacerkiem przez łagodne wzgórza i doliny. Wiedziałem, że Poledra wyczuje moje nadejście i, jak zawsze, pewnie będzie przygotowywać kolację. Nie chciałem jej ponaglać.

Zapał już wieczór, gdy dotarłem do swej wieży. Byłem nieco zaskoczony, że w oknach nie pali się światło. Okrzyłem ją, otworzyłem drzwi i wszedłem.

- Poledro — zawołałem w górę schodów.

Dziwne, nie odpowiedziała.

Wszedłem na górę.

W mojej wieży było ciemno. Zasłony Poledry być może nie zatrzymywały wiatru, ale zdecydowanie nie przepuszczały światła. Języczkiem ognia z mego wskazującego palca zapaliłem świecę.

Nie zastałem nikogo. Pomieszczenie było zakurzone i sprawiało wrażenie nie używanego. O co tu chodziło?

Wtem zobaczyłem kawałek pergaminu na stole do pracy. Poznałem koślawe pismo Beldina.

- Przyjdź do mojej wieży.

To wszystko.

Uniosłem świecę i spostrzegłem, że nie było kołysek. Najwyraźniej Beldin przeniósł moją żonę i dziecko do swej wieży. Wydało mi się to dziwne. Poledra była bardzo przywiązana do tej wieży. Czemu Beldin ją przeniósł? O ile pamiętałem, nie przepadała za jego wieżą. Była zbyt wymyślna jak na gust Poledry. Zaintrygowany zszedłem na dół.

Do wieży Beldina było tylko pięć minut drogi i nie spieszyłem się zbyt. Ale mój nastrój radosnego oczekiwania powoli ustępował miejsca zaintrygowaniu.

- Beldin! - zawołałem. - To ja. Otwórz drzwi.

Chwilę trwało, nim kamień zasłaniający wejście do jego wieży odsunął się.

Ruszyłem w górę schodów. Teraz się spieszyłem.

Po wejściu na szczyt rozejrzałem się. Byli tam Beltira, Belkira i Beldin, ale nie zauważyłem Poledry.

- Gdzie moja żona? - zapytałem.

- Nie chcesz zobaczyć swych córek? - odezwał się Beltira.

- Córki? Więcej niż jedna?

- Dlatego zrobiliśmy dwie kołyski, bracie - powiedział Belkira. - Jesteś ojcem bliźniaczek.

Beldin sięgnął do jednej z kołyszek i delikatnie wyjął z niej dziecko.

- To jest Polgara - przedstawił ją. — To twoja starsza.

Podał mi zawinięte w kocyk niemowlę. Odsunąłem róg narzutki i po raz pierwszy spojrzałem w oczy swej córki. Poi i ja nie mieliśmy zbyt dobrego początku. Ci z was, którzy ją znają, wiedzą, że oczy Polgary zmieniają kolor w zależności od jej nastroju. Były stalowoszare, gdy po raz pierwszy w nie spojrzałem, i twarde niczym agaty. Odniosłem wrażenie, że niewiele ją obchodzę. Miała bardzo ciemne włosy i nie była tak pucołowata, jak niemowlęta być powinny. Twarz Poi była pozbawiona wyrazu, ale te stalowe oczy mówiły dużo. Potem zrobiłem to, co było zwyczajem w Garze. Poi była moją pierworodną, bez względu na to, czy mnie lubiła, czy nie, więc położyłem dłoń na jej głowie w błogosławieństwie.

Poczułem nagłe ukłucie. Poderwałem dłoń z okrzykiem zaskoczenia. Trochę niefortunnie wypadło, że pierwsze słowa, jakie z mych ust usłyszała, były przekleństwami. Spojrzałem na dziewczynkę o pochmurnej twarzy. Pod moim dotknięciem jeden lok na jej czole zrobił się śnieżnobiały.

- Ależ cud! - krzyknął Beltira.

- Niezupełnie - zaprzeczył Beldin. - To pierworodna i właśnie została naznaczona przez niego. Jeśli się nie mylę, wyrośnie z niej czarodziej.

- Czarodziejka - poprawił Belkira.

-Co?

- Czarodziej jest mężczyzną. Ona jest dziewczynką, więc po prawnie będzie czarodziejka.

Czarodziejka czy nie, ma pierworodna była mokra, więc odłożyłem ją z powrotem do kołyski.

Moja młodsza córka była najpiękniejszym dzieckiem, jakie widziałem - i nie przemawia przede mną tylko ojcowska duma. Każdy, kto ją zobaczył, mówił dokładnie to samo. Uśmiechnęła się do mnie, gdy wziąłem Beldaran od Beldina, i tym słonecznym uśmiechem trafiła wprost do mego serca i zawładnęła nim.

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Beldinie - po wiedziałem, tuląc w ramionach Beldaran. - Gdzie Poledra?

- Może usiadłbyś i napił się czegoś, Belgaracie? — Podszedł szybko do beczułki i zaczerpnął kufel ale.

Usiadłem przy stole z córką na kolanach. Nie muszę chyba wspominać, że nie była mokra. Pociągnąłem spory łyk, nieco zaintrygowany zachowaniem moich braci.

- Dość wykrętów, Beldinie — rzekłem, ocierając pianę z ust. — Gdzie moja żona?

Beltira podszedł i wziął ode mnie Beldaran. Spojrzałem na Beldina i dostrzegłem w jego oczach łzy.

- Obawiam się, że ją straciliśmy, Belgaracie - oświadczył smutnym głosem. — Miała bardzo ciężki poród. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale ona wymknęła się nam.

- O czym ty mówisz?

- Ona umarła, Belgaracie. Przykro mi, ale Poledra nie żyje.